



MORGAN PRUNTY



**PRZEPIS NA MAŁŻEŃSTWO
DOSKONAŁE**

Tytuł oryginału: Recipes for a Perfect Marriage

Książkę tę poświęcam pamięci Hugh i Ann Nolanów Memu mężowi Niallowi — z wyrazami miłości.

Prawdziwa miłość nie jest obezwładniającym uczuciem — jest wiążącą i przemyślaną decyzją. M. Scott Peck, Droga rzadziej wędrowana.

Prolog.

Istotą każdego przepisu, jego duszą, rzec by można, jest tajemnica. Nikt nie wie, co sprawia, że jeden przepis jest genialny i potrawa wychodzi każdemu i w każdych warunkach, podczas gdy inny, wydawałoby się równie precyzyjny zbiór składników i instrukcji, nieodmiennie skutkuje katastrofą. Właściwy przepis we właściwych rękach — i najbardziej wybredny niejadek da się przekonać nawet do czegoś, czego we własnym mniemaniu nie znosi. Niedobry przepis — bądź też niedobry kucharz — i nieszczęście gotowe.

Muszę więc być fatalną kucharką, skoro jeszcze nigdy nie udało mi się upiec chleba według niewątpliwie sprawdzonego przepisu Babci Bernadine. Postępuję krok po kroku dokładnie tak, jak mi niegdyś pokazała, lecz efektem moich wysiłków jest albo chleb z zakalcem, albo chleb twardy jak skała, albo coś, co chleba nawet nie przypomina, zaraz po wyjęciu z pieca zamieniając się w górę okruszków. „Zbyttno się z nim certolisz”, mawiała Babcia widząc moją zmartwioną minę. „Ten trza będzie posmarować marmoladą i tak zjeść, a jutro zaś spróbować. Może wyjdzie inny.” I rzeczywiście, chleb za każdym razem wychodzi mi inny. Wszakże nigdy nie jestem z niego zadowolona.

Podobnie jak ze swojego małżeństwa z Danem.

Powiadają, że kiedy spotyka się mężczyznę swego życia, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że to ten jedyny. Że nie sposób nie rozpoznać wśród tłumu facetów tego, za którego się wyjdzie. Że — przynajmniej teoretycznie — każda kobieta podświadomie wie, kto jest jej pisany. Och, nie przeszkadza nam to szaleć, kiedy mamy lat dwadzieścia i trochę, umawiać się co rusz z innym, z tym i owym sypiać, z tamtym znowuż, nawet zamieszkać na próbę; prawdę mówiąc całą młodość spędzamy zakochując się i odkochując, do czasu gdy natkniemy się na naszego księcia z bajki. Dopiero przy nim rozkwitamy, odkrywamy pełnię kobiecości i poznajemy smak prawdziwego szczęścia. A potem za niego wychodzimy.

Pierwsze dwa tygodnie to istna sielanka. Rodzice wyprawiają huczne weselisko, panna młoda ginie w tiulach i koronkach — białych, mimo że ma trzydziestkę na karku i deflorację dawno za sobą— kwota równa zaliczce na dom zostaje beztriosko zamieniona na dwa bilety lotnicze i pobyt w luksusowym hotelu.

Lecz podróż poślubna rychło dobiega końca i przychodzi chwila na zastanowienie. Wybranek serca stracił większość uroku, odkąd stał się małżonkiem. To co było w nim najbardziej pociągające, zniknęło gdzieś bez śladu, a upragniony status mężatki nie rekompensuje coraz bardziej irytujących niedostatków drugiej połowy. Do głowy przychodzą niebezpieczne myśli: „Co ja najlepszego zrobiłam?“, „Nie wszystko złoto, co się świeci" i „Jaka szkoda, że mąż to nie żakiet — nie można go oddać do przeróbki". Świadomość bezpowrotnie utraconej wolności nie daje spać po nocach. Nim upłynie pierwszy miesiąc małżeństwa, oblubienica już nie może patrzeć na oblubieńca ani go słuchać, w jej piersi rodzi się krzyk: „I tak ma być dzień w dzień, póki śmierć nas nie rozłączy?!"

Oczywiście nie przyznaje się do tego, gdyż oznaczałoby to uznanie własnej życiowej porażki. Zaciska zęby i robi dobrą minę do złej gry, w duchu rozważając, czy ohydny nawyk przycinania paznokci u nóg w łóżku jest wystarczającym powodem do wystąpienia o rozwód (zdrowy rozsądek podpowiada jej, że nie jest). Katuje się wyrzucaniem sobie, iż to wszystko jej wina, gdyż przyjęła oświadczyzny mężczyzny, którego nie darzyła prawdziwym uczuciem. Bo przecież gdyby go kiedykolwiek choć trochę kochała, toby go nie znienawidziła w ekspresowym tempie, no nie? I to za co... Za jakieś nic nie znaczące głupstwa. Prawdziwa miłość jest ponad to! Prawdziwa miłość kpi sobie z szarej rzeczywistości!

Otuchą zaczynają napawać statystyki mówiące, że dwadzieścia pięć procent stadeł rozpada się z powodów innych niż te wymienione w przysiędze małżeńskiej. Jeszcze miesiąc gehenny i powoli rodzi się decyzja...

Wmawiam sobie, że dałam z siebie wszystko, że zrobiłam co w ludzkiej mocy, by uratować nasze małżeństwo, ale nawet w moich uszach nie brzmi to przekonująco. Zmieniam więc taktykę i tłumaczę sobie, że czasy się zmieniły, że współczesna kobieta nie jest stworzona do małżeństwa.

Lecz może to wszystko to tylko mydlenie sobie oczu, a prawda jest zarazem prostsza i okrutniejsza.

Może po prostu jestem jedną z wielu kobiet, które poślubiły niewłaściwego mężczyznę, i teraz rozpaczliwie szukam wyjścia z matni.

RS

Chemia

Albo jest to „coś”, albo tego czegoś nie ma.

Dżem agrestowy

Wbrew powszechnej opinii dżem nie jest trudny do przyrządzenia. Najważniejsze są oczywiście owoce, a ściślej mówiąc moment, kiedy zostaną zerwane, gdyż od stopnia ich dojrzałości zależy proporcja zawartego w nich cukru i naturalnego zagęszczacza, zwanego pektyną. Dżem zrobiony z owoców zerwanych za wcześnie będzie gęsty, lecz brakować mu będzie słodczy, podczas gdy ten przyrządzony z owoców przejrzałych będzie słodki, lecz wodnisty i niemal bez smaku.

Ja najbardziej lubię robić dżem agrestowy, gdyż w okolicy nie brak dziko rosnących krzewów, które co roku wydają obfity plon.

Do metalowego garneczka wsyp półtora kila agrestu, pierwiej oczyszczonego z szypułek i pozostałości dna kwiatowego, dodaj dwa kila cukru, zalej wszystko pół litrem wody i postaw na mocnym ogniu. Gotuj, nie zmniejszając ognia, gdyż całość musi nieprzerwanie wrzeć, w przeciwnym razie dżem nie wyjdzie. (Pamiętaj, żeby z powierzchni zbierać piankę szumowin!) Co jakiś czas wyłóż ociupinę dżemu na zimny spodeczek i obserwuj, czy kropla syropu tężeje. Wtedy, aby nabrać pewności, że możesz już zakończyć gotowanie, szturchnij wyjętą porcję, nim zupełnie ostygnie. Jeśli wierzchnia warstwa zmarszczy się przy tym, dżem jest gotów. Przełóż wciąż gorący dżem do świeżo wysterylizowanych wrzątkiem słoików, pamiętając, aby każdy szczelnie zakręcić i odwrócić do góry dnem, stawiając na pokrywce.

Rozdział pierwszy

Manhattan, Nowy Jork, USA, 2004

Dżem wydaje się taki łatwy do przyrządzenia — to przecież tylko owoce, trochę cukru i woda — a jednak efekt jest całkowicie uzależniony od procesów chemicznych, nad którymi nawet najsprawniejszy kucharz nie ma kontroli. Kluczem do sukcesu są właściwe składniki, właściwa temperatura, właściwa ilość czasu i... to coś. Jeśli garnek postawi się na zbyt słabym ogniu, proces ścinania nigdy się nawet nie rozpocznie. Pozostawiony na ogniu zbyt długo — dżem będzie za słodki i za gęsty. Ba, można użyć najlepszych składników, nastawić odpowiednią temperaturę, wychodzić ze skóry, ale jak chemia nie zagra, ze wszystkiego nici.

Tak samo, jak to się dzieje w związku między dwojgiem ludzi...

Dan jest zwyczajny. Nie, nie mam mu tego za złe, uważam, że zwyczajny facet jest w porządku. Problem leży w tym, że mnie wydaje się zwyczajny. Ostatnio coraz częściej zastanawiam się, czy kiedykolwiek go kochałam. Wyznanie miłości złożone publicznie w dniu naszego ślubu przyćmiło samo uczucie i sprawiło, że się pogubiłam. Sama już nie wiem, co czuję, nie pamiętam nawet, na jakiej podstawie wyszeptałam sakramentalne „tak”.

Oczywiście Dan jest świetnym facetem i powinnam dziękować opatrności, że go poznałam i poślubiłam. Tyle że, niestety, nie jesteśmy stworzeni dla siebie.

Spotkaliśmy się jakieś półtora roku temu (kolejny dowód, że nigdy go naprawdę nie kochałam — w przeciwnym razie zapamiętałabym dokładną datę), chociaż snuł się po obrzeżach mojego życia już wcześniej, w czym nie ma niczego dziwnego, zważywszy, że Dan pracował jako dozorca budynku, w którym mieszkałam. Wiem, wiem... Pierwsza zasada samotnej kobiety brzmi: „Nigdy nie idź do łóżka z fachowcem, a już szczególnie z dobrym fachowcem, gdyż jest to jedyny mężczyzna, na którego możesz liczyć, jeśli w kuchni pęknie ci rura”. Przyjaźń — tak, lekki flirt — jak najbardziej, drobny upominek od czasu do czasu — czemu nie, zwłaszcza jeśli instalacja w kuchni wymaga częstych napraw, ale w żadnym wypadku nic więcej! Seks, miłość i wiążące się z nimi problemy należy zarezerwować dla facetów, od których nie jest się zależną.

Łatwo powiedzieć! A co innego może zrobić smutna i zdesperowana kobieta, obawiająca się, że już na kilometr poznać, że jest sama, umawiająca się na sesję aromaterapii w celach towarzyskich i tak łaknąca kontaktu

fizycznego z drugim człowiekiem, że wykorzystuje każdą okazję, by się przytulić — do tego stopnia, że znajomi zaczynają się z nią witać i żegnać skinieniem głowy zamiast wprawiającym w zażenowanie, przedłużającym się uściskiem.

Nie ma lekko, jeśli jest się młodą niezamężną kobietą na Manhattanie.

Wokół roi się od odnoszących sukcesy zawodowe harpii, zawsze przy kasie rzecz jasna, brylujących wszędzie gdzie się znajdują, od młodych lat wydających majątek na fryzjera, kosmetyczkę i manikiurzystkę, przy których takie szare, nieco puszyste myszki jak ja nie mają najmniejszych szans, nawet jeśli staną na rzęsach (umalowanych w ostatniej chwili pożyczonym od koleżanki tuszem) i od czasu do czasu wyskoczą po pracy na łowy do pobliskiego baru, tłumacząc sobie w duchu, że wykazywanie inicjatywy to w dwudziestym pierwszym wieku nie grzech (i często zapomniawszy zmienić wygodne, rozchodzone buty na czółenka na niebotycznym obcasie). Nasze wypady na ogół kończyły się klapą, chociaż za nic w świecie byśmy tego przed sobą nie przyznały; wołałyśmy udawać, że świetnie się bawiłyśmy w swoim towarzystwie, że nie ma to jak zgrana paczka przyjaciółek. Ja wszakże w głębi duszy wiedziałam, iż za ich — i moją własną — maską beztroski kryje się smutek i rozpaczliwe pragnienie bycia kochaną. Wiedziałam również, że wykorzystujemy się wzajemnie, traktując jak emocjonalny substytut mężczyzny, na którego wciąż czekamy. Byłyśmy sobie potrzebne, podtrzymywałyśmy się nawzajem na duchu, jedna drugiej wypełniała bolesną pustkę w życiu, lecz nawet największe papużki nierozłączki z radością poświęciłyby swoją przyjaźń w zamian za męża i dzieci. Z każdym sylwestrem przynależne nam z racji urodzenia i płci prawo do szczęścia rodzinnego stawało się coraz mniej realne — i coraz bardziej upragnione.

Mnie całe to udawanie nie wychodziło najlepiej.

Chociaż zostałam wychowana przez samotną matkę, która przy każdej okazji podkreślała, że jej stan cywilny to świadomy wybór (jakoś nigdy w to nie uwierzyłam), nie zabrakło w moim życiu wzoru małżeństwa — rolę tę odgrywali Dziadkowie, rodzice mamy. Dziadek James był nauczycielem w małej wiejskiej szkółce, a Babcia Bernadine zajmowała się domem. Jako dziecko odwiedzałam ich niemal co roku, spędzając z nimi letnie wakacje i pływając się w atmosferze miłości, okazywanej przez nich sobie nawzajem oraz mnie. Dzięki Dziadkom dowiedziałam się, że istnieje inny model życia niż ten oferowany przez moją artystowską matkę, Niamh. Być może dlatego,

że w domu panowała swoboda, a metody wychowawcze stosowane przez mamę były, delikatnie mówiąc, niekonwencjonalne, tradycyjne małżeństwo Dziadków, z podziałem obowiązków jak Pan Bóg przykazał, miało w moich oczach powiew świeżości. Długie letnie dni wypełniało im zwykłe życie — James zajmował się ogródkiem warzywnym, Bernadine większość czasu spędzała w kuchni, pozwalając mi sobie pomagać, nawet jeśli oznaczało to pokrycie wszystkich, lśniących czystością powierzchni grubą warstwą mąki... Ponieważ należeli do starszego pokolenia, które wiele przeszło, nie byli wylewni w okazywaniu uczuć, ale nawet taki brzdąc jak ja potrafił odczytać ich wzajemną miłość z drobnych gestów i słów.

Bernadine i James pozostali małżeństwem przez pięćdziesiąt lat (Babcia przeżyła Dziadka o osiem lat). Pamiętam, że jako nastolatka nie mogłam wyjść z podziwu, iż istnieje miłość tak silna, że trzyma ludzi przy sobie przez pół wieku — trzykrotność mojego życia. Postanowiłam sobie wtedy, że jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko za mężczyznę, którego będę darzyć uczuciem, jakie zdoła przetrwać co najmniej połowę stulecia.

Już w stosunkowo młodym wieku zrozumiałam, że moją ambicją — i przeznaczeniem — jest zostać czyjąś żoną. Od tamtego czasu umawiałam się z nudziarzami, nieudacznikami, draniami, jak również z całkiem miłymi młodzieńcami i dojrzałymi mężczyznami, z których niestety żaden nie okazał się tym jedynym. Sakrament małżeństwa w moim odczuciu to zbyt poważna sprawa, żebym pozwoliła sobie na kompromis — nawet wtedy gdy raz czy dwa wpadłam po uszy i na zabój się zakochałam — toteż ostatnim wysiłkiem woli odmawiałam swojej ręki, jeszcze nawet zanim mnie o nią poproszono.

Poniewczasie zrozumiałam, że kiedy w grę wchodzi miłość, znacznie rozsądniej jest słuchać głosu serca niż umysłu...

Uległam, kiedy umysł powiedział memu sercu, że całkiem miły facet, z którym właśnie się spotykam, może być moją ostatnią szansą na małżeństwo i rodzinę. Splot okoliczności i zegar biologiczny zawiązały przeciwko mnie spisek, wywołując zamęt i coś na kształt miłości, jednakże teraz wiem, że to co poczułam do Dana, nigdy nie było prawdziwą miłością, a powinno, jeśli chciałam, by nasze małżeństwo przetrwało. Naiwnością z mojej strony było ludzić się, że uczucie stężeje i okrzepnie tylko dlatego, że ja tego chcę.

Kiedy nasza dotychczas niezbyt zażyła znajomość miała nabrać rumieńców, że się tak wyrażę, urządziłam sobie „dzień dobroci dla siebie”, na jaki stać tylko kogoś, kto mieszka sam. (Gwoli wyjaśnienia: nie chodzi mi

tutaj o folgowanie swoim zachciankom, do czego namawiają kolorowe pisma dla kobiet. Mój dzień dobroci sprowadzał się do wyłączenia telefonu i spuszczenia nosa na kwintę, i usadowienia się na kanapie z gigantycznym opakowaniem chusteczek higienicznych w zasięgu ręki. Jednym słowem zrzuciłam wszystkie maski i pozwoliłam sobie na „doła”. Nie zdarza mi się to często, ot, raz do roku, zazwyczaj w okolicach urodzin. Każdorazowo zawczasu pamiętam, żeby wziąć sobie dzień wolnego, po czym obudziwszy się karnie jak co rano, zostaję w łóżku i użalam się nad sobą. Nie nazwałabym tego depresją, po prostu potrzebuję побыć sama i sobie dogodzić. Inni mogą w takiej sytuacji wykupić ofertę last minute albo zapisać się na kurs jogi czy medytacji — mnie wystarcza chlupocząca w butelce resztką whisky Jack Daniel’s i półtora tuzina paczków. Paręnaście godzin spędzone tylko w swoim towarzystwie (jeśli nie liczyć kiepskiego programu telewizyjnego) nieodmiennie skutkuje poprawą nastroju.

Od jakiegoś czasu nie musiałam nawet pamiętać, żeby wziąć dzień wolnego — praca na własny rachunek ma więcej dobrych stron, niż przypuszczałam, kiedy przed pięcioma laty podejmowałam decyzję życia. Wcześniej mozolnie się wspinałam po kolejnych szczeblach kariery, jaką oferuje branża wydawnicza. Od samego początku związana byłam z pismem o tematyce kulinarnej, toteż zaczynałam jako ichniejszy odpowiednik pomocy kuchennej, by z czasem awansować na dekoratorkę stołów, degustatorkę potraw, stylistkę, asystentkę redaktora i wreszcie samodzielną redaktorkę. Po paru latach takiego kieratu zmęczyło mnie codzienne chodzenie do pracy, wbijanie się w przepisową garsonkę, szczyrzenie zębów do obcych ludzi i rozmawianie o głupstwach, toteż dokładnie w trzydzieste trzecie urodziny zaryzykowałam i zrezygnowałam ze stanowiska w największym magazynie kulinarnym w Stanach, mając nadzieję że wyrobiona pozycja zapewni mi zlecenia jako wolnemu strzelcowi. I nie pomyliłam się. Wkrótce skontaktował się ze mną agent, dzięki którego pomocy udało mi się opublikować trzy cieszące się powodzeniem książki kucharskie. Oprócz tego wymyślam przepisy i dokonuję degustacji na zlecenie firm produkujących żywność, a zupełnie na boku robię coś, co sprawia mi największą frajdę i przynosi największy dochód, a mianowicie projektuję kuchnie dla bogatych pań domu. Jak się okazało, moja pozycja nie tylko nie doznała żadnego uszczerbku, ale wręcz się umocniła, a ostatnio pocztą pantoflową dowiedziałam się, że są mną zainteresowani twórcy pierwszego kanału TV zajmującego się wyłącznie kulinariami.

Krótko mówiąc byłam typową przedstawicielką swego pokolenia. Udało mi się osiągnąć jaki taki sukces zawodowy, w sprawach służbowych nie brakowało mi pewności siebie, swoim skromnym zdaniem miałam wiele do zaoferowania — a mimo to moje życie uczuciowe leżało w gruzach. W dużej mierze za sprawą ostatniego palanta, w którego ramiona zrzędzeniem losu wpadłam, a którego imienia wolę nie pamiętać. Myślałby kto, że po piętnastu latach w branży powinnam być mądrzejsza i unikać wschodzących gwiazd kuchni i obiektywu, płci męskiej oczywiście, gdyż ich wydelikaczone ego nie dopuszcza myśli, że koleżanka po fachu może być równie dobra, jeśli nie lepsza od nich. To, że się w ogóle z jednym z nich zadałam, świadczy dobitnie o tym, jak bardzo byłam zdesperowana. Żeby jeszcze miał klasę albo prawdziwy talent, ale gdzie tam —jedyne co potrafił, to zaciągnąć trzydziestoparoletnią starą pannę do łóżka, i to pierwej napoiwszy ją martini z wódką, być może licząc przy tym, że dopomogę w jego rodzącej się karierze.

Tak czy inaczej, przespałam się z Ronanem, a potem czekałam, aż zadzwoni. Nie zadzwonił. Dwa tygodnie później wpadliśmy na siebie na jakimś otwarciu restauracji — jego ramienia uczepiona była wystrzałowa modelka. W pierwszym odruchu chciałam dać mu do zrozumienia, że zranił mnie bardziej niż w rzeczywistości, rozgrywając wszystko z odpowiednią nutą cynizmu, lecz kiedy ma się prawie czterdziestkę na karku, należy uważać, jakie miny się stroi. Koniec końców przełknęłam gorzką pigułkę w milczeniu i choć cała sprawa dziabnęła mnie tylko z lekka, w następnych dniach czułam się, jakby uszło ze mnie całe powietrze i chęć do życia. Przykre doświadczenie podziałało mimo wszystko otrzeźwiająco i potrzebowałam tylko kapki whisky i paru łez, żeby dojść do siebie. To właśnie wtedy w moim życiu pojawił się Dan.

— Proszę pani, robimy ćwiczenia przeciwpożarowe...

Głos dochodzący z korytarza brzmiał obco, jednakże hasło próbnego alarmu sugerowało, że mam do czynienia z dozorcą. Z nowym dozorcą, gdyż zmieniali się z regularnością zegarka, zapewne z powodu syfiastej służbówki w suterenie. Ten nie mógł pracować dłużej niż miesiąc, bo nie znałam go jeszcze po głosie, chociaż raz czy dwa razy widziałam, jak po ciemku zmieniał żarówki w holu na dole.

— Halo! Proszę pani? Udział w ćwiczeniach jest obowiązkowy...

Nie znoszę, kiedy ktoś zwraca się do mnie per „proszę pani”. Czuję się wtedy stara i paradoksalnie mało kobieca.

— Tu chodzi o bezpieczeństwo, proszę pani.

Cóż, może rzeczywiście jestem stara i mało kobieca, pomyślałam. A na dodatek lekko wstawiona.

Otworzyłam gwałtownie drzwi i uczepiona klamki, chwiejąc się na nogach, warknęłam:

— Nie widzi pan, że jestem zajęta?

Uniosłam obleczone w piżamę ramiona i zamachałam nimi jak, nie przymierzając, biała dama, po czym trzasnęłam drzwiami, aż zadrżała futryna. Zdażyłam jednak zauważyć, że dozorca jest niezmiernie przystojny. Nie „taki sobie”, co w połączeniu z miłym charakterem już zapowiada się całkiem obiecująco, ale autentycznie „niezmiernie przystojny” — wyglądał, jakby uciekł wprost z planu, na którym kręcono reklamówkę wody po goleniu. Do takich mężczyzn wzdychają nastolatki, póki nie zrozumieją, że nie dla psa kielbasa i że poza tym wszyscy modele to geje.

Naturalnie, jako niegłupia kobieta w wieku niemalże średnim (otrzepująca z flanelowej piżamy okruszki szóstego pączka) zdawałam sobie sprawę, że wygląd to nie wszystko. Ze liczy się to, co wewnątrz (cóż, w moim wypadku była to akurat whisky). W ciągu tych kilku sekund kiedy stałam z Danem oko w oko, musiałam dostrzec w jego wzroku coś — błysk pożądania może? — co sprawiło, że postanowiłam się ogarnąć. Tylko trochę, bez zbędnych ekstrawagancji w stylu golenia nóg, które mogło się źle skończyć w moim ówczesnym stanie — ot, przycesałam włosy, wyczyściłam zęby i przebrałam się w coś seksowniejszego od nieświeżej piżamy.

Dan wrócił, gdy ćwiczenia dobiegły końca. Tego akurat się spodziewałam, toteż zdziwiło mnie co innego — że jest tak przystojny, jak go zapamiętałam. Jeszcze bardziej szokujące było odkrycie, że w jego łagodnych piwnych oczach rzeczywiście czai się pożądanie pomieszane z podziwem, jakbym była najpiękniejszą kobietą na ziemi. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył, być może dlatego że nie zaliczam się do klasycznych piękności, i choć mile mnie to polectało, z trudem tłumiłam śmiech. Kiedy zaprosiłam go do środka, zawahał się jak parobek u progu komnaty księżnej.

Uwiedzenie go to była bułka z masłem. I kolejny powód do zdziwienia, jako że aż do tamtej pory zawsze uwodzono mnie, nie odwrotnie. Gwoli ścisłości muszę przyznać, że nigdy zbyt nie opierałam, chociaż nigdy też nie brałam inicjatywy w tych sprawach we własne ręce. Przy Danie jednak role się odwróciły. Im bardziej on się denerwował, tym spokojniejsza

byłam ja. Kiedy on tracił pewność siebie, ja w cudowny sposób ją zyskiwałam.

Było fantastycznie i mniejsza o szczegóły. Kochając się z nim przeżyłam jeszcze jedno zdziwienie: nawet nie przypuszczałam, że mężczyzna może seksem złożyć kobiecie hołd — a tak właśnie się czułam, kiedy Dan adorował, pieścił i kochał każdy centymetr kwadratowy mojego ciała. Przystojniak i świetny kochanek w jednym. Do tego wszystkiego ogarnęło mnie przy nim poczucie błęgiego bezpieczeństwa.

W głębi duszy od samego początku wiedziałam, że Dan nie jest w moim typie. Tak naprawdę pociąga mnie męski intelekt, nie ciało, a z Danem niewiele nas łączyło.

Patrząc z perspektywy czasu mam wyrzuty sumienia, że wykorzystałam go, ponieważ wcześniej mnie samą wykorzystano i dlatego że czułam się samotna i byłam lekko pijana. No i jeszcze leżało to w zasięgu moich możliwości. Niebezpieczna kombinacja przyczyn i skutków, która zaowocowała małżeństwem.

Trudno oczekiwać, żeby było ono udane.

RS

Rozdział drugi

Nowy Jork, 2004

Przypadkowy popołudniowy seks z Danem niepostrzeżenie przedzierzgnął się w wygodny dla obu stron związek, co miało swoje plusy i minusy. Zawdzięczałam mu powrót do normalności, co do tego nie było dwóch zdań. Niestety postrzegałam go poprzez pryzmat poprzedniego faceta — i w ogóle wszystkich swoich poprzednich związków — a to źle wróżyło na przyszłość. Moi eks co do jednego okazali się palantami, ale zawsze wibrowało między nami od napięcia, nieważne że negatywnego. Z Danem sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Czułam się przy nim bezpieczna, zbyt bezpieczna. Czasami wręcz prosiłam go w duchu, żeby postąpił wbrew własnej naturze i mnie skrzywdził, bo przecież lepiej cierpieć ból, aniżeli nie czuć nic.

Być może trochę przesadzam. W końcu musiałam coś do niego czuć, skoro za niego wyszłam. Wydawało mi się nawet, że to miłość.

Było mi z nim dobrze w łóżku, ale nie tylko. Ogólnie rzecz biorąc czułam się w jego obecności pewniej niż kiedykolwiek. Dan uważał mnie za ósmy cud świata i dosłownie pożerał oczami, co muszę przyznać, stanowiło dla mnie nie lada nowość. Odkąd sięgam pamięcią, lubiłam jeść i pichcić, nic dziwnego więc, że jestem lekko puszysta — nie za bardzo, ale z całą pewnością nie przypominam tych wszystkich zabiedzonych anorektyczek, które wyznaczają współczesny kanon urody. Dan jest pierwszym mężczyzną, przy którym nie wstydzę się swojej figury ani łakomstwa. Od samego początku na każdym kroku prawił mi komplementy, jaka to jestem seksowna i mądra, jak to świetnie gotuję i że w ogóle jestem kobietą jego marzeń. Zakochał się we mnie tamtego pierwszego dnia i z każdym dniem kochał mnie coraz bardziej. Nie miał cienia wątpliwości, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Po trzech miesiącach znajomości powiedział:

— Pobierzmy się.

Nie zapytał: „Wyjdiesz za mnie?” ani z wahaniem nie zaproponował: „Wydaje mi się, że powinniśmy się pobrać”. Po prostu stanowczo zarządził:

— Pobierzmy się. Wiem, że będziesz ze mną szczęśliwa.

Po raz pierwszy w życiu ktoś poprosił mnie o rękę i struchlałam na samą myśl, że jest to nie tylko pierwszy, ale być może także ostatni raz. Było nie było, miałam trzydzieści osiem lat. Całą sobą pragnęłam wierzyć w Dana i w „żyli długo i szczęśliwie”. Cóż miałam robić, zgodziłam się.

Natychmiast dałam się porwać wirowi przygotowań do ślubu i czerpałam z tego przyjemność, chociaż oczywiście wiedziałam, że to tylko oprawa. Suknia, tort, przyjęcie weselne... Niewątpliwie największe przedsięwzięcie, jakie kiedykolwiek organizowałam. W niczym nie różniłam się od innych panien młodych, które przerażone tym, że powiedziały „tak”, pozwalają, by pytania o liczbę gości i kolor welonu zaprzętały im głowę, byle tylko nie musiały już myśleć, czy aby na pewno podjęły dobrą decyzję. W zamieszaniu połączenie dwóch ścieżek życiowych stało się mniej ważne od towarzyszącego mu show.

Naturalnie byłam rozchwytywana. Moja najlepsza przyjaciółka Doreen, która jest redaktorką magazynu mody, przypuściła na mnie atak wraz z całym personelem pisma. Poczułam się przy nich jak brzydkie kaczątko.

— Zrobimy z niej pannę młodą w stylu europejskim, to będzie hit nadchodzącego sezonu...

— Ona jest Irlandką.

— Tym lepiej. Irlandia jest w Europie, prawda?

— Geograficznie rzecz biorąc, tak. Pod względem mody zdecydowanie nie. Bliżej jej do Kanady.

— Aha.

— Moim zdaniem należałoby ubrać ją w coś, co odwróci uwagę od jej rozmiaru. Co powiecie na wysoką przezroczystą stójkę?

— To za mało. Przydałoby się jakoś zatuszować ten wielki tyłek.

— Tak czy inaczej będzie musiała zrzucić parę kilo, jeśli chce wystąpić w białej sukni...

Pomimo wszystko dobrze się bawiłam. Odpowiadała mi rola księżniczki, zamieszanie wokół mojej osoby i lekki zbytek.

Parę dni przed ceremonią ślubną z Londynu przyleciała moja matka. Zawsze chciałam, żeby była taka jak inne mamy, żeby prasowała moje ubranka i piekła mi ciasteczka, podczas gdy ona wołała we mnie widzieć swoją przyjaciółkę, a nie córkę. Nigdy się nie kłóciłyśmy, gdyż zwyczajnie zamieszkiwałyśmy odrębne światy — tak niewiele miałyśmy ze sobą wspólnego. Dorastając u jej boku, jako nastolatka przeszłam fazę młodzieńczego buntu, tyle że na opak, i wyrosłam na osobę konserwatywną i twardo stającą po ziemi. Niamh pozostała roztrzepana i narwana. Przed pięcioma laty opuściła Stany, podążając za swym partnerem do Wielkiej Brytanii (on otrzymał posadę na Uniwersytecie Oksfordzkim, a ona odgrywała rolę jego ekscentrycznej żony, jak gdyby hippisowskie ciuchy i

ufarbowane na krzykliwy kolor włosy mogły zbulwersować zimnokrwistych Angoli). Zabolało mnie wtedy, że tak łatwo wyrzuciła mnie ze swojego życia. Opuszczona i samotna, nie czułam potrzeby bliższego kontaktu, zresztą ona także nie dążyła do poprawienia stosunków. Od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon, ale żadna z nas nie kwapiła się do odwiedzin, i tak zleciało parę długich lat. Z obawy, że może nie skorzystać z zaproszenia, całkiem poważnie myślałam o tym, by nie powiadomić jej o ślubie, oczywiście udając przed sobą, że jej nieobecność nie wyrzeze na mnie żadnego wrażenia. Wiedziałam, że Niamh nie uznaje instytucji małżeństwa, toteż niepomniecznie mnie zdziwiło, że jednak się przemogła i przeleciała taki kawał drogi, żeby dać mi swoje błogosławieństwo.

W wieczór poprzedzający wielki dzień poznałam ją z Danem. Kiedy późno w nocy zostawił nas same, nie położyłyśmy się od razu spać, tylko siedziałyśmy dalej, rozmawiając i popijając drinki.

— Podoba mi się — rzekła Niamh. Obie osiągnęłyśmy wówczas etap pijackiej szczerości, lecz przynajmniej ja nie byłam na tyle pijana, by nie zapamiętać tego, o czym mówiłyśmy. — Chociaż zdaję sobie sprawę, że moje zdanie nie ma dla ciebie najmniejszego znaczenia. — Zaprotestowałam słabo, ale uciszyła mnie gestem ręki. — Babci też by się podobał. — Nad tym zastanowiłam się głębiej. Czyżby naprawdę tak myślała czy też chciała mnie podnieść na duchu, dzięki matczynej intuicji dostrzegając moją niepewność. Chyba to drugie, bo dodała jeszcze: — Sprawia wrażenie solidnego.

Co za niedomówienie! pomyślałam. Czknęłam i dodałam w duchu: Nie powinnaś była tego mówić. Ani wspominać Bernadine.

Wiem, że Niamh chciała dobrze, ale jej słowa sprawiły tylko, że się rozkleiłam i jeszcze boleśniej odczułam brak Babci. Chociaż minęło już niemal dziesięć lat, odkąd umarła, wciąż mi jej brakowało i nadal darzyłam ją żywym uczuciem. Pragnęłam, by towarzyszyła mi w najważniejszej chwili mego życia, nie dlatego że nie ufałam sobie czy Danowi — po prostu wydawało mi się nie w porządku podejmować tak ważną decyzję bez niej.

— Też mi jej brak — szepnęła Niamh wyczuwając, o czym myślę. Oczy łzawiły jej z niewyspania, od alkoholu i być może czegoś jeszcze. Ujęła moją dłoń i ściskając mnie mocno, zapewniła: — Nie przestała cię kochać. Podobnie jak ja...

Nie znosiłam, kiedy mówiła o zmarłych tak, jakby nadal byli wśród żywych, denerwowała mnie jej naiwna wiara w życie po życiu, tym razem

wszakże skupiłam się nie na słowach, lecz na tonie jej głosu i zrobiłam coś, czego nie robiłam od dzieciństwa. Oparłam głowę na jej piersi i wtulając twarz w szorstki materiał bluzki, przesiąknięty dziwnym zapachem perfum, pozwoliłam się utulić w swoim żalu. Niamh głaskała mnie delikatnie po włosach, a ja czułam na sobie ręce całych pokoleń matek — przez moment wydawało mi się, że to Bernadine kołysze mnie uspokajająco w swych silnych ramionach.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, wiem tylko, że kiedy wreszcie uniosłam zapłakane oczy, byłam pogodzona z faktem, że Babcia odeszła na zawsze. W moim wypadku żałoba po niej trwała długie lata, zapewne dlatego że Bernadine wywarła na moje życie znaczący wpływ. Gdyby nie ona, nigdy nie zainteresowałabym się gotowaniem. Niamh karmiła mnie daniami na wynos i naprędce podgrzaną zawartością puszek, tak więc gdyby nie wakacje spędzane głównie w Babcinej kuchni, nie wiedziałabym, co to chrupiący chleb prosto z pieca, mięciuchne kotlety jagnięce, marchew na ciepło, na myśl o której wciąż leci mi ślinka, czy młode ziemniaki gotowane w mundurkach i rozpływające się w ustach. Nie poznałabym tajników kucharzenia, które podówczas jawiły mi się cudem, gdyż nie słyszałam wtedy jeszcze o procesach chemicznych — bacznie obserwowałam rosnące pod czystą ściereczką ciasto, masło znikające na gorącej patelni czy ciemniejącą w piecu skórkę chleba. Ilekroć Babcia sięgała po swój fartuch, zawieszony na haku z tyłu kuchennych drzwi, przechodził mnie dreszcz. Z zapartym tchem śledziłam, jak wykłada i odmierza składniki na długim sosnowym stole i szykuje utensylia, nie mogąc się wprost doczekać, by wziąć udział w zaczynającym się misterium. Bernadine uczyła mnie gotować z całą należąca temu zajęciu powagą. Nigdy nie bawiłyśmy się w gotowanie, nie było mowy o rozsypywaniu mąki, tłuczeniu jajek czy rozlewaniu mleka. Jeśli zachowałam się jak ostatnia niezdara, karciła mnie łagodnie, przypominając o grzechu marnotrawstwa, a ja przyjmowałam naganę z szerokim uśmiechem — wiedziałam bowiem, że Babcia nie potrafi się na mnie gniewać. Niamh nie przejawiała inklinacji do gotowania, toteż całą swą wiedzę i doświadczenie Bernadine postanowiła przekazać mnie, co niezwykle mnie radowało. W historii świata nie było chyba pilniejszej uczennicy. Dziadek — nauczyciel, jak wspomniałam, i pożeracz książek — nieświadomie wpłynął na mój wybór studiów (ukończyłam filologię angielską), ale to Babcia zaważyła na moim życiu. Takie właśnie myśli przelatywały mi przez głowę na paręnaście godzin przed mającym się odbyć

ślubem. Nie wiem, czy sprawił to stres czy obecność Niamh i ducha Babci, ale to wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, jak wiele zawdzięczam tej ostatniej, i w przypływie wdzięczności postanowiłam stworzyć na jej cześć książkę kucharską zawierającą tradycyjne irlandzkie przepisy, nim owionie je mgła zapomnienia.

Krótko mówiąc w przeddzień ślubu pojednałam się z matką i doszłam do ładu z własnymi uczuciami wobec ukochanej Babci, chociaż nadal nie byłam w stu procentach przekonana, że dobrze robię wychodząc za Dana. Tłumaczyłam sobie, że to tylko nerwy, niepewność, jakiej doświadcza większość panien młodych, i że nie ma się czym przejmować. Na wszelki wypadek nie podzieliłam się swymi wątpliwościami z Niamh, znając jej poglądy i obawiając się, że mogłaby mnie odwieść od zamążpójścia. Odwołanie ślubu w ostatniej chwili to dosyć dramatyczne wydarzenie, a ja nie lubię dramatów. Poza tym nie opuszczała mnie obawa, że Dan — nawet jeśli daleko mu do wymarzonego księcia z bajki — jest moją ostatnią szansą na założenie rodziny. (Jednym słowem bardziej bałam się samotności aniżeli tego, że poślubię niewłaściwego mężczyznę.)

Ślub okazał się wielkim sukcesem, czyli było tak, jak obiecywały czasopisma, po które sięgałam wcześniej, szukając w nich porad. Pobraliśmy się w małym kościółku w Yonkers, w rodzinnej parafii Dana. Ceremonia odbyła się według rytuału katolickiego — Niamh prowadziła mnie nawą, po czym oddała w ręce Dana, później zaś nie odstępowała mnie Doreen, która oczywiście została moją druhną. Po złożeniu przysięgi małżeńskiej .. .póki śmierć nas nie rozłączy... odwróciłam się tyłem do ołtarza, czując, że to jest to, o czym zawsze marzyłam. Równocześnie w głowie mi się nie mieściło, że to dzieje się naprawdę. Uśmiechnięci, wpatrywali się we mnie wszyscy, których znałam i kochałam. Chciało mi się krzyczeć i płakać ze szczęścia. Uczucia mnie przepełniające były silniejsze, niż mogłam się spodziewać, silniejsze niż jakiegokolwiek doświadczone wcześniej. Jednak znalazłam się w samym środku bajki z dobrym zakończeniem! Nadzieja, że dożyję tej chwili, nigdy we mnie nie zgasła, chociaż z biegiem lat skrywałam ją coraz głębiej. Płakałam teraz, idąc wolnym krokiem w stronę wrót kościoła, za którymi czekał mnie wspaniały dalszy ciąg życia. U mego boku kroczył mężczyzna, któremu to wszystko zawdzięczałam.

Oświadczając mi się Dan powiedział, że uczyni mnie szczęśliwą. Nie miał racji. Nikt nie jest w stanie uczynić drugiego człowieka szczęśliwym —

szczęście bierze swój początek wewnątrz, nie na zewnątrz. Dan mnie kocha, w to nie wątpię, ale jego miłość to za mało. J a powinnam także go kochać.

Smutna prawda jest jednak taka, że nie można kogoś pokochać, jeśli chemia nie zagra. A niestety albo jest to „coś”, albo tego czegoś nie ma, czy jak kto woli: albo iskrzy jak cholera, albo nie iskrzy wcale...

RS

Rozdział trzeci

Fal Iochtar, Parafia Achadh Mor, Hrabstwo Mayo,
Irlandia, 1932

Kiedy na człowieka spada prawdziwa miłość, nie ma się wątpliwości. Uczucie przychodzi nagle niczym wiosenna burza, napełniając serce radością, i równie szybko odchodzi, pozostawiając po sobie pustkę.

Jest też miłość innego rodzaju. Taka, która skrada się powoli, tak że człowiek nie od razu rozpoznaje w niej prawdziwe uczucie. Z każdym dniem przybiera na sile, lecz na tyle nieznacznie, że niemal niezauważalnie. Wreszcie wypełnia serce po brzegi i odtąd nigdy go już nie opuszcza.

Zznałam obu rodzajów miłości. I choć przez długi czas myślałam, że cenię tylko jeden z nich, teraz wiem, że nie sposób przedkładać go nad ten drugi...

Kiedy moje oczy spoczęły na Michaelu Tuffym, zrozumiałam, co znaczy prawdziwa miłość. Jeśli nawet wcześniej wydawało mi się, że kogoś kocham czy choćby jestem mu winna lojalność, w ułamku sekundy wszelkie uczucia zbladły i utraciły znaczenie. Michael Tuffy sprawił, że krew żywiej zaczęła mi krążyć w żyłach. Gdy zwrócił na mnie wzrok, znalazłam się pod jego całkowitym urokiem i odtąd moje istnienie miało sens tylko w połączeniu z żywionym doń uczuciem.

Będąc żoną, matką i babcią, w ciągu długich, długich lat życia nigdy nie zapominałam, jak to jest zakochać się nagle i bez pamięci. Jak to jest kochać kogoś na tyle silnie, że chciałoby się za nim pojechać na drugi koniec świata. I jak to jest dowiedzieć się, że to niemożliwe...

Po raz pierwszy spotkaliśmy się podczas spraoi w domu Kitty Conlan. Miała rękę do swatania ta Kitty, a trzeba pamiętać, że w tamtych czasach niewiele było okazji do spotkań w Achadh Mor. Położone wśród ugorów, w przeszłości splamione krwią miejscowych i najeźdźców i dotknięte Wielkim Głodem, nie otwierało przed młodymi możliwości, jeśli nie liczyć wyjazdu do Anglii czy Ameryki. Ci, którzy pozostali, stanowili niedobitki licznej niegdyś społeczności, teraz mającej kłopoty z odnalezieniem się w nowej rzeczywistości. Zdawało nam się, że setki tysięcy emigrantów, którzy opuścili hrabstwo Mayo w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, zabrało ze sobą po garści ojczystej ziemi, pozostawiając nas na ruchomych piaskach. Nie mieliśmy do roboty wiele poza trwaniem; czekaliśmy na naszych, w pocie czoła pracujących na polach hrabstwa Yorkshire i dorabiających sobie

w porze wykopków, w nadziei że kiedy wrócą, ich nowe ubrania i wypchane portfele wniosą w nasze życie nieco blasku. Tymczasem musieliśmy zadowolić się swoim towarzystwem.

Lubiłam te spotkania przy muzyce i tańcach, pamiętam, jaką przyjemność sprawiało mi, że chłopcy strzelają oczyma w moją stronę — cóż, nigdy nie byłam przesadnie nieśmiała. Wiele osób nazywało mnie zepsutą, nawet moja własna matka załamywała nade mną ręce od czasu do czasu. „Wstydzilibyś się”, mówiła do mnie na oczach ciotki Ann, która właśnie przyjechała z wizytą z Ameryki, i zwracając się do siostry, wyjaśniała: „Jest rozpuszczona jak dziadowski bicz, wszystkiego jej mało, a na dodatek zawsze musi postawić na swoim. Ileż to razy powtarzam jej: Bernadine, życie jest ciężkie, ale gdzie tam, ona głowę ma wypełnioną głupotami. ..” Zdaniem matki jedną z tych głupot była miłość. Och, nawet wtedy i nawet u nas ludzie bez przerwy się zakochiwali i nawiązywali romanse, ale te przygody rzadko kończyły się ślubem. Małżeństwo to była poważna sprawa, nie jakieś tam fiu-bździu, rozchodziło się przecież o ziemię, pieniądze i bezpieczeństwo na resztę życia. Małżeństwo z miłości nie było w modzie, ba, było przejawem nieodpowiedzialności. Tak też tę sprawę postrzegala matka, czym wówczas zasłużyła sobie na moją pogardę, chociaż gdy patrzę na to z dzisiejszej perspektywy, wiem, że chciała tylko ochronić mnie przed rozczarowaniem i rozpacą, nieuniknionymi dziećmi idealizmu.

Pochodzę z typowej irlandzkiej rodziny. Miałam trzech braci i ojca pijaka, poza tym w domu nie było prawie nic. W tamtych czasach mało kto cokolwiek posiadał, a kobieta zdana była na łaskę męża. Od jego zamożności i pracowitości zależało, jak im się powodziło. Jeśli kobiecie trafił się leń, całe życie spędzała w ubogiej chałupie, cóż z tego, że otoczonej sporym polem. Jeśli pijak, sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, gdyż nawet jeżeli za dnia pracował w pocie czoła, wieczorem wszystko przepijał, święcie przekonany, że ma do tego prawo. Tak właśnie było u nas. Nic dziwnego więc, że matka nie tylko prowadziła gospodarstwo, ale także harowała w polu, a do tego oporządzała żywinę. Utuczone świniaki odkupywał od niej rzeźnik z Ballyhaunis, a jaja matka sama zawoziła do sklepiku w Kilkelly. Obaj jej odbiorcy wiedzieli, jakim człowiekiem jest ojciec, i byli świadomi, że tylko dzięki przedsiębiorczości matki mamy co do gęby włożyć. Byli przyzwoitymi ludźmi — nie tylko uznali za rzecz normalną, że robią interesy z kobietą, ale nawet przyzwoicie płacili, jakby zdając sobie sprawę z jej desperacji. W domu z matki uchodziła cała energia;

ciężkie życie uczyniło z niej osobę zgorzkniałą, wysiłek fizyczny przygarbił ją do ziemi i oddalił od własnych dzieci. Gołym okiem widać było, że jest nieszczęśliwa, i nawet ja wiedziałam dlaczego. Przynależałam sobie w duchu, że nie podzielę jej losu.

Moją zbawczynią okazała się ciotka Ann, zatwardziała stara panna, która wyjechała do Ameryki jeszcze w 1910 roku i zrobiła za Wielką wodą karierę jako szwaczka. Po dwudziestu latach wyrobniczej pracy dla „państwa” wróciła do Fal Iochtar milionerką — co podówczas oznaczało, że miała trochę grosza i więcej niż jeden płaszcz na zimę. Była moją ulubioną ciotką, gdyż zawsze miała dla mnie czas — żadnego chłopca w domu! — a poza tym czytała mi książki i opowiadała o Nowym Jorku. Czasem zostawałam u niej na noc i właśnie te chwile wspominam najmilej. Smażyłyśmy sobie placuszki ziemniaczane, smarowałyśmy je grubo masłem i kwaskowatym dżemem agrestowym, który przyniosłam z domu, i zajadając się rozprawiałyśmy w najdrobniejszych szczegółach o wszystkich sąsiadach po kolei. Ciotka Ann znała bulwersujące historie o ich amerykańskich krewnych: ten ożenił się z żydówką, tamten dał się zabić w podłym barze, walcząc na gołe pięści z czarnym. Ja rewanżowałam się tylko trochę nudniejszymi opowieściami o sporach o miedzę, które nieraz przyjmowały bardzo gwałtowny obrót. Zresztą chętnie nagiełabym prawdę i dodała parę szczegółów, jeśli tylko za tę cenę mogłabym zostać u ciotki dłużej; jej dom jawił się moim oczom niczym pałac wypełniony po brzegi pięknymi i egzotycznymi przedmiotami. Jak dziś pamiętam wazon z grubego szkła koloru kocich oczu, w którym zawsze tkwiła pojedyncza świeżo zerwana róża, albo wyściełany futrem gronostaj taboret, na którym uwielbiałam przesiadywać, czy też ciotczyne kimono, bogato zdobione haftowanymi piwoniami i chryzantemami.

Zażyła znajomość z ciotką czyniła ze mnie osobę światową, wielce się różniącą od pospolitej masy zamieszkującej naszą wioskę, i to nie tylko w moich oczach, ale również w oczach młodych mężczyzn, którzy przywykli uważać mnie za jedną z ładniejszych i bardziej interesujących dziewcząt w piekiełku naszej parafii, gdzie przedstawicielki płci pięknej nigdy nie było za wiele. Doskonale się czułam postawiona na piedestale, wysoko zadzierając już zadarty zgrabny nosek i potrząsając bujnymi czarnymi lokami. Jednakże ci nieliczni, którzy odważyli się do mnie zbliżyć, odchodzili jak niepyszni dostawszy upokarzającego kosza — ja głowę miałam zaprzątniętą czym innym. Odkąd usłyszałam o niej po raz pierwszy, nie

opuszczało mnie pragnienie, by wyjechać do Ameryki. Miałam się za odważną i żądną przygód młodą kobietę, która chce emigrować nie za chlebem, lecz by wzorem ciotki zrobić w Nowym Świecie oszałamiającą karierę. Oczywiście liczyłam na drobną pomoc finansową, opłacenie przeprawy i narajenie pracy, lecz poza tym byłam przekonana, że sobie poradzę. I być może tak by się stało, gdyby nie to, że się zakochałam.

Jak to mówią, miłość potrafi zmienić wszystko — niestety nie zawsze na lepsze.

Na przyjęcie u Kitty Conlan poszłam sama. Ciotka Ann uznała, że jej noga nie postanie w domu starej a głupiej wdowy, która rozrywkę znajduje w swataniu młodego pokolenia, do tego zezwalając, by mężczyźni pili w obecności kobiet — pomimo całej swej nowoczesności i niezależności w pewnych sprawach pozostała pruderyjna i zdecydowanie potępiała mieszanie trunku i uczuć. Wtedy tylko obśmiałam się w duchu, lecz teraz będąc posunięta w latach podejrzewam, że ciotka miała swoje powody i że bynajmniej nie była starą panną z wyboru. Być może w młodości ktoś złamał jej serce, co by nawet wyjaśniało, dlaczego dalej sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły...

Dom Kitty nie był duży, za to na kominku buzowało, toteż co rusz ktoś wychodził na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i ostudzić głowę. Przygrywający na akordeonie Joe Ciarke wrócił właśnie z dworu i już znowu łapał za instrument, a ja z kuzynką Mae zaśmiewaliśmy się z jakiegoś głupstwa, kiedy mój wzrok padł na drzwi wejściowe.

W jednej chwili ogarnęło mnie uczucie spadania i unoszenia się.

Pomieszczenie zrobiło się jakby większe, a tłum rzadszy, podczas gdy Michael Tuffy zmierzał prosto w moją stronę. Widząc, jak pewnie stawia kroki, zrozumiałam, że ma nade mną przewagę — ja nie potrafiłam wykonać najlżejszego ruchu, sparaliżowana wrażeniem i obawą, iż jestem mu obojętna. Stanąwszy przede mną nie wypowiedział ani jednego słowa, wyciągnął tylko rękę w geście zaproszenia, a ja ujęłam ją mechanicznie. Kiedy nasze palce się spotkały, zalała mnie fala gorąca i nogi zmiękły mi w kolanach, tak że musiałam się wesprzeć mocniej na jego ramieniu.

Tańczyliśmy w milczeniu, nie odrywając od siebie oczu. Przepadła gdzieś moja pewność siebie i zadziorność, na policzki wystąpił mi szkarłatny rumieniec, który przeklinałam w duchu, gdyż wiedziałam, iż nazajutrz wszyscy w Kilkelly, Knock i Kiltimagh będą mieli o czym plotkować., „Ta zarozumiała krasawica Bernadine Moran i Michael Tuffy, który dopiero co

wrócił z matką z Nowego Jorku, żeby uporządkować sprawy spadkowe po ojcu, zmarłym tragicznie przed sześciu laty w Ameryce, mają się ku sobie."

Byłam przyzwyczajona do tego, że ludzie o mnie mówią. Bez plotki nie ma prawdy i odwrotnie, jedna potrzebuje drugiej niczym ogień powietrza, toteż nie przeszkadzało mi, że nasze uczucie w opowieściach starych kum szybko nabierało cech bajkowego romansu. Zresztą po prawdzie Maureen Tuffy i jej olśniewająco przystojny syn nawet mnie wydawali się postaciami z bajki, tak byli różni od nas, mieszkańców Achadh Mor. Przeciętni synowie i córki marnotrawne tej ziemi, tacy jak ciotka Ann, wróciwszy na stare śmiecie musieli nisko spuszczać głowy, by nie wzbudzać zawiści większej niż to konieczne i nie kłuć w oczy swą innością.

Maureen i Michael z ich światowym wyglądem i silnym amerykańskim akcentem mogli się wyróżniać, gdyż przyjechali tylko na krótko, dodając splendoru naszemu nieciekawemu życiu, za co byliśmy im głęboko wdzięczni.

W obecności Michaela targała mną burza sprzecznych uczuć — z jednej strony nie potrafiłam uwierzyć we własne szczęście i w to, że ktoś taki jak on pokochał mnie, z drugiej zaś piękniałam przy nim i we własnym mniemaniu stawałam się godna miłości następcy tronu. Choć poznałam go tak niedawno, zdawało mi się, że wiem o nim wszystko, i otuchę czerpałam z wiary, że pozostaniemy razem na zawsze.

Nieważne, co mówiliśmy do siebie i co wspólnie robiliśmy. Długie spacerki, podwieczorki u ciotki, udział w niedzielnej mszy, wyjazd na targ w Kilkelly... Cokolwiek to było, dla nas najbardziej liczyło się, że jakimś cudem nasze dusze odnalazły się w tym zapyziałym zakątku, i dosłownie nie widzieliśmy poza sobą świata. Uczucie, jakie nas połączyło, było wyjątkowe i nawet teraz, po tylu latach i mądrzejsza o doświadczenia całego życia, uważam, że nie brakowało mu szczerości. Bez dwóch zdań była to miłość, na jaką każdy czeka, lecz która dana jest niewielu i nie więcej niż raz w życiu.

Myślę, że właśnie dzięki tej świadomości udało mi się przetrwać to, co nastąpiło potem.

Nie pobraliśmy się, chociaż takie mieliśmy plany.

Maureen zaproponowała spotkanie w hotelu w Ballyhaunis. Z tej okazji ojciec umył się nawet i ogolił, chociaż wyszorowany i wystrojony w odświętny garnitur bardziej przypominał baleron niż człowieka. Matkę od początku zjadały nerwy, a już zupełnie straciła głowę, kiedy rozmowa zesła

na pieniądze. Oczywiście zależało jej na moim szczęściu i rozumiała, że gra jest warta świeczki. Pani Tuffy była w pozycji, by się cenić, a zresztą nie oczekiwała zbyt dużo — ot, mały dowód szacunku złożony jej rodzinie.

My z kolei byliśmy przekonani, że ciotka Ann z radością wyłoży każdą rozsądną sumę. Kto jak kto, myślałam, ale ona z pewnością chce dla mnie jak najlepiej, a cóż może być lepszego od wejścia do dobrej i zamożnej rodziny, do tego z miłości?

Jej decyzja spadła na nas — na mnie — jak grom z jasnego nieba. Wszyscy wiedzieli, że stacją na więcej niż skromne wiano, a jednak nie tylko odmówiła, lecz upokorzyła matkę nie występując z inicjatywą sama, jak to czyniła w niezliczonych sytuacjach w przeszłości, kiedy wspomagała nasz nigdy nie dopinający się domowy budżet, za to czekając, aż matka wyartykułuje prośbę w moim imieniu.

Usłyszałam, że nie mogę wyjść za Michaela Tuffy'ego, ponieważ nie ma pieniędzy na wiano. Błagałam matkę, by poprosiła ciotkę jeszcze raz, wszelako nadaremno. Uciekałam się do płaczu („Michael i ja jesteśmy sobie przeznaczeni”), gróźb („W takim razie ucieknę z nim”) i perswazji („W obliczu takiego uczucia jak nasze nic nie ma znaczenia — ani rodzina, ani pieniądze”). Bez skutku. Kiedy wreszcie otrząsnęłam się z rozpacz i na poważnie zaczęłam rozmyślać o ucieczce, Michaela dawno już nie było. Wrócił wraz z matką do Ameryki.

Kiedy dotarło do mnie, że już nigdy go nie zobaczę, wyłam z rozpacz i rwałam włosy z głowy, siejąc postrach wśród braci. Miesiącami nie wychodziłam z domu, pomagając matce w najcięższych pracach, tak że wkrótce skórę dłoni i kolan miałam zdartą do krwi. Ciotkę Ann wyrzuciłam z pamięci i z serca; nie odezwałam się do niej do końca jej życia, z trudem przychodziło mi wymówić samo zniechęczone do cna imię.

Ból zelżał dopiero po pięciu latach. Powiadają, że czas leczy rany — w moim wypadku lekarstwem okazała się świadomość, iż dane mi było doświadczyć czegoś niezwykle rzadkiego na tym padole. Czułam się wybrana, choć równocześnie przeklęta, gdyż w głębi serca wiedziałam, iż raz zaznawszy prawdziwej miłości nie jestem już w stanie nikogo pokochać. Sama myśl o małżeństwie napawała mnie wstrętem, spodziewałam się jednak, że prędzej czy później dopadnie mnie los żony i matki. Zbierałam siły na nieuniknione, zarzekając się w duchu, że ktokolwiek uzurpuje sobie miejsce Michaela przy moim boku, będzie dla mnie nikim. Chociaż miałam

już nigdy nie ujrzeć tego, kogo pokochałam z całych sił, pamięć o nim tkwiła
w mej duszy niczym zadra w ciele.

RS

Kompromis

Nie można mieć wszystkiego.

Placek z rabarbarem

Oczyść łodygi rabarbaru i odetnij oba ich końce, po czym pokrajaj pozostałą część na małe, około półcentymetrowe kawałki. Kiedy rabarbar jest wciąż młody i miękki, będzie doskonały dodany na surowo, wszakże zrywany pod koniec sierpnia mógłby okazać się w cieście zbyt łykowaty. Naszykuj garnczek z wodą, dodaj odrobinę cukru i wsyp pokrajany rabarbar, po czym postaw wszystko na małym ogniu — akurat na tyle czasu, ile zajmuje zarobienie ciasta. Przesiej do misy trzydzieści deka mąki, dosyp pół łyżeczki soli i dwie płaskie łyżki cukru, posiekaj nożem dziesięć deka masła i wszystko dobrze wymieszaj. Do kubka z dwiema łyżkami mleka wbij jedno całe jajo i dobrze roztrzep, po czym dodaj do misy i wszystko wyrób ręką na gładkie ciasto. Weź foremkę, wysyp ją suto czystą mąką i wyłóż ciastem grubym na jakiś centymetr, na wierzch zaś wysyp odsączony rabarbar i wszystko oprósz taką ilością cukru, jaką lubisz. Ja zawsze dodaję trzy czubate łyżki cukru, bo lubię, kiedy placek jest bardzo słodki, a dla Jamesa piekę drugi w osobnej foremce, ponieważ woli kwaskowaty (ale i tak po kryjomu dodaję jedną łyżkę cukru, bo nie chcę go otruć!). Przykryj foremkę, wstaw do średnio nagrzanego pieca i piecz niecałą godzinę.

Rozdział czwarty

Nowy Jork, 2004

Nowy Jork słynie ze swych sklepów i rzeczywiście można tutaj dostać wszystko, nawet rabarbar, tyle że nie ma on nic wspólnego z rośliną, która wybijałymi pędami dziko się krzewiła za domostwem moich Dziadków. Jak dziś pamiętam rozłożyste zielone liście i długasne szkarłatne łodygi, na końcach białawe i łamliwe. Były one przeraźliwie kwaśne, jednakże już odrobina cukru wydobywała z nich niepowtarzalny, iście egzotyczny smak. Nowojorski rabarbar jest ledwie różowawy, twardy niczym metalowy pręt i praktycznie bez smaku. Nawet moim zdaniem — a przecież nie należę do najlepszych kucharek — jest nic niewarty.

Jakiś czas temu zaczęłam tęsknić do potraw gotowanych przez Babcię, a nawet próbować w kuchni własnych sił, przywołując w pamięci dawno zapomniane przepisy, co okazało się trudniejsze i bardziej bolesne, niż przypuszczałam. Odmierzając składniki i mieszając je starannie, przypominałam sobie niegdyś mi udzielane przez Babcię rady. Niestety dotyczyły one wyłącznie kulinariów, takich jak: ile gramów cukru mieści przeciętna filiżanka i w jakiej kolejności należy łączyć mąkę ze śmietaną, niewątpliwie przydatnych, lecz ani trochę nie pomocnych w sprawach sercowych. Nie przestawałam się zastanawiać, czy Bernadine zaakceptowałyby Dana i czy poparłaby pomysł mojego małżeństwa. Im niepewniej się czułam, tym silniej potrzebowałam Babci i tym bardziej mi jej brakowało. Wydawało mi się, że byłaby lekiem na moją niepewność. W głębi duszy wiedziałam, że nie zdołam jej przywołać, a nawet gdyby mi się to jakimś cudem udało, i tak nie byłaby w stanie mi pomóc. Być może właśnie dlatego jej opinię ceniłam sobie najwyżej...

Wkrótce po ślubie przemeblowałam mieszkanie i zrobiłam gruntowne porządki — jedno i drugie okazało się konieczne, odkąd wprowadził się Dan — po czym skupiłam się na obmyśleniu irlandzkiej książki kucharskiej. Z ochotą zajęłabym się i ciosaniem kamieni, byle wyrzucić z głowy to, co niedawno usłyszałam od swojego męża. Ni mniej, ni więcej, tylko zaproponował przeprowadzkę do Yonkers.

Gdybyż chociaż do Hamptons czy Brooklynu, w najgorszym razie do Bronksu, ale do Yonkers?!!

Niestety właśnie tam stał dom Dana, od pięciu lat remontowany przez niego w wolnych chwilach. Nigdy nie pojechałam go zobaczyć, gdyż z

mojego punktu widzenia była to dobra inwestycja, nic ponad to. Oczywiście wychodząc za mąż nie miałam nic przeciwko skromnej posiadłości, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że Dan może chcieć w niej zamieszkać. Dla mnie stanowiła nieszkodliwe hobby, które wypełni Danowi czas, kiedy będę w podróży albo zajęta pisaniem. Od samego początku szanowaliśmy swoją niezależność — ja nie ciągałam Dana po przyjęciach służbowych i jakoś udawało mi się wymigać od spotkań z jego kumplami.

Aż tu nagle pewnego dnia, kiedy wypróbowywałam nowy przepis, Dan, który naprawiał kontakt w kuchni, wyjechał

— niezręcznie jak to on, gdy trzeba było wyrazić swoją opinię — z gadką, że w mieście zaczyna być brudno, ciasno i niebezpiecznie. Od razu się połapałam, że to wstęp do tyrady na temat jego wspaniałego domu. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co mnie bardziej zdenerwowało — to że lekką ręką chce się pozbyć dwóch doskonale położonych mieszkań na Manhattanie czy też to że spodziewa się po mnie entuzjazmu na myśl o przeprowadzce na prowincję.

Zresztą nie tylko to mnie w nim denerwowało.

Lista wad, jakie dostrzegałam w Danie, wydłużała się w zastraszającym tempie. Spisałam je nawet, w nadziei że w ten sposób pozabawię je ostrości.

Chce się przeprowadzić do Yonkers.

Ma za długie paznokcie u nóg i drapie mnie nimi pod kołdrą.

Nosi koszule w kratę.

Trzyma magazyny wędkarskie w toalecie.

Jest za duży i za głośny — porusza się jak słoń i nigdy nie daje zapomnieć, że jest w pobliżu.

Szura kapciami i używa wsiowych wyrażeń, zwłaszcza kiedy jest podenerwowany.

Woli kawę rozpuszczalną od prawdziwej!

Rano wstaje pierwszy i przynosi mi do łóżka herbatę. Przez to czuję się winna.

Zapomina posłodzić tę cholerną herbatę.

Układa usta w ciup, ilekroć chce powiedzieć coś w jego mniemaniu mądrego.

Myśli, że jest mądry. Zeszłej nocy wyznał mi w łóżku, że nie uważa, by coś stracił, nie idąc na studia.

Po fakcie okazało się, że stworzenie tej listy nie było najlepszym pomysłem. Trzymam ją ukrytą na samym dnie szuflady mojej szafki nocnej i

za każdym razem, kiedy Dan przysuwa się do mnie w nocy albo całuje mnie o poranku, myślę o niej. I o sobie — że taka wredna małpa ze mnie. Z czasem zaczęłam nienawidzić Dana dosłownie za wszystko. A jedyne chwile, kiedy nie myślę o nim z nienawiścią, zdarzają się, gdy patrzę na niego i w duchu zadaję sobie pytanie: „Co ty, do cholery, zrobiłaś?” Przepęlnia mnie wtedy panika i wszelkie myśli pierzchają mi z głowy.

Dan pomieszkiwał w moim mieszkaniu właściwie od samego początku naszej znajomości, ale dopiero kiedy wróciliśmy z podróży poślubnej, oficjalnie się do mnie wprowadził. Pewnego wieczoru na środku salonu pojawiła się kupa przedmiotów, o których posiadanie nawet bym go nie podejrzewała — płyty gramofonowe, wiskozowa pościel, upchane w kartonach stare czasopisma (większość jeszcze z lat osiemdziesiątych). Idealny porządek mojego mieszkania, urządzonego w stylu minimalistycznym, został zaburzony, a to wciąż nie był koniec — w holu wyrosła sterta zakurzonych kaset wideo... Im szerzej uśmiechał się Dan, tym bardziej mnie rzedła mina. Musiał zauważyć, że nie jestem zachwycona, bo w milczeniu wyniósł część rzeczy z powrotem do swej klitki w suterenie, gdzie niestety — oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę — nie mogły pozostać w nieskończoność.

Przed ślubem Dan nigdy mi nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie, jego obecność była przeze mnie zawsze mile widziana. Od chwili jednak kiedy wraz z przysięgą małżeńską zyskał prawo deptania mi po piętach, coś we mnie pękło. Poczulałam się obrabowana z własnej prywatności, a Dan zaczął mi się jawić intruzem, czego przecież nigdy bym nie doświadczyła, gdybyśmy byli sobie pisani.

Przestałam poznawać samą siebie. W miejsce spełnionej, zadowolonej z życia trzydziestoparolatki pojawiła się kręcąca na wszystko nosem nastolatka. A właściwie nie tyle pojawiła się, ile przebudziła z długiego snu i zawładnęła częścią mojego umysłu, nie myśląc nawet partycypować w kosztach. Potrafiła tylko narzekać i krytykować, i nabijać się wściekle z Dana i ze mnie — w jej mniemaniu zdesperowanej nieudacznicy, która wyszła za mąż z rozsądku sprzeniewierzając się młodzieńczym obietnicom. Jednym słowem była podła — w końcu знаła każdy mój słaby punkt — i serdecznie jej nienawidziłam, ale jakoś z nikim innym nie umiałam się zdobyć na szczerłość. Gdybym zwierzyła się znajomym singlom, usłyszałabym: „Och! A więc go nie kochasz? W takim razie musisz go rzucić!”, natomiast przyjaciele pozostający w związku małżeńskim

wzruszyliby tylko ramionami i rzekli: „Miłość?! Dziewczyno, obudź się. Witaj w prawdziwym świecie”.

W głębi duszy wiedziałam, że nie tak to sobie wyobrażałam, kiedy wychodziłam za Dana — na pewno nie aż takie zmiany ani nie takie życie... Bardzo nie chciałam zachowywać się jak zgorzkniała stara panna, ale cokolwiek powiedziałam, przesycone było kąśliwością i jadem, chociaż miałam na tyle przytomności umysłu, że swoje uwagi ubierałam w formę pytań. „Zmywarka wciąż jest pełna?”, „Zapomniałeś kupić pastę do zębów?”, „Masz zamiar to włożyć?” Czasem nie wytrzymałam i wyrzucałam z siebie krótkie zdanie: „Nie takich zmywaków używamy” albo „Lubię słodką herbatę” bądź „Zamknij drzwi do łazienki”. Dan zazwyczaj kładł uszy po sobie i bąkał jakieś przeprosiny, na co ja, wciąż wrednym głosem, zapewniałam go, że nic się nie stało. Sama nie wiedząc kiedy, rozpoczęłam wojnę podjazdową, w której najczęściej używaną bronią było agresywne milczenie i ofensywne niedomówienia. Z zewnątrz zachowywałam pozory — ciekawe, kogo chciałam oszukać? — a w środku aż kipiałam od nagromadzonej złości i nienawiści, jakich nie da się długo tłumić i jakie prędzej czy później muszą znaleźć ujście, a wtedy są odpowiednikami ciężkiej artylerii, jeśli nie głowic atomowych. Cudownie, prawda?

Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, a tym bardziej nie wiedział tego Dan. Po jego oczach poznawałam, że w każdej chwili obawia się wybuchu awantury, której powodu nawet się biedak nie domyśla i której przede wszystkim nie chce. No, jakże to: państwo młodzi, ledwie po miesiącu miodowym, i już sobie skaczą do oczu? Zdaniem Dana byliśmy w sobie zakochani po uszy, a przyszłość jawiła się różowo. Moim zdaniem... ech, lepiej nie mówić.

Nigdy nie piekłam ciasta z rabarbarem, który nie pochodziłby z ogródka moich Dziadków, a to już dziesięć lat, odkąd ostatni raz byłam w Kilkelly.

Nieraz słyszałam historię, jak to James zasadził jedną małą cebulkę w tym samym roku, kiedy urodziła się moja mama. Bernadine nie życzyła sobie nieładnej rośliny w swoim schludnym ogródku warzywnym, toteż została ona posadzona z tyłu domu, i w pewnym od niego oddaleniu, na tyle blisko jednak, że wystarczył krótki spacer, by się do niej dostać. Do czasów mojej młodości ta jedna mała cebulka tak się rozkrzewiła, że pokrywała lasem zielonych parasoli połąkę parudziesięciu metrów kwadratowych. Pamiętam, że ilekroć przedzierałam się przez ten gąszcz, żeby uciąć kilka szkarłatnych

łodyg, a potem jadłam przepyszny placek Babci, nie mogłam wyjść z podziwu, że coś tak brzydkiego i nieciekawego smakuje tak wybornie.

Za ciastem z rabarbarem według przepisu Babci przepadałam jako dziecko i również później, kiedy mieszkałam w Irlandii podczas studiów na Uniwersytecie w Galway. Zadziwiające, że spośród mnóstwa wspomnień z tych trzech wspaniałych lat na plan pierwszy nie wybijają się nocne chybotliwe wędrówki od baru do baru ani utrata dziewictwa za sprawą zabójczo przystojnego i równie zabójczo owłosionego studenta filozofii, ani nawet kucie po nocach i wysłuchiwanie arcyciekawych wykładów na uczelni, tylko czas spędzany co weekend z Dziadkami. Wyruszając w drogę powrotną z Kilkelly zawsze byłam zaopatrzona w moje ulubione ciasto, zawinięte w dwie ściereczki, żeby się nie pokruszyło, które później skrzętnie ukrywałam w swoim pokoju w akademiku, tak by nie wyniuchali go moi przesiąknięci zapachem marihuany współspacze, którym dziwnym trafem od narkotyku nie stepił się węch ani smak. To właśnie te magiczne weekendy i rytuał podwieczorku wprowadziły nieco ładu w moje podówczas zwariowane życie, a podejrzewam nawet, że przyczyniły się do tego, iż studia na wydziale literatury angielskiej ukończyłam z wyróżnieniem.

Chociaż większość życia spędziłam w Ameryce, za prawdziwy dom uważam miejsce, w którym zasmakowałam placka z rabarbarem. Nigdy nie czułam się u siebie w nowojorskim mieszkaniu matki, gdzie przeprowadziłyśmy się, kiedy miałam cztery latka, wśród dziwacznych reprodukcji prac Andy'ego Warhola i jeszcze dziwniejszych „wujków”. Za to jak ryba w wodzie — w domu jej rodziców w Kilkelly, po dziś dzień kojarzonym przeze mnie z zapachem dopalającego się torfu, wosku do pastowania i kamfory. Wracałam tam każdego lata i co roku przyjmowano mnie z otwartymi ramionami; Dziadkowie przepadali za swoją jedyną wnuczką, podobnie jak przepadali za sobą. Przez dwa miesiące w roku byłam pępkiem ich świata i nie zdarzyło się, żebym zaraz po przyjeździe nie została poczęstowana świeżutkim plackiem z rabarbarem, moim ulubionym.

Postanowiłam więc nie szargać wspomnień ani pamięci Babci Bernadine — skoro nie mogłam zdobyć prawdziwego rabarbaru, wołałam obejść się smakiem, niż stworzyć kiepską namiastkę.

Jeśli człowiek ma wyrobione zdanie, jak coś powinno wyglądać, kompromis nie wchodzi w grę.

Rozdział piąty

Irlandia, 1937

James Nolan mnie nie interesował. Oczywiście darzyłam go szacunkiem, podobnie jak my wszyscy — w końcu był miejscowym nauczycielem — ale nie czułam potrzeby poznania go bliżej, zwłaszcza że do Fal Iochtar powrócił mając trzydzieści pięć lat, jakiś czas po studiach. Widywałam go wyłącznie na lekcjach irlandzkiego, których udzielał nam w piątkowe wieczory, odkąd w modę weszło poznawanie mowy przodków, wybitej im z głów i odebranej siłą przez najeźdźcę. Raz na tydzień szkoła otwierała więc swoje podwoje dla starych koni, chociaż sposób nauki niewiele odbiegał od normalnego — dużo śpiewaliśmy i ochoczo się bawili — z tą różnicą, że po lekcji zostawialiśmy jeszcze na małe przyjęcie z tańcami, craic, tak że nierzadko byłam w domu dopiero przed północą. Wieść o tych spotkaniach szeroko się rozeszła po okolicy i niektórzy przychodzili aż z Achadh Mor, co oznaczało prawie pięciokilometrowy spacer.

Było powszechnie wiadomo, że James należy do Gaelic League, a krążyły także pogłoski, iż odsłużył swoje w IRA, chociaż nikt nie umiałby powiedzieć niczego konkretnego o dziesięciu latach, które dzieliły go od ukończenia studiów do powrotu na rodzinną wieś. W tamtych czasach mądrego człowieka poznawało się po tym, że potrafi trzymać język za zębami. Jak również po tym, że dobrze opiekuje się swoją rodziną. Pod tym względem Jamesowi nie można było nic zarzucić; według słów Kitty Conlan to za jego sprawą wszystkie pięć siostr otrzymało sowite wiano — trzy z nich znalazły dobrą partię, dwie poszły do klasztoru

— a w pobliżu starego domostwa wyrósł nowy piękny dom pokryty łupkowym dachem.

James Nolan miał zadatki na rycerza, ale że należał do małej skromnej społeczności, ani mu w głowie powstało się wywyższać. Zresztą z wyglądu był nad wyraz przeciętny i gdy się nań patrzyło, trudno było uwierzyć w plotki o jego rzekomych heroiczo-romantycznych dokonaniach na obczyźnie. Prawdę powiedziawszy ledwie pamiętam nasze pierwsze spotkanie; podejrzewam, że nie zwróciłam na niego większej uwagi, może nawet żadnej.

Oczywiście zastanawiano się nieraz, która kobieta się na niego połasi, w końcu był łakomym kąskiem, chociaż już nie najmłodszy. Miał dom jak się patrzy, i to tylko dla siebie (jego brat z żoną wyjechali niedawno do Anglii, a

stareńka matka nie chciała nawet słyszeć o przeprowadzce z wiekowej chałupy), miał pozycję i przyzwoitą nauczycielską pensję, miał wreszcie świetne podejście do dzieci. W wypadku zbliżającej się do trzydziestki panny błędem byłoby nie interesować się Jamesem Nolanem. Ja wszakże miałam dopiero dwadzieścia trzy lata.

Ani myśląc na niego polować, rozrywkę czerpałam z przyglądania się, jak starsze ode mnie intrygują, by wysadzić rywalki z siodła. Kuzynka Mae i ja zaśmiewaliśmy się do rozpuku, pokazując sobie palcami wystrojone stare panny, wymalowane szminką niczym klauni i błakające się po niedzielnej mszy przy kościele w nadziei na krótką rozmowę z panem nauczycielem. Oczywiście one powiedziałyby: w nadziei na cupła focal z muinteoir... Nie wiedzieć czemu najbardziej działała mi na nerwy Aine Grealy, nudna jak flaki z olejem, ale niegłupia. Dzięki kolejnym stypendiom udało jej się skończyć szkołę, a nawet liznąć uniwersytetu w Dublinie. Tamtego lata wróciła do domu, by podjąć decyzję, jak spożytkować całą tę wiedzę. Oj, nie lubiłam Aine Grealy...

Gdyby chcieć z ręką na sercu powiedzieć, które z okolicznych dziewcząt były najładniejsze, wybór musiałby paść na mnie i kuzynkę Mae. Wyróżniałyśmy się nie tylko urodą, ale i ubiorem — ja otrzymałam sporo ślicznych łąszków od ciotki Ann, gdy jeszcze się przyjaźniłyśmy, a Mae regularnie dostawała paczki od jakiegoś krewnego z Ameryki. Ja miałam ulubioną żółtą bluzkę z idealnie do niej pasującą apaszką, którą przewiązywałam swoje długie czarne włosy, a Mae uwielbiała paradować w kremowych trzewiczkach z miękkiej skórki i z taką torebką na długim pasku. Kiedy szłyśmy gdzieś' razem, wyglądałyśmy jak prawdziwe damy. Naturalnie Aine Grealy i tak patrzyła na nas z góry, w pogardzie mając pozłotkę i uważając nas za głupiutki podfruwajki — nie pamiętam, by kiedykolwiek zamieniła z nami choć dwa słowa podczas tych rzadkich okazji, kiedy się spotykałyśmy. Nie przeszkadzało mi to zresztą, gdyż moim zdaniem lepiej było być głupią, ale urodziwą niż odwrotnie. Poza tym na lekcje irlandzkiego chodziłyśmy z Mae bardziej z powodu odbywającej się potem zabawy aniżeli dla samej nauki i przez większość czasu wykręcałyśmy sobie szyje, by zobaczyć, kto przyszedł danego wieczoru. Mae szukała miłości, ja nie.

Wszelako postanowiłam poderwać Jamesa Nolana — po to tylko, by zrobić na złość Aine Grealy.

Dzisiaj wiem, że postąpiłam bardzo nieładnie, chociaż na swoje usprawiedliwienie mogę dodać, że Aine publicznie mnie upokorzyła, czym zasłużyła sobie na odwet. Kiedy którejś niedzieli po mszy rozmawiała z Jamesem w najlepsze, przeszłam koło nich i pozdrowiłam po irlandzku. Aine z mety skorygowała moją wymowę, co wydało mi się straszliwie niegrzeczne — po latach jestem tego samego zdania — toteż w jednej chwili zadecydowałam, że utnę jej nosa. Martwiło mnie trochę, że przy okazji złamię serce Jamesowi, ale tłumaczyłam się w duchu, że tak czy inaczej oddaję mu przysługę. Wyglądało bowiem na to, że mają się ku sobie, chociaż James byłby pewnie zachwycony każdą kobietą, która okazałaby mu zainteresowanie. Zrobiło mi się żal, że wpadnie w łapy pierwszej lepszej, która na dodatek na niego nie zasługiwała, mając nie tylko brzydką twarz, ale i brzydkie wnętrze. Podejrzewałam, że chociaż wykształcony, James nie ma pojęcia o sprawach sercowych, że prawdziwy ludarman z niego. W tym ostatnim srodze się jednak pomyliłam...

Owej pamiętnej niedzieli po raz pierwszy źle odczytałam jego charakter.

W najbliższy piątek włożyłam lawendowy sweterek, na którego tle, jak wiedziałam, moje czarne loki prezentowały się wprost nadzwyczajnie, i jak zwykle udałam się na lekcję mowy ojczystej. Po zajęciach wszyscy rzucili się odsuwać krzesła pod ścianę, by zrobić miejsce na tańce; Mae ucięła sobie pogawędkę z mającym nam przygrywać Patem Kellym, ja zaś obserwowałam spod oka Aine, która już osaczyła Jamesa.

Zobaczywszy, że naprawdę zagięła na niego parol, odetchnęłam głęboko, szykując się do walki. Biedna Aine nie spodziewała się nawet, z kim przyjdzie jej się zaraz zmierzyć! Bernadine Moran może nie była prymuską, ale wiedziała co nieco o miłości. Albo przynajmniej tak jej się wtedy zdawało... Z pewnością jednak wystarczyło, bym popatrzyła na mężczyznę, a jego serce już topniało. Och, zdaję sobie sprawę, że było to z mojej strony okrutne, ale przecież i tak mężczyźni byli górą. Kobieta zaledwie przez parę lat miała jaką taką przewagę — później pozostawało jej cerowanie męzowskich skarpetek i tolerowanie napadów szału, spowodowanych nadużywaniem gorzałki. Tak przynajmniej skończyła moja matka. I pewnie gdybym nie uważała Jamesa za łagodnego jak baranek, dwa razy bym się zastanowiła, nim podjęłam tę grę.

Z początku tylko patrzyłam. Spoglądałam na Jamesa tym samym wzrokiem, którym przed paru laty obrzucałam Michaela Tuffy'ego, nim się w nim zakochałam. Oczywiście tym razem to nie było prawdziwe spojrzenie,

lecz jego imitacja. Wtedy z wrażenia ugięły się pode mną kolana, a na twarz występował rumieniec; teraz nie doświadczałam niczego podobnego, gdyż zwyczajnie udawałam. Nie mam pojęcia, na czym to polegało, wiem tylko, że wpatrywałam się w niego tak długo, aż mnie zauważył. Wówczas wydawało mi się, że jest we mnie coś wartego zauważenia.

Tamtego wieczoru tańczył tylko z Aine, a potem odprowadził ją do domu, co oczywiście rozwścieczyło mnie, nie na tyle jednak, bym swoim uczuciom dała upust.

Tydzień później Aine nie pojawiła się na zajęciach i James poprosił do tańca mnie. Dziwnie się czułam tańcząc z tym wysokim, niezgrabnym mężczyzną, zwłaszcza że kuzynka Mae i kilka innych dziewcząt otoczyło nas kołem i zachęcająco klaskało w dłonie, jakbyśmy byli parą zakochanych. Przy wychodzeniu Mae dała mi dyskretnie znać, że James chyba przymierza się, żeby nas odprowadzić, co tak mnie przeraziło, że czym prędzej stamtąd wybiegłam, a ona zaraz za mną.

Udowodniłam sobie, że gdybym naprawdę tego chciała, mogłabym odbić go Aine, toteż uznałam sprawę za zamkniętą. Ku mojemu zdziwieniu, nim upłynął tydzień, wbrew mojej woli przybrała ona dalszy obrót.

Rozdział szósty

Irlandia, 1937

Kiedy wróciłam po mszy do domu, zastałam w naszej kuchni Jamesa Nolana. Zobaczywszy go, jak siedzi przy stole z moim ojcem (przed nimi leżały jakieś papiery), w okamgnieniu nabrałam podejrzeń. Ojciec, choć pijak i brutal, umiał czytać i pisać, nie potrzebował więc pomocy wiejskiego nauczyciela, żeby skreślić parę słów. Na mój widok władczym gestem dał mi do zrozumienia, żebym przyrządziła im herbatę i podała po kawałku placka z rabarbarem, który upiekłam na chybca minionego wieczoru. Po krótkim namyśle zrobiłam, jak mi kazał, chociaż placek nie nadawał się do spożycia — wczoraj, śpiesząc się, na śmierć zapomniałam o cukrze. Na szczęście wiedziałam, że ojciec nie ma w zwyczaju jadać przy obcych, toteż poczęstowałam gościa w nadziei na dobrą zabawę i bez obaw, że mi się za to oberwie.

James wypił herbatę i pałaszował placek, aż mu się uszy trzęsły — gdyby wypadło, pewnie by wylizał talerzyk — po czym z ukontentowaniem oświadczył, że w życiu nie jadł pysniejszego ciasta. Już chciałam zaproponować mu dokładkę, żeby sprawdzić jego wytrzymałość i zdolności aktorskie, w duchu zakładając się sama ze sobą, że przy trzecim kawałku kwaśno-gorzki smak jak nic wykrzywi mu twarz, w tej samej chwili jednak ojciec wstał od stołu, mówiąc:

— Oprowadź pana Nolana po obejściu, Bernadine. — Moje podejrzania zaczęły nabierać kształtu. Ojciec nie nazywał mnie inaczej jak „Bernie” i nigdy, ale to nigdy nie zwrócił się do mnie pełnym imieniem.

James wydawał mi się nad wyraz spokojny i cichy — myślałam, że jest nieśmiały, chociaż mądrzejsza o parę dziesiątków lat złożyłabym to raczej na karb zażenowania całą sytuacją. W którymś momencie chciał mnie wziąć za rękę, ale nie pozwoliłam mu, ostentacyjnie się odeń odsuwając. Za wszelką cenę pragnęłam go zniechęcić do dalszych poufałości, jak gdybym już wtedy przeczuwała, co się święci. Wycieczkę po gospodarstwie skróciłam jak się tylko dało, ręką wskazując położony opodal kurnik i stodołę, po czym skierowałam się do domu, gdzie — tak jak przewidywałam — nagle zrobiło się puściuteńko. Od razu zakręciłam się przy kuchni, trzaskając garnkami i mamrocząc coś do siebie, żeby nawet James Nolan zrozumiał, że nic tu po nim.

Jakiś czas potem wrócił ojciec i wpadł w szal zobaczywszy, że jestem sama. Na szczęście dla mnie skończyło się na kilku obelgach — nie oberwałam tylko dlatego, że na ratunek przybiegła mi matka. Język miała cięty, toteż rychło zażegnała awanturę, wypędziła ojca z kuchni i przyjrzała mi się z zafrasowaną miną.

— Lubisz Jamesa? — spytała łagodnym głosem.

W jednej chwili wszystko zrozumiałam. Wyswatano mnie za moimi plecami! Nie mogłam wprost uwierzyć, że moi rodzice byli do tego zdolni, jeszcze bardziej dziwiło mnie wszakże to, że James Nolan po zaledwie jednym tańcu postanowił się ze mną ożenić.

Znacznie później dowiedziałam się, jak to było naprawdę. James zaszedł do nas do domu, chcąc oficjalnie poprosić mego ojca o zgodę na odprowadzanie mnie po lekcjach irlandzkiego i zabieranie gdzieś od czasu do czasu, a ojciec na niego naskoczył, na miejscu zmuszając do małżeństwa ze mną! Najwyraźniej bał się, że nigdy mnie nie wyda za mąż po tym, jak honor rodziny uległ splamieniu, kiedy to nie udało się zebrać posagu dla Tuffych. James Nolan i jego matka nie mieli wysokich jak tamci wymagań i zaakceptowali mnie bez posagu.

Podczas tamtej wizyty James spisał i podpisał nieformalny kontrakt narzucony mu przez mojego ojca i choć nikt nikomu nie zapłacił, czułam się tak, jakby kupiono mnie na targu jak mleczną krowę czy wręcz zaszlachtowanego wieprzka, co to nawet kwiknąć nie może w proteście. Mężczyzna, który miał zostać moim mężem, nie kochał mnie, zresztą ja jego też nie; moi rodzice mnie nie kochali — w przeciwnym razie przenigdy by się nie zgodzili na taką ohydłą transakcję!

Jakżeż tęskniłam wtedy do Michaela Tuffy'ego, mimo że złamał mi serce wracając bez pożegnania do Ameryki! Choć upłynęło od tego czasu parę lat, poczucie krzywdy, miłość i tęsknota wróciły nagle z niespotykaną siłą.

Gdy tylko zrozumiałam, jaki spisek uknuto za moimi plecami, wybiegłam z płaczem z domu i nie zatrzymałam się wcześniej, nim dotarłam do Purple Mountain. Pomimo szumnego miana był to zaledwie pagórek, gęsto obrosnięty wrzosem, u którego stóp rozlewało się małe jezioro, sadzawka właściwie, głębsza i rozleglejsza tylko w porze roztopów albo ulewnych deszczów, a jeszcze dalej ciągnęło się jak okiem sięgnąć czarne złowieszcze bagnisko. Aby tam dotrzeć, musiałam przejść pięć pól i pięć miedz, z których wszystkie miały innego właściciela, ten wszakże kawałek ziemi nie należał do nikogo. Chociaż obfitowała ona w dobrej jakości torf, nikt go tutaj

nie zbierał, gdyż z dawien dawna krążyły po okolicy opowieści o ludziach, którzy nigdy stąd nie wrócili... Dzieciom mówiło się, że ofiary są wciągane w bagno przez kościste ręce demonów żyjących pod powierzchnią, co oczywiście miało zniechęcić je do zabawy na niebezpiecznym terenie, ale dostarczało im także dreszczyku emocji — ktoś będzie następną ofiarą? Ile grzechów trzeba popełnić, żeby demon wyciągnął po kogoś kościste ramiona?...

Ja z całą pewnością śmiertelnie zgrzeszyłam, chociaż ani trochę i ani razu mnie to nie martwiło w przeszłości, gdyż byłam tak pewna swej przyszłości z Michaeliem, że nie odmawiałam mu swego ciała i czerpałam z tego radość. Tym bardziej więc dotknęła mnie „zdrada” ciotki Ann i wyjazd Tuffych do Ameryki. Tym mniej miałam powodów, by chcieć żyć...

Tego wieczoru zatrzymałam się na skraju jeziora, które znacznie przybrało po ostatnich opadach, z myślą, by rzucić się w jego mętnobrunatną toń. Nie potrafiłam pływać, a demony już tam na mnie czekały, po tym co wyprawialiśmy z Michaeliem. Rozłożyłam szeroko ręce i zachwiałam się na palcach, ale nie znalazłam w sobie dość odwagi. Skoro więc nie umiałam ze sobą skończyć, musiałam rozważyć, co mi pozostało. Wiedziałam, że nie mogę zostać w domu. Gdybym miała dokąd uciec, na pewno bym uciekła, lecz to rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Z rozpaczą zdałam sobie sprawę, że zostało mi tylko jedno wyjście: poślubić Jamesa Nolana.

W tygodniach poprzedzających wesele robiłam dobrą minę do złej gry — cóż by mi przyszło ze strojenia fochów i dąsania się na wszystkich dokoła? Tylko moja matka i kuzynka Mae wiedziały, co naprawdę przeżywam, ale nawet one przekonywały mnie jak mogły, że James Nolan to świetna partia i że wygrałam los na loterii, a ja dla własnego dobra starałam się dać wiarę ich słowom. Nie mogłam zaprzeczyć, że James jest mężczyzną zadbanym, miłym i godnym szacunku. Choć dwanaście lat ode mnie starszy, wciąż trzymał się prosto, był mocno zbudowany i pełen krzepy, a mimo że nie sposób było nazwać go przystojnym, jego charakterystyczne rysy twarzy nadawały mu wyraz delikatności i mądrości, które od biedy dało się uznać za atrakcyjne. Co ważniejsze, miał poczciwą matkę, no i własny, murowany dom. Rzeczywiście, mogłam trafić znacznie gorzej.

Wszakże nawet przyjmując te logiczne argumenty do wiadomości i powoli godząc się z losem, wciąż myślałam o tym, że zbliżające się wesele powinno połączyć mnie i zupełnie innego mężczyznę. Jedyne go mężczyznę, którego kochałam, za którym tęskniła moja dusza i ciało i który na moje nieszczęście

opuścił mnie, zabierając mi serce. A przecież nie mając serca, nie mogłam pokochać nikogo innego...

W dzień wesela ubrałam się w kremową suknię ślubną mojej matki. Otulił mnie chłodny jedwab i zapach lawendy. Kuzynka Mae chciała ukolorować mi policzki i wargi, lecz widząc, że kąciki ust zaczynają mi drżeć, objęła mnie i pozwoliła się najpierw wypłakać. Wtulając twarz w jej ramię, łkałam, myśląc przy tym, że oto zmienia się moje życie, że nic już nigdy nie będzie takie samo, że dni szczęścia bezpowrotnie minęły. Kiedy wreszcie przestałam szlochać, postanowiłam sobie, że już nigdy więcej nie uronię łzy z powodu mężczyzny. Żadnego mężczyzny, nawet własnego męża. Matka i Mae mogą sobie mówić, że James Nolan jest dobrym człowiekiem, ale to przecież nieprawda. Dobry człowiek nie zmuszałby do małżeństwa kobiety, która go nie kocha. Skoro jednak to robi, musi to robić w pełni świadomie, a to z kolei oznacza, że taka sytuacja mu odpowiada. W takim razie dostanie to, o co prosi — ani mniej, ani więcej. Uśmiechnęłam się do własnych myśli i z uśmiechem na twarzy przebrnęłam przez cały dzień uroczystości.

Zgodnie okrzyknięto mnie najbardziej uroczą panną młodą, jaką Achadh Mor kiedykolwiek oglądało, a pozycja Jamesa przyciągnęła gości z najdalszych zakątków parafii — każdy chciał mu życzyć wszystkiego co najlepsze na nowej drodze życia. Zabawialiśmy weselników niemal do północy, a kiedy ostatni opuścili próg naszego domu, po raz pierwszy zostaliśmy ze sobą sam na sam.

Mąż i żona? Raczej dwoje nieznajomych, pomyślałam zawzięcie, za punkt honoru stawiając sobie, by pozostało tak jak najdłużej.

Rozdział siódmy

Nowy Jork, 2004

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy razem do Yonkers, Dan stanął na wysokości zadania. Jeszcze w samochodzie powiedział, że jeśli mi się tam nie spodoba, nie będzie nalegał, żebyśmy się przeprowadzali, ale chce, abyśmy tę decyzję podjęli wspólnie. Widać było, że naprawdę tak myśli, i to właśnie mnie przerażało — przecież wspólna własność to kolejne uwikłanie się w sieć wzajemnych zależności. A posiadłość poza Nowym Jorkiem to...

Oczywiście zdarza mi się wyjeżdżać z miasta, ale szczerze mówiąc najchętniej nie wyściubiałabym nosa z Manhattanu. Praktycznie całe życie (jeśli nie liczyć tych paru lat studiów w Galway) spędziłam na Upper West Side. Jeszcze przed trzydziestką kupiłam tam apartament, mimo że moi rówieśnicy woleli szaleć i mieszkać w najmowanych norach — ja jednak byłam zbyt Irlandką, bym mogła sobie pozwolić na taką lekkomyślność. Zacisnęłam pasa, nadwreżyłam swoje skromne zdolności kredytowe i voilai zostałam posiadaczką nieruchomości. Niemalże w centrum.

Uwielbiam miasto, bo każdy dzień przynosi tutaj coś nowego. Człowiek może stać w miejscu, a wszystko wokół niego i tak się zmienia, co jest szalenie wygodne. Knajpka za rogiem jednego wieczoru serwuje kuchnię hinduską, by już nazajutrz, po ekspresowej nocnej transformacji, kusić specjałami ze słonecznej Italii. Sąsiedzi wprowadzają się i wyprowadzają, nigdy nie zagrzewając tu miejsca. Właściwie nie trzeba sobie zawracać głowy zmianą wystroju wnętrz, gdyż prędzej czy później moda człowieka dogoni.

Wyłączna różnica pomiędzy mną a typowym nowojorczykiem jest taka, że ja jestem wierna swemu mieszkaniu. W końcu znamy się jeszcze z czasów, kiedy byłam biedna niczym zadłużona po uszy mysz kościelna, a mój jedyny mebel stanowiła wielofunkcyjna leżanka. Później przyszły dla nas trochę lepsze czasy — awansowałam na redaktorę, a siermiężne drewno zastąpił chrom i skóra. Wraz z kolejnymi podwyżkami stać mnie było na styl coraz bardziej ekstrawagancki (poprzednio paryski, ociekający purpurą i złotem, a ostatnio bardzo modny minimalistyczny), aż niedawno spełniło się moje marzenie: po latach bojów z właścicielem budynku i nadzorem budowlanym uzyskałam pozwolenie, by wyburzyć ścianę pomiędzy salonem a kuchnią,

dzięki czemu powstała przestronna i napełniona światłem przestrzeń. Moja przestrzeń życiowa. Mój dom.

No właśnie: mój dom. Tyle że już nie jest tylko mój. Nigdy nie wyobrażałam sobie, byśmy mieli zamieszkać z Danem w jego służbówce, chociaż wspaniałomyślnie to zaoferował, lecz niestety nie przypuszczałam, że kręcę sobie pętlę na szyję postępując według zasady „co je moje, to je twoje”. Teraz zaś cholera mnie bierze, kiedy widzę ubłocone buciory na moich wyściełanych krzesłach i wielkie łapska na moich delikatnych urządzeniach kuchennych (ostatnio szukając wyciskarki do cytrusów, znalazłam ją w zmywarce — porzuconą i zardzewiałą, chociaż to prawdziwy zabytek z początków dwudziestego wieku!).

Wreszcie nadszedł moment, kiedy uświadomiłam sobie, że Dan — nawet jeśli pomimo wszystko pasuje do mnie — nie pasuje do mojego mieszkania. Choć wiedziałam, że to podłe i niezbyt logiczne, po stokroć wolałam wynająć mój wypieszczony apartament komuś potrafiącemu docenić luksus, aniżeli pozostawić go na pastwę męża niezgrabny. Nawet jeśli oznaczało to przeprowadzkę. (Z drugiej strony podejrzewam, że Dan uknuł spisek, aby zaciągnąć mnie do tej chałupy w Yonkers — przecież nawet stary dobry Machiavelli by się nie powstydział planu systematycznego niszczenia moich utensyliów i mebli — zatem moja decyzja nie do końca była moja.)

Ledwie znaleźliśmy się na drugim brzegu Hudsonu, ogarnął mnie niepokój, jakiego zawsze doświadczam, ilekroć opuszczam granice miasta. Jako typowa mieszkanka Nowego Jorku cierpię na kompleks wyższości i wprost nie wyobrażam sobie życia poza wyspiarskim sanktuarium Manhattanu, a paradoksalnie szok jest najdotkliwszy nie na głębokiej prowincji, lecz na rogatkach. Nagle jezdni z czteropasmowej robi się ośmiopasmowa, a otoczenie zmienia się z każdym przejechanym kilometrem. Wokół pojawia się coraz więcej terenówek, a nawet pikapów, na poboczu zaś ciągną się niskie zabudowania o elewacji pokrytej brzydkim sidingiem, spomiędzy których tu i ówdzie wyziera splechła trawy. Chociaż można tutaj sięgnąć wzrokiem dalej niż do najbliższej przecznicy, nie czuje się przestrzeni. Dla mnie, mieszczucha, miasto kończy się wraz z ostatnim wieżowcem, i choć miejsce drapaczy chmur zajmuje niebo i światło, nie mam na czym zawiesić oka. Czuję się jak wygnana z rajy.

Dan nie zauważył mojej reakcji i jakby nigdy nic dalej paplał o urokach życia poza miastem, malując doprawdy przerażające obrazki. Kiedy wyrwałam się z zamyślenia, mówił właśnie, jaka to frajda urządzić grilla na

tarasie własnego domu i wśród dobrych przyjaciół. Tyle jeszcze mogłabym przełknąć, ale dlaczego, na Boga, mielibyśmy grillować podłe, naszpikowane chemią mięso zakupione w hipermarkecie, do tego w opakowaniu familijnym, żeby było taniej, i to w towarzystwie osóbek o dźwięcznych imionach, takich jak Candy czy Mandy, które mają na włosach pasemka i znają tylko jeden rodzaj przyprawy — ketchup.

Niczego nieświadomy Dan roztaczał swoje wizje z piekła rodem (choć oczywiście w jego mniemaniu był to ciąg dalszy bajki pt. „Żyli długo i szczęśliwie...”), a ja z trudem tłumila narastającą we mnie panikę. Niby wiedziałam, że ta wycieczka to przecież nie koniec świata — jechaliśmy się tylko rozejrzeć i zawsze mogłam okazać niezadowolenie, tym samym zapewniając sobie święty spokój i brak jakichkolwiek dramatycznych zmian w życiu — wszakże problem leżał gdzie indziej. Danowi naprawdę zależało na tym domu. Mój mąż niczym się nie różnił od większości ludzi: był przeciętny do bólu i miał niewyrobinony gust, natomiast ja potrzebowałam czegoś innego... kogoś innego... Co za szkoda, że dopiero poniewczasie przekonałam się, że nie jesteśmy pokrewnymi duszami! Z właściwym mężczyzną mogłabym osiąść nawet w Yonkers i śmiać się z tego, traktując to jako świetny postmodernistyczny żart, ale z Danem coś takiego nie było możliwe.

Zaledwie dzień wcześniej minął równy miesiąc od naszego ślubu. I co z tej okazji dostałam od męża? Bukiet zapakowanych w celofan kwiatków z pierwszej lepszej kwiaciarni. Wiem naturalnie, że liczy się pamięć i tak dalej, ale jakoś nie potrafiłam wyzbyć się myśli, że oto mam kolejny namacalny dowód, jak bardzo się od siebie różnimy. Nie, nie chodzi mi o to, że kwiaty były tanie. Prawdę powiedziawszy wolę skromny bukiet, ale na litość boską, niech będzie z klasą! Niech to będą stokrotki kupione od Cyganki albo jeszcze lepiej zerwane własnoręcznie w Central Parku, a nie plastikowe róże! Ktoś mógłby rzec, że małostkowa krowa ze mnie, ale cóż, przywiązuję wagę do takich rzeczy. W głębi duszy jestem przekonana, że ten właściwy, mnie pisany mężczyzna coś takiego po prostu by wiedział, wyczułby szóstym zmysłem. I nieważne, że kwiaty to drobiazg bez znaczenia. Po pierwsze, życie składa się z drobiazgów, a po drugie coś, co rzeczywiście byłoby nieistotne w wypadku krótkotrwałej znajomości, nabiera całkowicie innego wymiaru w sytuacji, kiedy jest się związanym z kimś na stałe. Dopasowanie się do partnera nigdy nie jest łatwe, ale ja znalazłam się w wyjątkowo trudnym położeniu. Muszę znosić kraciaste

koszule, magazyny wędkarskie i plastikowe róże, a oprócz tego całą masę drobnych przywar, na które nie zwróciłam uwagi w krótkim okresie narzeczeństwa. Teraz to się na mnie mści. Każdy dzień przynosi kolejny denerwujący nawyk Dana i moją kolejną fobię. Weźmy na przykład karygodny zwyczaj wydmuchiwania nosa przy stole. Odkąd zwróciłam na to uwagę, wydaje mi się, że Dan nie robi przy stole nic innego, tylko pociąga nosem, siąka i smarka. Mój mąż okazał się smarkaczem! myślę z odrazą i wypominam sobie, że nie zauważyłam czegoś tak rzucającego się w oczy odpowiednio wcześniej. Teoretycznie powinnam go taktownie upomnieć, jak dotąd nie uczyniłam tego jednak, gdyż brak mi odwagi. I znów problem sprowadza się do tego, że ja Dana zwyczajnie nie kocham. Gdybym go bowiem darzyła prawdziwym uczuciem, nie miałabym takich oporów. Kochający się ludzie mają prawo wrzeszczeć na siebie z powodu największego nawet głupstwa bez obaw, że zostaną źle zrozumiani. A tak muszę wszystko tłamsić w sobie i zamiast dać upust złości i frustracji, prowadzę niekończące się monologi, w myślach rzecz jasna. Znowu nie zamknęłam za sobą drzwi do łazienki i rozmawiał ze mną, siusiając.

Znowu nie przyciął włosów w nosie. Znowu zostawił łyżeczkę w niedomkniętym słoiku z dżemem. Znowu schował masło do lodówki i nie mogę sobie zrobić kanapek, chociaż umieram z głodu. Znowu... Lista skarg nie miała końca.

Zastanawiałam się nieraz, jak to możliwe, że Dan niczego nie dostrzega, nie domyśla się nawet, co mi chodzi po głowie. Niewątpliwie zażądałby rozwodu, gdyby wiedział, prawda? Może więc powinnam oddać nam obojgu przysługę i sama mu wszystko wygarnąć? Boję się, że nie nadaję się do małżeństwa, choć nie potrafię określić, czy jestem tylko bezkompromisowa czy też zupełnie niezdolna do kompromisu. Ta pierwsza cecha to przecież zaleta; wierność samej sobie, wierność przyjętym wartościom, dążenie do doskonałości... Kogo ja próbuję oszukać?

Wysłałam za mąż, gdyż uznałam, że nadeszła na to pora. Zawsze chciałam mieć dom, rodzinę, dzieci (no, przynajmniej jedno dziecko), poza tym ileż można żyć wyłącznie pracą, do tego taką, w której człowiek zajmuje się kreowaniem domowej atmosfery dla innych, co to im brak czasu lub wyobraźni. We własnym odczuciu potrafię stworzyć prawdziwy dom, ale przecież nawet Salomon nie należy z próżnego. Do małżeństwa potrzebne są dwie osoby. I uczucie. A tego ostatniego, kluczowego składnika najbardziej mi właśnie brakuje.

Czyż to nie zakrawa na ironię, że uciekwszy z samotności w zalegalizowany związek czuję się bardziej samotna niż kiedykolwiek? W tyle za nami zostawał nie tylko Nowy Jork, ale i moje dotychczasowe życie, przed nami zaś z mgły nie wyłoniła się jeszcze przyszłość.

RS

Rozdział ósmy

Irlandia, 1938

Przez pierwszy rok małżeństwa pałałam do Jamesa szczerą nienawiścią. Irytowała mnie jego pewność siebie, to, że w swoim mniemaniu był wszystkim równy. Pamiętam, jak któregoś dnia przedstawił mnie doktorostwu, zapewne uważając, że stanowimy dla nich interesujące towarzystwo. Nie mieściło mi się to w głowie — zostałam wychowana tak, by znać swoje miejsce, i z pewnością nie było ono wśród kwiatu parafialnej społeczności. Tymczasem oboje, doktor z żoną, zdawali się darzyć Jamesa sympatią i powitali mnie z otwartymi rękoma. Kiedy padła życzliwa propozycja, abym zaszła kiedyś na herbatę, odparłam, że nie mam czasu na takie przyjemności, gdyż mąż zmusza mnie do ciężkiej pracy. Doktorowa była zszokowana — moim tonem bądź moim losem

— James zaś roześmiał się zachwycony, że jestem nie tylko młoda i urocza, ale i dowcipna.

Gdziekolwiek szliśmy, ludzie Ignęli do niego, a on był w swoim żywiole. Otaczał mnie ramieniem i przedstawiał wszystkim, jak gdyby chwalił się: „Popatrzcie, co mam!”, chociaż oboje dobrze wiedzieliśmy, że nigdy mnie nie miał. Nie w taki sposób, w jaki mąż powinien mieć ślubną żonę. Kiedy wchodziliśmy do kościoła w Kilkelly, a potem szliśmy okazałą długą nawą i wślizgiwali się na swoje miejsca tuż pod amboną, gdzie James jako nauczyciel miał zaszczyt siedzieć, jego dłoń spoczywała u dołu moich pleców. Przez pełne dwanaście miesięcy nie dotknął mnie nigdzie indziej.

Już w noc poślubną dałam Jamesowi do zrozumienia, że jeśli uważa, iż prawa małżonka mu się należą, będzie musiał wyegzekwować je siłą. Nie walczyłabym z nim ani bym się nie broniła — wraz z przysięgą małżeńską moje ciało przeszło na jego własność, a mój opór nie byłby miły Bogu — niemniej musiał wiedzieć, jakie żywię do niego uczucia. Nigdy nie powiedziałam mu tego wprost, lecz moja niechęć była wręcz namacalna. Pod wszelkimi innymi względami wypełniałam swoje obowiązki w każdym calu i świeciłam przykładem jako idealna żona i gospodyni. Wstawałam skoro świt, z kurami, które karmiłam, zanim jeszcze sama zjadłam śniadanie, rozpałałam w piecu i grzałam wodę dla Jamesa. On budził się dwie godziny po mnie, mył i golił, po czym pochłaniał ciepłą owsiankę na tłustym, świeżo udojonym mleku. W południe zachodził do domu na lekki posiłek — zazwyczaj jakieś mięso z dwoma rodzajami warzyw, a po pracy czekał na

niego podwieczorek: chleb z dżemem albo wciąż gorące ciasto. Dopiero późny obiad jedliśmy razem. Koszule miał zawsze śnieżnobiałe, wykrochmalone i uprasowane, a każdą część garderoby od skarpetek począwszy na filcowym kapeluszu skończywszy tak długo cerowałam i szczotkowałam, aż wyglądały lepiej niż w dniu, kiedy zostały kupione. Na kolanach szorowałam podłogi, które błyszczały do tego stopnia, że odwiedzający mieli obiekcje przed postawieniem za progiem ubłoconego buta. W domu zawsze lśniło i wszystko było na swoim miejscu, nawet popiół z paleniska układał się w karną piramidkę, jakby drżąc ze strachu przede mną.

Wiedziałam, że żaden człowiek ani nawet sam Pan Bóg nie zarzucą mi braku szacunku dla męża tak długo, jak długo będę się pracowicie krzątać wokół Jamesa i obejścia. Tyle że Jamesowi nie zależało tak bardzo na moim szacunku, jak na miłości, której mu w zacierzewieniu odmawiałam, sądząc, że całą oddałam wcześniej komu innemu.

Pozory pozorami, ale prawda o naszym smutnym pożyciu wychodziła na jaw wieczorem, kiedy już zamknęły się za nami drzwi sypialni. Jeszcze w noc poślubną pościeliłam niską wąską otomanę stojącą obok małżeńskiego łoża i to właśnie tam sypiał James. Wiele czasu upłynęło, nim potrafiłam bez lęku zmrużyć oko, mając tuż obok siebie niemal obcego mężczyznę, który w każdej chwili mógł zacząć domagać się w ciemności swoich praw. Godziny mijały, a ja truchlałam przy każdym głośniejszym skrzypnięciu i chwilami nawet chciałam, żeby wreszcie mnie posiadł, gdyż wtedy przynajmniej skończyłoby się to potworne wyczekiwanie i niepewność. Dopiero nazajutrz rano moje obawy okazały się próżne — James cichcem, po omacku wyszedł z sypialni i całą noc spędził w kuchni czytając. Kiedy sobie to uświadomiłam, ogarnęła mnie złość większa nawet niż ta wyimaginowana z powodu jego natręctwa. Poczułam się oszukana i dotknięta — wtedy gdy ja drżałam przed atakiem barbarzyńcy, on kulturalnie zagłębiał się w lekturze i przecierał zaczerwienione z niewyspania oczy.

Pierwszego roku James wiele czytał, zwłaszcza nocą. Nigdy nie wystąpił z prośbą ani najlżejszą sugestią, że powinno być inaczej, nigdy też nie zniżył się do błagania, gróźb ani tym bardziej do użycia przemocy. Jedyne często prawił mi komplementy. Nie rozumiejąc takiego postępowania, wyśmiewałam w duchu jego słabość i to, jak łatwo mu przyszło powściągnąć żądzę. Teraz wiem, że na swój sposób był silniejszy ode mnie, wszakże gdyby okazał swą siłę inaczej, nasze małżeństwo mogłoby być bardziej

udane. Żale poniewczasie, myślę sobie. Cóż komu przyjdzie z mojej starczej mądrości i chęci zadośćuczynienia za wyrządzoną krzywdę? Moje poświęcenie zda się teraz psu na budę...

Trudno uwierzyć, ale to, że przetrwałam pierwszy rok małżeństwa, zawdzięczam swojej świerze. Od samego początku kazała mówić do siebie po imieniu. Ellie owdowiała młodo, sama wychowywała siedmioro dzieci i dopiero kiedy starsze pokończyły szkoły, pozwoliła, by pomogły jej przy drobiazgu. Była to zaradna i doprawdy wyjątkowa kobieta. Po śmierci męża nie przyjęła oferowanej przez sąsiadów pomocy, lecz rozesłała dzieci do bliższych i dalszych krewnych i lato w lato wyjeżdżała do Anglii pracować u boku mężczyzn emigrantów. Każda inna kobieta straciłaby w ten sposób respekt, a może i cześć, lecz nie Ellie, co dobitnie świadczy o jej silnym i prawym charakterze. Na pewno nie była dewotką, zapatrzoną w kler i spijającą niezyciowe mądrości z ust księdza, tylko pracowitym i ofiarnym człowiekiem. Ważniejsze dla niej były czyny niż słowa, nie przejmowała się, co kto sobie o niej pomyśli, skoro nie robiła nic złego. I trzeba to przyznać naszym parafianom, że potrafili jej oddać słusność. Mnie ona nigdy wcześniej nie zaprzętała głowy, toteż zamieszkałam tuż obok niej bez żadnych uprzedzeń, a tak się złożyło, że polubiłyśmy się wbrew okolicznościom, które nas do siebie zbliżyły.

Rychło życie narzuciło nam częstsze kontakty. Ellie, już posunięta w latach i z trudem poruszająca się o lasce, zgodziła się na moją pomoc i towarzystwo. Kiedy James rozpoczynał lekcje, ja przygotowywałam obfite i urozmaicone śniadanie, układałam je na tacy i zносиłam do pobliskiego domku, w którym wychował się mój mąż. Większą radość sprawiało mi gotowanie dla matki niż dla syna; w jego pochwałach wyczuwałam fałsz i potrzebę przypodobania się, podczas gdy Ellie nie miała powodu, by mi nadszakiwać, tym bardziej więc ceniłam sobie jej opinię. Wychwalając pod niebiosa moje placki Świętej Brygidy przyznała, że sama jest kiepską kucharką, i z zainteresowaniem wypytała o przepis. Zaraz jednak obśmiała się i stwierdziła, że i tak by jej nie wyszły, więc szkoda zachodu. Ellie należała do tych nielicznych osób, które potrafią żartować same z siebie, i między innymi za to ją pokochałam. W domku panował nieład, ale ilekroć łąpałam za szczotkę i szmatę, żeby go trochę ogarnąć, przywoływała mnie i prosiła, żebym jej poczytała. Czułam się trochę dekadentcko siedząc beczynnienie o jedenastej rano i czytając dla przyjemności, ale Ellie miała jasno sprecyzowane zdanie: trzeba dbać nie tylko o ciało, ale i o ducha.

Jej ulubionym utworem był poemat sir Waltera Scotta zatytułowany „Pani Jeziora”. Mimo że ledwo chodziła, ducha miała bojowego i z zapartym tchem wysłuchiwała krwawych fragmentów opiewających walki toczące się niegdyś na pogórzcu Szkocji. Czasem włączała się do recytacji i wtedy deklamowałyśmy w duecie.

Urywki, w których kobiece głosy użalały się nad utratą kochanków, odczytywałam z drżeniem w głosie, a przy romantycznych wyznaniach miłości zupełnie się rozklejałam. Ellie niewątpliwie wiedziała o Michaelu, a także o tym, że to o nim, a nie o jej synu wtedy myślę. Nie mogła przecież nie słyszeć, że młoda Moranówna uganiała się ze wzajemnością za amerykańskim chłopcem i że niemal przywdziała żałobę, kiedy niespodzianie opuścił kraj. Obawiam się jednak, że moja świekra wiedziała znacznie więcej — między innymi to, że nie kocham jej syna, choć w południe zrywałam się jak oparzona i biegłam przygotowywać dla niego lunch.

Ellie, jak każda matka, świata poza synem nie widziała, a jednak polubiła mnie szczerze. Do dziś żałuję, że znałyśmy się tak krótko, lecz zarazem wdzięczna jestem, że dane mi ją było w ogóle poznać. Wywarła wielki wpływ na moje życie i małżeństwo. Przy niej byłam bardziej sobą aniżeli w domu, gdzie musiałam grać rolę usłużnej acz oziębłej żony, a jej bezwarunkowa akceptacja sprawiała, że byłam dla Jamesa mniej oziębła, niż to sobie zaplanowałam. Może swoją przyjaźnią chciała wyprosić u mnie miłość dla swojego syna — doświadczona przez życie wiedziała, że bezpośrednia prośba przyniosłaby wręcz odwrotny skutek. Zresztą nie chcę osądzać jej niesprawiedliwie. Niewykluczone, że po prostu mnie lubiła i cieszyła się z dobrej synowej. Teraz, po latach, nie sposób powiedzieć na pewno...

Jednego wszakże jestem pewna: Ellie Nolan posiadała mądrość życiową, jakiej ja nie zdobyłam ani w czasie długiego małżeństwa, ani potem, ani też nie zdobędę bez względu na to, jak długo pozostanę jeszcze na tym świecie. Bardzo wczesnie straciwszy męża, boleśnie przekonała się, jaka jest wartość prawdziwej miłości i jak szalenie bezcelowe jest poszukiwanie uczucia doskonałego. Zrywy namiętności, wielkie słowa to domena poezji i fikcji, w życiu jest zgoła inaczej. Człowiek nie potrafi w czas docenić tego, co los mu podsunął, a później... później jest już za późno. Im uporczywiej szuka się miłości i pragnie ją pochwycić, tym bardziej ulotna i trudniejsza się staje, lecz w całej pełni odczuwa się ją dopiero wtedy, gdy się ją utraci na dobre.

Ellie nie miała złudzeń. Lubiła słuchać wierszy, ale nie mieszała fantazji z rzeczywistością. Wiedziała, że młoda, ładna i zdrowa kobieta, do tego wyśmienita kucharka, daje przynajmniej nadzieję, że James będzie szczęśliwy.

Na stare lata zaczynam rozumieć, że Ellie miała rację. Wielka płomienna miłość wybuchająca niczym fajerwerk równie szybko gaśnie. Uczucie długo rozpalane, którego ogień jest wciąż troskliwie podtrzymywany, ma znacznie większe szanse na przetrwanie, dając przy tym więcej ciepła i czyniąc więcej dobrego.

Jaka szkoda, że tylko długie i ciężkie życie może człowieka tego nauczyć.

RS

Rozdział dziewiąty

Nowy Jork, 2004

— No, jesteśmy — oznajmił Dan, podjeżdżając pod zapyziały sklepik kolonialny na McClean Avenue w Yonkers.

Powiedział to tak, jakbyśmy osiągnęli nie cel naszej podróży, ale co najmniej siedmiotysięcznik. Albo co gorsza, jakbyśmy dobili do naszej przystani życiowej. McClean Avenue, gdyby ktoś jeszcze nie wiedział, to miejsce, w którym można dostać „Irish Independent” z ubiegłego tygodnia, kupić słynne irlandzkie chrupki Tayto i nie mniej słynną herbatę marki Barry's, skosztować importowanych kiełbasek i bekonu, a także upić się do nieprzytomności guinnessem wśród ludzi żałujących, że nie mieszkają na Szmaragdowej Wyspie. Jednym słowem, Irlandia w pigułce.

Dan ma fioła na punkcie irlandzkości, co doprowadza mnie do szału. Nasze pochodzenie to jedyne, co nas naprawdę łączy, lecz niestety oznacza dla każdego z nas zupełnie co innego. Ja urodziłam się w Stanach, ale sporą część dzieciństwa i całe studia spędziłam w starym kraju, nic dziwnego więc, że dla mnie Irlandia to bezkresne bagniste wrzosowiska opromienione kapryśnym purpurowożółtym słońcem, wiszący w powietrzu zapach mokrego torfu, smak Babcinego placka z rabarbarem. I oczywiście Joyce, Yeats, Brendan Behan, Patrick Kavanagh... całe to dziedzictwo, trudne do ogarnięcia rozumem. A dla Dana? Zielone piwo i bułeczki z owocami.

Wcale nie przesadzam. Ledwie się zatrzymaliśmy, Dan pognał do sklepu, skąd po chwili wyłonił się z wielkim uśmiechem, kartonem mleka i małą, owiniętą celofanem paczuszką, w której jak twierdził, znajdują się oryginalne bułeczki — „palce lizać!” — wypieku niejakiej Kitty. Bzdura, pomyślałam. Na opakowaniu jak wół stała data przydatności do spożycia, a lista składników zawierała niemal same konserwanty, co zauważyłam, kiedy wsiadał do samochodu.

— Bzdura — powiedziałam na głos. Zrobił urażoną minę, jakby moja opinia nie dotyczyła tylko bułeczek. Atmosfera zauważalnie zgęstniała. Przypuszczam, że już od jakiegoś czasu Dan zdawał sobie sprawę, że nie spełnia moich oczekiwań, jednakże obawiał się zapytać wprost, o co mi chodzi. Poczulałam się winna. Ilekroć sytuacja stawała się napięta i groziło, że lada moment wygarniemy sobie prawdę, moje poczucie winy wypuszczało zasłonę dymną. — Skarbie, w domu upiekę ci lepsze. Co tam bułeczki z owocami, zrobię prawdziwe irlandzkie ciasto porterowe.

Nachylił się i pocałował mnie, mimo że właśnie zjechaliśmy z krawężnika. Westchnęłam w duchu, że z taką łatwością przychodzi mi grać Doris Day i że — co gorsza — poślubiłam mężczyznę, który daje się na to nabierać.

Krętymi uliczkami pięliśmy się coraz wyżej, a ja ze zdumieniem skonstatowałam, że otoczenie ulega zmianie na korzyść. Wraz z wysokością rosła widać zamożność mieszkańców i co za tym idzie, domy stawały się solidniejsze i bardziej interesujące. Tymczasowo odstawiłam na bok swój cynizm, gdyż wzrok przykuł mi piękny trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły i o kutyh w żelazie balustradach.

— No, jesteśmy — powiedział znowu Dan i zatrzymał samochód.

Byłam w szoku.

— To tutaj?

— Tutaj, skarbie — przytaknął.

— To jest twój dom?

— Podoba ci się? — zapytał z niepewną miną.

Nie znoszę, kiedy tak się zachowuje. Jak przymilnie merdający ogonem psiak albo mały chłopiec żądny pochwały. Wszystko by oddał za dobre słowo — każde by mu pasowało, gdyż i tak przetłumaczyłby je sobie: „Kocham cię, Dan”.

— Jest w porządku — stwierdziłam ostrożnie.

W duchu byłam oczywiście zachwycona, ale przecież nie mogłam mu tego powiedzieć. Dan kupił ten dom przed dziesięcioma laty; nazywał go swoją inwestycją. Nie tylko pod względem finansowym, ale także — a może głównie — w tym znaczeniu, że pewnego dnia miał nadzieję spotkać właściwą kobietę, przed którą otworzyłby jego podwoje. Zgadząc się, by otworzył je przede mną, wyraziłabym zgodę nie tylko na zamieszkanie tutaj, ale przede wszystkim na dalsze wspólne życie. Brzmi to idiotycznie, biorąc pod uwagę, że od miesiąca byliśmy małżeństwem, ale tak to właśnie wyglądało w moim odczuciu. Dopóki każde z nas miało swoje własne mieszkanie i zadowalał nas ten prowizoryczny układ, wciąż miałam szansę się wycofać.

Wszelako z Longville Avenue nie było drogi ucieczki. Wewnątrz domu zobaczyłam wspaniałe, pociemniałe ze starości belki stropowe, dębową podłogę, wiekowe meble wymagające, by je odkurzyć, wypolerować i powyszcierać nowymi obiciami — wszystko aż się prosiło o odrobinę miłości i czułą rękę. W holu stała porzucona cynowa wanna i kredens z emaliowanym blatem i zwichrowanymi zawiasami, a na piętrze pół tuzina

drzwi zapraszało do pokoi, które tylko czekały, aby nadać im role bawialni, salonu, sypialni...

Dan nie odstępował mnie nawet o krok; zza pleców dochodziło mnie, jak szura stopami i przetyka ślinę, czułam jego napięcie i nadzieję. W końcu nie wytrzymał i zaczął się usprawiedliwiać:

— Straszny tu bałagan, ale...

Nie dokończył, licząc, że ja uczynię to za niego. Ze powiem to, co chciał usłyszeć: że jego zręczność i moje oko sprawią, iż ta zapuszczona skorupa stanie się prawdziwym domem. Byłam w stanie pojąć jego marzenie i nawet chciałam je dzielić — tyle że nie z nim.

Zadrżałam w tej samej chwili, kiedy poryw wiatru poruszył kwiecistą zasłoną u krańca holu. Ogarnięta smutkiem i przytłoczona sekretem, którego żadną miarą nie mogłam nikomu zdradzić, w milczeniu podeszłam do tylnych drzwi. Otworzyły się ze skrzypieniem i moim oczom ukazał się ogród.

Wybrawszy najpewniejszą ścieżkę przedzierałam się przez gęstwinę, aż doszłam do ogrodzenia porośniętego bluszczem i powojnikiem. Po lewej rosła kępa pokrzyw, z których byłaby pyszna zupa, po prawej z jakichś krzaków wyzierał kamienny cherubin. Podeszłam tam i rozgarnęłam kolczaste gałęzie, żeby mu się lepiej przyjrzeć, lecz figurka straciła równowagę i przechyliła się gwałtownie. Aby ją ratować przed upadkiem, przyklękłam i ze zdumieniem dostrzegłam, że u moich stóp rosą mięsiste pierzaste liście, z których wystają cienkie czerwone łodygi. Dziko rosnący rabarbar.

Rozdział dziesiąty

Irlandia, 1938

W pierwszą rocznicę naszego ślubu zmarła Ellie.

James od samego rana podkreślał odświętność tego dnia. Obudził się przede mną i podarował mi broszkę w kształcie jaskółki, za którą mu grzecznie podziękowałam, lecz nawet jej nie przymierzyłam, tylko obojętnym gestem odłożyłam na nocny stolik. Wszakże kiedy później przyrządzałam śniadanie dla świekry, błyskotka nie schodziła z moich myśli. Gdybym się przełamała i ją przypięła, choćby do domowej sukni, James odczytałby to jako dowód miłości. Pozostawiając ją gdzieś na uboczu, narażałam się, że nigdy więcej nie dostanę od niego prezentu. Zdecydowałam się na kompromis; postanowiłam, że przypnę broszkę zanosząc Ellie śniadanie, aby zobaczyła, że James o mnie pamięta i że potrafi uczynić mnie szczęśliwą, nawet jeśli nie była to do końca prawda.

Równo dwanaście miesięcy zajęło mi zrozumienie, że czasem należy poświęcić własną dumę dla czyjejs drobnej radości, lecz niestety było już za późno.

Kiedy weszłam do sypialni, Ellie leżała na wznak z rękoma ułożonymi na podołku, w palcach wciąż trzymała różaniec. Umarła we śnie. Prawdopodobnie spodziewała się tego, czemu się wcale nie dziwiłam, gdyż Ellie wiedziała niemal wszystko. Godzinę przepłakałam nad jej stygnącym ciałem, zanim poszłam po Jamesa. Łzy bowiem nie zawsze mówią prawdę; zazwyczaj płaczemy sami nad sobą, chociaż wygląda to na żałobę po kimś. Darzyłam Ellie szczerą sympatią, a jednak póki żyła, bardziej przejmowałam się swoimi problemami aniżeli nią, teraz zaś kiedy jej zabrakło, nie pozostał mi nikt, kto by stanowił przeciwwagę dla mego nieudanego małżeństwa. Zostaliśmy tylko we dwoje. James i ja. Przyszłość napawała mnie strachem.

Szczerłość rzadko bywa zaletą, a jeszcze rzadziej przynosi coś dobrego. Znacznie częściej to zwykła, egoistyczna i brutalna potrzeba oczyszczenia, na którą bezkarnie można sobie pozwolić tylko wobec zmarłych. Ukryłam więc twarz na piersi Ellie, pochwyciłam jej zimną kościstą dłoń i szlochając wyrzucalam z siebie wszystko, co mnie trapiło. Powiedziałam jej, że nigdy nie kochałam jej syna, lecz że robię co w mojej mocy, by dopuścić do siebie to uczucie. Jeszcze mówiąc te słowa, zrozumiałam, że w rzeczywistości to nieprawda. Ja tylko stwarzałam pozory kochającej żony, prowadząc mu dom i gospodarstwo.

Wyplakawszy się, udałam się do budynku szkoły, by poinformować Jamesa, że jego matka odeszła. Przyjął to ze spokojem, kontynuował nawet lekcje do przerwy obiadowej. Ellie była mocno posunięta w latach, toteż gdy zobaczono go, jak wychodzi ze szkoły z bólem wypisanym na twarzy, od razu rozniosła się wieść, co zaszło. Przygotowania do pogrzebu rozpoczęły się, nim którekolwiek z nas zdążyło cokolwiek komuś zlecić.

Zgodnie z miejscowym zwyczajem ciało Ellie zostało wystawione w kuchni jej domu, a czuwanie przy zwłokach trwało trzy dni i trzy noce. Był to pierwszy pogrzeb, w jakim brałam udział. Sąsiedzi naznosili swoje najlepsze talerze i każdy przyniósł co mógł: a to chleb, a to placek, niektórzy nawet zadali sobie trud przyrządzenia wymyślnych kanapek, inni zaś ugotowali szynki i upiekli kurczęta. Przez te trzy dni dom stał dla wszystkich otworem, na mnie nie zwracano większej uwagi. Przekaz był jasny: to oni znali i kochali Ellie, ja nie zasłużyłam sobie na prawo oplakiwania jej. Niemniej byłam świadkiem, jak przyjaciele i zupełnie obcy ludzie pochłaniali górę jedzenia i opróżniali do ostatniej kropli każdą z dziesięciu naszykowanych butelek z whisky, oddając w ten sposób cześć zmarłej. James przyjmował ich wszystkich z otwartymi ramionami, jak gdyby byli równie bliscy Ellie jak on sam.

Ze mną u swego boku przyjmował kondolencje i wyrazy współczucia, a tłum żałobników wcale nie rzedniał. Ślaniając się ze zmęczenia myślałam smętnie, że jest to pierwsze wydarzenie w naszym życiu, które przeżywamy naprawdę wspólnie. Szczerze oplakiwałam świekrę i nie miałam wyjścia, jak tylko darzyć Jamesa szacunkiem za to, w jaki sposób radził sobie ze stratą matki i z jaką wspaniałomyślnością witał każdego, kto uważał, że również ma prawo do żałoby.

Na cmentarz poszłam ubrana w szyty na miarę czarny płaszcz i elegancki czarny kapelusik, który jednego dnia Ellie mi podarowała. W klapę trenczu wpięłam broszę otrzymaną od Jamesa. Zdawałam sobie sprawę, że będzie się wyróżniać, a niektórych może nawet kłuć w oczy, lecz nie zważałam na to. James musiał ją dostrzec, ale nie zwrócił mi uwagi, a ja nagle poczułam, że Ellie byłaby zadowolona z tej naszej małej manifestacji. Choć dzień wstał pochmurny, niebo nie rozpadało się aż do części bolesnej różańca. Staliśmy z Jamesem tuż obok siebie; wsunęłam mu dłoń pod ramię, tyleż dla niego, ile dla pozostałych zebranych. Kiedy pierwsze bryłki gliniastej ziemi spadły na wieko trumny, James nakrył moją dłoń swoją, a ja nie uczyniłam żadnego

ruchu i pozwoliłam mu na tę bliskość, mimo że jego palce zdawały się suche i zimne jak ciało jego matki.

Do domu wróciliśmy tylko we dwoje. Po raz pierwszy od nocy poślubnej skazani byliśmy wyłącznie na swoją obecność i chyba po raz pierwszy od roku znów z całą mocą odczuliśmy własną samotność. James cierpiał w milczeniu, jak mają to w zwyczaju dorośli, którzy utracili ostatnie z rodziców. Zwłaszcza matka jest centrum świata dziecka, to ona kreśli mapę jego życia i kiedy jej nie stanie, dziecko czuje się zagubione. Wie, że od teraz jest zdane na siebie, że samo musi wykreślać dalszą drogę, lecz nie wie, od czego zacząć. James miał przed sobą opustoszałą nagle kartę i głupiutką żonę, która nie kochała go tak, jak by sobie życzył.

Nie było nas w domu zaledwie trzy dni, ale mnie wydawało się, że nieobecność trwała znacznie dłużej. To najbrzydsza sztuczka Śmierci, która potrafi igrać z czasem w tak przewrotny sposób, że mimo iż pogrzeb zdaje się ciągnąć w nieskończoność i łagodzić smutek, wkrótce potem człowiek znajduje się znów w punkcie wyjścia, a rozpacz dopada go z pełną siłą.

Kiedy zaproponowałam Jamesowi coś do jedzenia, a on odmówił, poszłam prosto do sypialni, gdzie zaciągnęłam zasłony i ległam na łóżku, mimo że było dopiero popołudnie. Powieki mi ciążyły i sen skradał się ze swą aksamitną ciemnością, lecz zamiast dać się jej otulić, podskoczyłam nagle, poczuwszy coś za plecami. Krzyknęłam przy tym nie swoim głosem, co przeraziło mnie jeszcze bardziej.

Odwróciłam się i okazało się, że to James wszedł za mną do łóżka. Leżał pod kołdrą, lecz we wciąż jasnym świetle dnia przesączającym się przez zasłony dostrzegłam jego nagie ramiona i tors. Podejrzewałam, że jest cały nagi, i nie wiedziałam, czy mam śmiać się czy płakać. Nie bałam się jednak. Z podniesioną głową patrzyłam mu prosto w oczy.

On szukał w moich najłżejszego śladu uczucia. Dowodu, że małżeństwo ze mną nie było całkowitą pomyłką, że mogę przynieść mu pocieszenie w chwili takiej jak ta. Przypuszczam, że nie liczył na zbyt wiele, mając w pamięci ostatni rok naszego pożycia; pewnie zadowoliliby się czymkolwiek, byle tylko przetrwać tamtą noc. Odrobiną ciepła, w którym by się skrył, odrobiną siły, z której mógłby czerpać, czymkolwiek... W końcu zrozumiał, że czeka nadaremno. Musiał to dostrzec w moich oczach, pełnych pogardy dla niego, i usłyszeć w pełnym przerażenia krzyku.

W ułamku sekundy jego twarz zapadła się w siebie, odsłaniając tak dogłębną rozpacz, jakiej nie powinien doświadczyć żaden człowiek, po czym

James odwrócił się do mnie plecami. Łóżko zamieniło się w łódź unoszoną przez jego żal, kołysało się w rytm jego szlochu. Byłabym straciła cierpliwość do niego, gdyby jego łzy były skutkiem samoużalania się, które nie było mi obce, jednakże James naprawdę cierpiał i miał do tego pełne prawo. Poczułam współczucie dla tego nagiego, odrzuconego mężczyzny, który nie znalazł w sobie wystarczająco dużo siły fizycznej, by się ode mnie odsunąć.

Czułam też strach. Nie przed tym, co James może mi uczynić, lecz z powodu tego, czego ja uczynić nie potrafiłam. Tak bardzo się bałam tej niemożności, że w końcu postanowiłam się przełamać i spróbować.

Wyciągnęłam rękę i musnęłam czubek jego głowy. Włosy miał sztywne, co mnie zdziwiło, bo choć po wielokroć zastanawiałam się, jakie są w dotyku, nigdy wcześniej tego nie sprawdziłam. Oczekiwałam, że poczuwszy, iż go dotykam, zesztynieje z namiętności, toteż bardzo się rozczarowałam, kiedy mnie zignorował i nie przestał płakać. Serdecznie pragnęłam, by wreszcie ucichł — nie sądziłam bowiem, bym mogła dłużej znieść jego zawodzenie. Nie myśląc wiele, nachyliłam się i złożyłam na jego mokrym policzku niezdamy pocałunek.

Odwrócił się gwałtownie, zaskakując mnie tym strasznie, i wpił się w moje usta. Poczułam się oszukana, jak gdyby swą żalobą wymusił na mnie przejaw miłości. Oczywiście znałam go na tyle, by wiedzieć, że to li tylko mój wymysł, ale tak właśnie w tamtej chwili się czułam.

Kiedy jest się młodym, to co się czuje, to jedyna prawda, a miłość to uczucie. Dopiero z wiekiem rozumiałam, że prawdziwa miłość nie ma nic wspólnego z uczuciami żywionymi dla drugiego człowieka, lecz przejawia się w tym, co dla tej osoby się robi.

Tamtej nocy oddałam się Jamesowi. Nie zrobiłam tego ani z chęcią, ani z namiętnością, z jaką oddawałam się Michaelowi. Z tego co pamiętam, nie uczyniłam tego także z wdziękiem. Niemniej oddałam mu się.

Nigdy mu nie zdradziłam, że czułam do niego wówczas wyłącznie litość. Była to okrutna prawda i z pewnością by go zraniła, więc zatrzymałam ją dla siebie. Poszłam sama ze sobą na kompromis.

I prawda na tym wcale nie ucierpiała.

Wiele lat później James powiedział mi, że kiedy w przestachu krzyknęłam tamtej nocy, gdy się zakradł do małżeńskiego łóżka, imię, które z siebie wyrzuciłam zmienionym głosem — wołanie o ratunek najpewniej — było jego imieniem.

Poświęcenie

Poświęcając dla drugiego człowieka swoje przekonania, możemy zyskać jego miłość.

Miodownik

Chociaż zawsze lubiłam słodczyce, nigdy nie przepadałam za miodem — aż do dnia, kiedy zabrakło mi cukru i musiałam improwizować.

Wymieszaj ze sobą jedną łyżkę stołową mąki kukurydzianej, dwie łyżeczki sody oczyszczonej i pół kiła zwykłej mąki. Trzy jaja roztrzep Z paroma łyżkami mleka i odstaw wszystko na bok. Teraz weź piętnaście deka masła i prawie pełen słoik miodu i ubij razem na gładką masę, do której powoli dodawaj naszykowaną mąkę wymieszaną z sodą oczyszczoneą, wlewając po trochu jaja rozbełtane z mlekiem. Mieszaj i ubijaj łyżką tak długo, aż powstanie jednolita gładka masa. Jeśli lubisz, możesz dodać do smaku trochę wanilii albo cynamonu, ja jednak zawsze wołałam miodownik bez dodatków. Wlej masę do natłuszczonej i oproszonej mąką foremki i wstaw do średnio nagrzanego piekarnika. Zwiększ nieco ogień i piecz przez godzinę do półtorej.

Rozdział jedenasty

Nowy Jork, 2004

Wydawałoby się, że nic prostszego jak zastąpić cukier miodem, a jednak mało która kucharka się na to decyduje. Cukier i miód idealnie ze sobą współgrają — ten pierwszy nadaje ciastu słodycz, drugi zaś smak. Naturalnie wiele zależy od rodzaju i jakości miodu, który podobnie jak to jest z innymi składnikami, bywa lepszy lub gorszy. Dziadkowie mieli małą pasiekę i własny, wyjątkowo pyszny miód, jakiego nie znajdzie się w najlepszym sklepie kolonialnym. W Westside Market na Broadwayu oferują wprawdzie czterdzieści sześć gatunków miodu — wiem, bo sama każdy sprawdziłam — ale żaden z nich nawet się nie umywa do tego, który zapamiętałam z Irlandii. Amerykańskiego, choćby najdroższego, miodu można zjeść i pełen słoik, a ledwie się poczuje smak. W takich warunkach rezygnowanie z cukru na rzecz złocistego lepkiego płynu mija się z celem i nazbyt przypomina niepotrzebne poświęcenie w życiu.

Dan pochodzi z wielodzietnej irlandzkiej katolickiej rodziny: plasuje się mniej więcej w połowie ósemki rodzeństwa. Jedyny z całej gromadki nie ożenił się przed trzydziestką i stosunkowo wcześniej zaprzestał uczęszczania na niedzielną mszę, co uczyniło z niego czarną owcę. Jego matka, Eileen, rozłożysta kobieta o mocnym głosie, wyszczekuje nawet zdawkowe pytania: „Jak się masz!”, a propozycja napicia się herbaty brzmi w jej ustach: „Napij się z nami!” Mówi z silnym akcentem ze starego kraju (zdaje się, że z hrabstwa Cavan) wzbogaconym o jankeski przydech, a z domu uczyniła ołtarzyk wystawiony instytucji małżeństwa i macierzyństwa. Człowiek na każdym kroku natyka się tam na fotografie jej potomstwa; te z wczesnego dzieciństwa oprawione są w infantylne ramki w misie czy serduszkach, późniejsze zaś straszą fryzurami z lat siedemdziesiątych. Spoza porcelanowych laleczek i szklanych figurek wyzierają młodzi mężczyźni w ślubnych ancugach i panny młode szczerzące końskie uzębienie. Nie sposób się połapać w relacjach rodzinnych — kto jest czyim chrzestnym, do kogo należy pontiac rocznik '82 przechodzący z pokolenia na pokolenie i gdzie powinna stać kosiarka-tractorek, na którą wszyscy się solidarnie zrzucili. Mullinsowie wyprawiają się wspólnie na zakupy na wyprzedazach, przekazują sobie informacje o promocjach i obniżkach cen i grasują po centrach handlowych całymi gangami; pomagają sobie w remontach i opiekują się nie swoimi dziećmi, a nad całością niczym sprawny dyspozytor

czuwa rzecz jasna potężna Eileen. Nieprzenikniona, niezniszczalna, niezawodna. Sama czasem także udziela się w tych rodzinnych maratonach, najczęściej jednak tylko przewodniczy i nadaje kierunek. Dan jej się trochę obawia, co mnie wydaje się mimo wszystko nieco dziwne. Dla odmiany pan domu to niepozorny, opanowany człek-wieczek, którego głównym zajęciem jest schodzenie wszystkim z drogi.

Miałam nadzieję pójść w jego ślady, lecz niestety okazało się to trudniejsze, niż myślałam.

Kiedyśmy przenieśli się do Yonkers, Dan rzucił posadę dozorcę na Manhattanie i zaczął wykonywać drobne prace budowlane dla rodziny i przyjaciół oraz ich bliższych i dalszych znajomych, co przynosiło mu prawie tyle samo pieniędzy, ile wcześniej dozorcstwo, z tym że miał teraz znacznie więcej czasu dla siebie i naszego domu.

Pewnego leniwego niedzielnego ranka rzucił:

— Lepiej się ogarnij, skarbie. Jesteśmy umówieni na obiad na pierwszą.

Zrobiłam niezadowoloną minę. Nawet słówkiem mnie nie uprzedził o planowanym wyjściu, podstępnie biorąc z całkowitego zaskoczenia, a ja nie lubię niespodzianek, zwłaszcza niemiłych. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi jedzenie. I zwłaszcza kiedy padam na nos po wieczorze spędzonym na rozpakowywaniu stert kartonów w próbie uczynienia z nowego lokum prawdziwego domu.

— A gdzież to mnie zabierasz?

Dan uniósł brwi w zdziwieniu, jakby uważając, iż odpowiedź rozumie się sama przez się.

— Do mamy, oczywiście. No tak...

Dziewięćdziesiąt osiem procent członków rodziny Dana mieszka w Yonkers albo najbliższej okolicy, czyli od nas także o rzut beretem. Cóż za nagła odmiana dla jedynaczki wychowanej przez samotną matkę! Skąd, na Boga, miałam wiedzieć, że znajomość z Danem rzuci mnie nie tylko na głębokie, nieznanne wody małżeństwa, ale także wciągnie w zabójczy wir krewnych? Że mówiąc „tak” Danowi, nieświadomie powiedziałam „tak” rzeszy kobiet, które bez oporów przetrząsają sobie nawzajem torebki w poszukiwaniu chusteczki do nosa?

— Przykro mi, Dan, ale nie mogę z tobą dzisiaj pojechać. Mam już inne plany — rozejrzałam się wymownie wokół.

Zaledwie pięć tygodni temu Dan pokazał mi ten dom, a już zdążyliśmy pozbyć się jego służbówki, przygotować moje mieszkanie na wynajem, a

tutaj wybić jedną ścianę na parterze, dzięki czemu powstał załazek kuchni moich marzeń — lada dzień Dan skończy kłaść instalację elektryczną i wodno-kanalizacyjną, a potem to już będzie z górki. Na ustawienie czekają stylowe drewniane meble i staromodny z wierzchu, chociaż przemyślny piec marki Waterford Stanley, rodem z Irlandii, a jakże. Całość w niczym nie przypomina błyszczącej stalą i chromem kuchni z apartamentu na Manhattanie — w ty m domu mam zamiar naprawdę gotować. Pewnie z czasem zdecyduję się ułatwić sobie życie, kupując przeróżne urządzenia, jednakże na początku chcę wszystko robić sama; niewykluczone, że wysiłek fizyczny dobrze mi robi na problemy egzystencjalne, a skupienie się na prostych czynnościach, takich jak mieszanie, ubijanie i nalewanie, wyzwoli mnie z zaklętego kręgu nieznośnych myśli. Niestety gotowanie czy pieczenie w dużej mierze składa się z czekania, aż coś się ugotuje czy upiecze, toteż w obawie przed nadmiarem wolnego czasu przygotowałam sobie pod uprawę grządkę warzywną w ogrodzie.

Minionego dnia tam właśnie — klęczącą i rozdrabniającą grudki ziemi palcami — znalazł mnie Dan i bez słowa przyłączył się do pracy: miarowymi ruchami grabił skrawek gleby, który ja w pocie czoła odchwaściłam i spulchniłam. Przez parę minut rozmawialiśmy o tym, jakie rośliny powinniśmy zasadzić, ale wkrótce zamilkliśmy koncentrując się na wykonywanych czynnościach. Pierwsze tygodnie w Yonkers wspominam bardzo miło. Okazało się, że ani Dan, ani ja nie boimy się ciężkiej fizycznej pracy, a poza tym stanowiliśmy udany zespół — podawaliśmy sobie narzędzia w odpowiednim momencie i jedno drugiemu robiło kawę bez pytania. W pewnym sensie stawaliśmy się sobie bliżsi, uczyliśmy się, co to znaczy być współmałżonkiem. Pracowałam bez wytchnienia, gdyż w pracy znajdowałam zapomnienie, ucieczkę od myśli, że wszystko co robię, robię dla siebie, nie dla nas.

W perspektywie miałam chicagowskie sympozjum dziennikarzy piszących o jedzeniu i szczerze się cieszyłam na tę możliwość odetchnięcia pełną piersią, chociaż gnębiło mnie poczucie winy — dobra żona nie powinna planować ucieczki po zaledwie dwóch miesiącach od ślubu. Niemniej postanowiłam tam jechać, gdyż naprawdę potrzebowałam побыć sama z sobą i dojść do ładu ze swymi uczuciami.

Byłam zła na Dana, że nawet się nie zająknął o wizycie u Eileen, kiedyśmy pracowali w ogrodzie. Przemyślałam sprawę i uznałam, że muszę mu się postawić teraz, nim nie jest za późno — w przeciwnym razie będzie

mnie ciągał do mamuśki co tydzień. (Zanim mnie poznał, co niedziela bywał na domowych obiadach.)

— Wpadniemy tylko na godzinkę — przekonywał mnie teraz. Nie zdawałam sobie sprawy, że Dan jest emocjonalnie sterroryzowany przez rodzinę, i z trudem przychodziło mi w to uwierzyć, a tym bardziej — pogodzić się z takim stanem rzeczy. Niamh i ja miałyśmy każda swoje życie, Dziadkowie zaś, mimo że za mną tęsknili, szanowali moją odrębność i moje wybory, także w wypadku, gdy oznaczało to rzadsze wizyty w Irlandii. Odkąd pamiętam, byłam niezależną jednostką i szantaż niemile mi pachniał.

— Proszę cię, Tresso.

Była to dla mnie całkowicie nowa sytuacja i musiałam się w niej jakoś znaleźć. Danowi niewątpliwie nie można było nic zarzucić — umiał naprawić zepsutą spłuczkę, załatać dziurę w dachu, podłączyć kuchenkę — i nigdy, ale to nigdy nie odmówił żadnej mojej prośbie. Ostatnio prawie się nie kładł, co do joty stosując się do moich instrukcji przy urządzeniu kuchni (zlew tutaj... nie, chwileczkę, jednak tam; ta szafka bardziej w lewo, a ta z szufladami tuż przy piecu), a kiedy już się położył, dawał mi spokój w łóżku, za dobrą monetę przyjmując moje wykręty o zmęczeniu i stresie spowodowanym przeprowadzką. Na własne oczy widziałam, jak wkłada całe serce w to małżeństwo, lecz mnie to nie wystarczało. Cokolwiek robił, cokolwiek mi dawał, Dan po prostu nie miał w sobie tego czegoś, co uczyniłoby mnie szczęśliwą... No ale wychodził ze skóry, by mnie zadowolić, i nie mogłam tego nie docenić. Poza tym, jak już wspomniałam, czułam się winna.

— Zgoda. Pod warunkiem że to będzie naprawdę godzina i ani minuty dłużej.

Obdarzył mnie uśmiechem niczym uczeń odbierający dobrą cenzurkę, co tylko pogorszyło moje samopoczucie.

Już po pięciu minutach spędzonych w domu Eileen pojęłam, co oznacza określenie „raj utracony”. Dotychczas jakimś cudem udawało mi się unikać rodzinnych spędów — i tym samym zachować zdrowe zmysły. Teraz jednak zanosilo się na to, że mama Mullins nigdy nie wypuści mnie ze swych szponów.

Wiedziałam, że Dan ma wielu krewnych, ale kiedy na obiad stawilo się około dwudziestu osób (łącznie z dziećmi) — liczba przerażająca, jeśli wziąć pod uwagę moje wychowanie — zaczęłam się obawiać o swoje zdrowie psychiczne. Imiona, przezwiska, wiek... Informacje padały z szybkością

strzałów z karabinu maszynowego, tak że aż dostałam zawrotów głowy. Witana przez wszystkich nad wyraz przyjaźnie (moim zdaniem na taką uwagę zasługuje sobie tylko ktoś, kto wybudził się z długotrwałej śpiączki albo wygrał na loterii) wodziłam nieprzytomnym wzrokiem od jednego do drugiego, z trudem próbując przypasować twarze do danych personalnych. Czułam, że nasza wizyta była z dawna wyczekiwana, i wcale mnie nie ucieszyła świadomość, iż niby od niechcienia rzucona propozycja Dana spowodowana została nieludzką presją na niego. Jeszcze mniej podobało mi się to, że Dan wywarł presję na mnie. No i gnębiło mnie, że zarówno mój mąż, jak i jego rodzina wiedzą, iż za nimi nie przepadam. Krótko mówiąc paskudna sytuacja...

W drzwiach przywitała nas skrzywiona na twarzy Eileen. Mruknęła coś pod nosem, ale postanowiłam się tym nie przejmować, gdyż należy do pokolenia, które nie uznaje uścisków. Pomyślałam: typowa matrona, zapewniająca dach nad głową i pożywienie, ale nie okazująca czułości nikomu, kto wyrósł z pieluch. Nic dziwnego, że wszystkie jej dzieci miały wygląd zastraszonego królika.

— Może ci pomogę w kuchni, Eileen? — krzyknęłam za nią, kiedy zniknęła za rogiem holu.

Jedna ze szwagierek popatrzyła na mnie z wymownie uniesioną brwią. Poznałam już Shirley na tyle dobrze, iż mogłam mieć pewność, że nie jest to oznaka solidarności. Starsza siostra Dana to bezguście z aspiracjami — na nasz ślub przyszła ubrana w przezroczystą białą suknię, ale za to bez bielizny; przez całą ceremonię czułam na plecach jej sterczące sutki. Usłyszawszy mnie, Kay i Connie jak na komendę poderwały się z miejsca i pognały za matką. Bliźnięta jednojajowe, identyczne w każdym calu, wliczając w to końskie zęby i ekspresywną osobowość, dawały się lubić, chociaż ich wygląd niepokoił. Kay nosiła włosy przylizane, z przedziałką pośrodku, za to Connie miała zabójczą grzywkę postawioną na sztorc dzięki trwałej ondulacji (ilekroć na nie spojrzęłam, robiło mi się przykro, iż swą odrębność wyrażają za pomocą fryzury). Mimo że skończyły już trzydziestkę, prezentowały się znacznie młodziej i jakby z tego korzystając, wciąż mieszkały z rodzicami.

Obiad okazał się katastrofą. Ktoś rzucił na stół sztucce i paczkę serwetek, ktoś inny porozkładał (nie podgrzane!) talerze, a obok nich poustawiał jednorazowe nakrycia, jakich używa się podczas przyjęcia na wolnym powietrzu. Mężczyźni krążyli między jadalnią a lodówką z piwem, kobiety

zaś zbite w gromadkę plotkowały i jedna przez drugą składały zamówienia na sprite'a albo fantę. Kiedy Eileen i Connie zaczęły przynosić z kuchni naczynia z potrawami, na gwałt trzeba było usuwać ze stołu gazety, stare rachunki, dziecięce soczki, walkmany i kupę innego śmiecia, jakie nabierało się od zeszłej niedzieli. Menu nie było wyszukane — mięso pieczone (kurczak) lub smażone (hamburgery), coś z grilla, ziemniaki pod wszelkimi postaciami z wyjątkiem tej najbardziej naturalnej (a zatem frytki, duffinki, czipsy...), trochę pieczywa. Pomimo to kto żyw nakładał sobie kopiate porcje, sownie polewając je kupnymi sosami i dodatkami. Czułam się, jakbym umarła i poszła prosto do piekła.

Shirley bezmyślnie skubała nóżkę kurczęcia, posługując się wymalowanymi na jaskrawy róż paznokciami, i wsuwała pojedyncze włókna mięśniowe do ust. Jadła jak rasowa anorektyczka. W którymś momencie zapytała:

— Smakuje ci, Tressa?

Oczywiście zrobiła to celowo, mała jedna. Żadna odpowiedź nie była dobra, ale przecież musiałam coś powiedzieć, bo cała rodzina mi się przyglądała, z nieskrywanym zainteresowaniem czekając na moje słowa. Wykrztusiłam więc:

— Wygląda przepysznie.

Eileen kula żelazo póki gorące. Złapała półmisek z żeberkami i podetknęła mi go pod sam nos, tak że musiałam wziąć sobie kawałek; potem skinęła głową w stronę miseczki z sosem, a ja potulnie po nią sięgnęłam. Dobrze wiedziałam, co się dzieje — chciała na mnie wymusić opinię na temat jej kuchni. W rzeczywistości, chociaż mam bzika na punkcie jedzenia i można mnie nawet określić mianem żywieniowego snoba, nie jestem wybredna. Jednakże stres i napięcie, a także dolatujący mnie z talerza ostry, duszący zapach sprawiły, że poczułam mdłości. O mój Boże, pomyślałam, zaraz zwymiotuję na oczach teściowej! Ku własnej uldze oraz zdumieniu zebranych zdobyłam się na to, by gwałtownie odsunąć krzesło i póki czas wybiec na taras.

Dan poszedł w moje ślady. Otoczył mnie ramieniem, a ja pod jego dotykiem odetchnęłam głęboko i rozplakałam się jak mała dziewczynka. Podprowadził mnie na skraj tarasu, gdzie nie byliśmy widziani z wewnątrz, i przytulił mocno. Nie czynił mi wymówek, że zepsułam rodzinne przyjęcie, ani nie pytał, co we mnie wstąpiło; po prostu był tuż obok. I całe szczęście. Nie miałam pojęcia, skąd ten nagły wybuch, nie chciałam nawet się nad tym

zastanawiać, ale potrzebowałam kogoś, kto by stanął po mojej stronie. Kiedy wreszcie się wypłakałam, Dan zadarł mi brodę i otarł policzki.

— Zdaje się, że nie podeszły ci żeberka mojej mamy. Uśmiechnęłam się krzywo i wydukałam:

— Dzięki, Dan.

— Daj spokój. Od tego mnie masz. — Wziął mnie za rękę i pociągnął do środka. — Przykro mi, kochani, ale Tressa złapała jakiegoś wirusa. Zabieram ją do domu.

Myślę, że jemu naprawdę nie przeszkadzało, że urządziłam scenę. Przynajmniej okazałam się czującą istotą ludzką. Oczywiście wszyscy pozostali bardzo się zmartwili. Tylko Shirley zerknęła na mnie wzrokiem mówiącym: „A to dopiero początek, panno mądralska!” Kiedyśmy wychodzili, krzyknęła za nami:

— Nie zapomnijcie, że w przyszłym tygodniu jest komunia małej!

Dan się przygarbił i wypuścił moją dłoń ze swojej.

RS

Rozdział dwunasty

Irlandia, 1947

Minęło dziesięć lat, a wraz z ich upływem nasze życie przesiąkło rutyną; nieuniknienie stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Rozpoznawałam kroki Jamesa na drodze, w łóżku dopasowywałam się do jego ciała, czerpałam otuchę ze znajomego mi zapachu. Mimo to nie było dnia, żebym nie pomyślała o Michaelu, mojej pierwszej, mojej jedynej miłości. Zwłaszcza na początku małżeństwa wymykałam się nocą z domu i stojąc na polu, wpatrywałam się w gwiazdy; wierzyłam, że w ten sposób mogę z nim rozmawiać. „Michaelu”, szeptałam i wyobrażałam sobie, jak mój głos do niego dociera. „Nadal cię kocham, Michaelu...” Wypowiadając te słowa ożywiałam mą miłość, a także samą siebie. Na parę minut, w ciemności, przestawałam być żoną wiejskiego nauczyciela i zamieniałam się w pełną namiętności młodą kobietę, którą niegdyś byłam, ofiarę wielkiego uczucia. „Nadal cię kocham, nadal cię kocham...” niby modlitwa szybowoło w niebo i stamtąd, z wysoka, odnajdywało Michaela na drugim krańcu ziemi. Byłam pewna, że gdybym tylko dobrze wysiliła wzrok, dostrzegłabym na firmamencie linię, którą moje wyznanie ku niemu podążało. Ile słów powinnam wypowiedzieć, by otrzymał moją wiadomość? Ile więcej, żeby do mnie wrócił? Nie dopuszczałam do siebie myśli, że o mnie zapomniał. To niepodobne do Michaela, poza tym nasza miłość była silniejsza niż wszystko na świecie. Łączące nas uczucie nie zbladłoby w obliczu codzienności, byłam tego pewna. Z każdym dniem nabierałoby mocy i blasku.

A jednak w tamtych latach moją jedyną rodziną był James. Rodziców odwiedzałam z rzadka, a i to bardziej z poczucia obowiązku aniżeli dla przyjemności, z ciotką Ann zaś nie utrzymywałam kontaktu, jeszcze odkąd odmówiła mi posagu. Być może gniewając się na nią, chciałam zatrzymać w swym sercu Michaela. Matka z czasem złagodniała i w końcu przeprosiła się z siostrą, kiedy zobaczyła, iż małżeństwo z Jamesem wyszło mi na dobre. Ja wszelako, mimo że go szczerze polubiłam, nie potrafiłam z czystym sumieniem powiedzieć mu tych słów, które wysyłałam w eter do Michaela Tuffy'ego. Niemniej rozumiałam, że małżeństwo, któremu byłam całą sobą przeciwna, okazało się mniejszym nieszczęściem, niż się obawiałam.

Przeżyliśmy z Jamesem wiele dobrych chwil, także w tamtych wczesnych latach. Przy mnie nauczył się wstawać bladym świtem i polubił gospodarzenie — dokupiliśmy parę mlecznych krów, które nieraz pomagały

nam wiązać koniec z końcem. Ja zajmowałam się kurami i trzodą, podobnie jak moja matka, James zaś jeszcze na początku wojny założył pasiekę, dzięki której niestraszne nam były braki cukru. Prawdę powiedziawszy byliśmy w stanie wyżywić się sami, a nawet sprzedawaliśmy część jaj, mleka i miodu w Ballyhaunis. Za zarobione u sklepikarza pieniądze urządzaliśmy dom — podciągnęliśmy bieżącą wodę do sieni, a w miejscu otwartego ognia postawiliśmy piec na pięć fajerek. Stać nas było na szycie garniturów Jamesa u krawca Tarpeya, od którego kupowałam także materiał na suknie dla siebie, a jednego roku spędziliśmy czterodniowe wakacje w Dublinie. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się wtedy jak wielcy państwo w hotelu „Gresham” zbudowanym na początku dziewiętnastego wieku, a obiady jadaliśmy u Bewleya. Na słynnej Harcourt Street zrobiłam zakupy (wybrałam cynamon, kolendrę i parę innych przypraw, jakich nie dostałby w domu). W przedostatni wieczór poszliśmy do kina na „Random Harvest”, a po projekcji długo w noc spacerowaliśmy po O'Connell Street. Ja miałam na sobie liliową suknię, a James narzucony na ramiona długi trencz i zawadiacko przekrzywiony kapelusz; w rękę trzymał podarowaną mu przeze mnie laskę z kości słoniowej. Byłam dumna krocząc u boku tak przystojnego i eleganckiego mężczyzny, który prezentował się niczym angielski dżentelmen, a jednak ugryzłam się w język, żeby mu tego nie powiedzieć, gdyż bałam się okazać mu uczucie i stracić tę resztkę przewagi, jaką nad nim posiadałam. Czułam się bezpieczniej trzymając Jamesa na dystans.

Mimo wszystko można powiedzieć, że niczego nam wówczas nie brakowało do szczęścia. Niczego, z wyjątkiem Michaela, którego pragnęłam jak nikogo innego na świecie, i dziecka, za którym tęsknił James.

Nie chciałam mieć dzieci, przynajmniej nie na początku małżeństwa, i James o tym wiedział. Będąc wykształconym i wrażliwym mężczyzną, szanował moją decyzję i dbał o to, bym nie zaszła w ciążę. Korzystaliśmy ze sposobów nie występujących przeciwko Bogu ani naturze, które wszakże mogą być skuteczne albo nie. Nam się jakoś udawało.

Jeśli w ogóle brałam pod uwagę, że kiedyś zostanę matką, wybił mi to z głowy poród, przy którym asystowałam. Moim zdaniem kuzynka Mae wydając na świat swego pierwородnego wyglądała jak zaszlachtowany prosiak, co niebotycznie mnie zszokowało, obracając wniwecz wszelkie lukrowano-romantyczne wizje macierzyństwa, i nic tu nie pomógł śmiech akuszerki: „Toż to najnormalniejsza rzecz pod słońcem!” Pomyślałam sobie wtedy, że śmierć także jest naturalna, a jednak wcale nam się do niej nie

śpieszy. Poza tym zawsze uważałam, że nie byłabym dobrą matką — niemowlęta i brzdące nie wywoływały we mnie uczuć takich, jakie prowokowały u większości kobiet, z których niejedna decydowała się na dziecko właśnie dlatego, że nie kochała swego męża, rozpaczliwie zaś pragnęła dać upust miłości. W moim wypadku było inaczej — przede wszystkim musiałabym darzyć uczuciem mężczyznę, z którym miałam zająć w ciąży, skoro w jej efekcie naraziłabym na szwank swoje ciało i godność. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak z podniesionym czołem znosić kąśliwe uwagi i spojrzenia, kiedy to w parafii chrzczono kolejne niemowlę, drące się wniebogłosy i zagłuszające mamrotanie księdza. Nie zważałam na to, że przysparzam tematów do plotek sąsiadkom i siostram Jamesa, które z początku były tylko rozczarowane, potem pełne niedowierzania, że mija rok za rokiem, a ja wciąż nie jestem brzemienna, wreszcie otwarcie mnie żałowały. Ja tam wcale sobie nie współczułam — sądziłam, że dzieci to po prostu rozwrzeszczane, zapatrzone w siebie pasożyty. Z całą pewnością nie nadawałam się na matkę.

Po siedmiu latach małżeństwa James zaprzestał środków ostrożności i pozostawał we mnie do samego końca, kiedyśmy się kochali. Miał już prawie czterdziestkę na karku, a mnie niewiele brakowało do trzydziestych urodzin. Ludzie od dawna szeptali między sobą, a większość ich wyssanych z palca oskarżeń trafiała w mojego męża. Na własne uszy słyszeliśmy, jak ktoś powiedział, że nauczyciel nie jest „prawdziwym mężczyzną”, skoro nie dorobił się potomka, a do tego jest zawsze zadbany, nie wiadomo, co wyprawiał będąc w szkołach, no i nie śpieszyło mu się do żeniaczki. Wiedziałam, iż James ciężko to zniósł, i było mi go żal, zwłaszcza że wszyscy jego bracia i siostry cieszyli się już przychówkiem, a co roku przybywało nowe maleństwo, które wyraźnie wzbudzało w nim uczucia ojcowskie. Poza tym niewątpliwie cierpiała jego duma. Nie zaprotestowałam, gdy James nagle zmienił swoje zachowanie, niemniej natychmiast kiedy było po wszystkim, wstawałam, żeby się dokładnie podmyć i zmówić modlitwę.

Znienacka znów pojawiło się między nami napięcie, którego doświadczaliśmy na co dzień w pierwszym roku małżeństwa. James zdążył już przywyknąć do mojej uległości i kiedy napotkał opór, rozpoczęła się wojna podjazdowa. Moją jedyną bronią było unikanie zbliżeń — zostałam mistrzynią wymówek. W odwecie musiałam znosić jego fochy. Któregoś dnia ofuknęłam go za jakiś drobiazg, co właściwie było na porządku

dziennym, odkąd się poznaliśmy, i zdumiała mnie jego reakcja i wyraz zaciętości w oczach. Zdarzało się, że byłam niemal pewna, iż zaraz mnie uderzy, nigdy jednak tego nie zrobił. Stał się za to poirytowany, krytykował księdza i narzekał na pracę, czego wcześniej nie miał w zwyczaju. W którąś niedzielę siedział zatopiony w lekturze i kiedy nagle podniósł wzrok, żeby wyjrzeć za okno, dostrzegłam na jego twarzy dogłębny smutek jak po stracie kogoś bliskiego. Delikatne rysy twarzy, normalnie nadające mu wyraz wyrafinowania, stężały niczym porażone bólem, a mnie na ten widok zabolowało serce. Chciałam wyciągnąć ku niemu dłoń, tak jak to uczyniłam po śmierci Ellie, jednakże wiedziałam, iż tym razem ten pusty gest nie wystarczy. Na świecie było tylko jedno, co mogło przywrócić memu mężowi blask w oczach, a ja nie byłam w stanie mu tego dać. Oczywiście mogłam skłamać, składając mu fałszywą obietnicę, lecz na to nie potrafiłam się zdobyć.

Mimo że go nie kochałam, wydawało mi się, że rozumiem jego ból. Wydawało mi się, że poznałam go wystarczająco w ciągu niemal dekady życia razem, by ocenić, że cierpi jego męska duma i rozum żądający, by zadośćuczynić konwenansom. Prawdą jest powiedzenie, że można zjeść z kimś beczkę soli i go nie poznać, chyba że na moment zapomni się o sobie i własnych potrzebach i naprawdę posłucha się drugiego człowieka.

Dopiero kiedy urodziła się nasza córeczka, pojęłam, że przez cały ten czas James zwyczajnie pragnął zostać ojcem.

Rozdział trzynasty

Nowy Jork, 2004

Następnego tygodnia miałam pojechać na sympozjum do Chicago. Jak zwykle na ostatnią chwilę czyniałam pewne ustalenia w rozmowie z moją agentką Roseanne, lecz po raz pierwszy czułam się dziwnie w swojej roli. Stałam na środku niewykończonej kuchni i niby tym samym głosem co zawsze rozprawiałam na tematy zawodowe, a jednak miałam wrażenie, że wypadłam z obiegu. Zdarza mi się, że podczas dopracowywania przepisów zamykam się w sobie i nabieram dystansu do rzeczywistości, ale to było coś zupełnie innego. Jak gdybym biorąc ślub, przeprowadzając się i zaniedbując swoją ukochaną pracę, zapomniała, kim naprawdę jestem.

Z wysiłkiem przypominałam sobie, kim byłam, zanim poznałam Dana: Tressą Nolan, lat trzydzieści siedem i pół, z pochodzenia Irlandką, niezamężną, z udaną karierą w branży wydawniczej i komfortowym mieszkaniem na Manhattanie. Rano lubiłam sobie zrobić dziesięciominutowy spacer po Central Parku, po czym zasiadałam nad filiżanką moccacino w „Starbuck's”. Później odbierałam od dostawców ryby, mięso i nabiał i zabierałam się do pracy. Na lunch na ogół zapraszałam tę czy inną przyjaciółkę, żeby mieć pretekst do folgowania sobie, ale nawet jeśli żadna nie miała dla mnie czasu, i tak lądowałam w jakiejś knajpce albo kawiarni i kosztowałam frykasy, licząc na inspirację. Po posiłku odbywałam obowiązkowy obchód Westside Market, tracąc kalorie i lustrując krytycznym wzrokiem wystawione warzywa. Uwielbiałam to, że mam w zasięgu ręki wszystkie najlepsze miejsca, jakie można znaleźć w Nowym Jorku. Uwielbiałam swoje życie, a jednak je poświęciłam. W imię czego?

Teraz mam Dana, dom, krewnych i znajomych, zakupy w zatłoczonym centrum handlowym wśród podobnych nam sobotnich małżeństw. Moje życie nagle przestało być moje i zanosilo się na to, że tak już pozostanie. Co się stało z dawną Tressą? Gdzie podział się wypracowywany latami harmonogram dnia? Jak znaleźć nowych, równie dobrych dostawców? Po pierwsze, nie mam na to wszystko siły. Po drugie, nie mam motywacji, by zacząć wszystko od nowa.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam, kiedy wychodziłam za Dana. Może tego, że wszystko zostanie po staremu, a moje życie nabierze rumieńców dzięki codziennej dawce testosteronu? Ale czyżbym naprawdę wierzyła, że nic się nie zmieni na minus, za to dojdą same plusy: w każdej

chwili będę mieć pod ręką kogoś, kto zawiesi półkę albo skręci meble? Gdybym była aż tak płytką i cyniczną, pewnie byłoby mi teraz łatwiej.

Prawda jest wszakże taka, iż dostałam dokładnie to, czego zawsze chciałam: dobrego męża i wielki, stary dom, za którym ciągnie się wystarczająco duży kawałek ziemi, żeby urządzić warzywnik z prawdziwego zdarzenia... Nie otrzymałam jednak od życia tego, co najważniejsze i na czym zależało mi najbardziej: szczęścia.

„Żyli długo i szczęśliwie...” Ciekawe, co trzeba robić, żeby tak właśnie było? Minęło zaledwie parę miesięcy od ślubu, a ja czuję się nieszczęśliwa jak nigdy dotąd. Każdego ranka budzę się z myślą: nie kocham Dana. Cały boży dzień haruję jak wół, byle tylko o tym nie pamiętać, lecz kiedy wreszcie idę spać, ta sama myśl dopada mnie z podwójną mocą. Naprawdę chcę go pokochać. Wydaje mi się, że powinnam, i wiem, że tak byłoby dla nas obojga najlepiej, ale po prostu nie umiem i już. Co począć z tym fantem? Nie sądzę, żebym chciała pozostać w związku małżeńskim z człowiekiem, którego nie kocham, moim zdaniem to nieuczciwe. Dan sobie nie zasłużył na taki los. Jest doskonały pod każdym względem — przystojny, uczuciowy, empatyczny — z pewnością byłby fantastycznym mężem i tatą. Niestety nie jestem w stanie odwzajemnić jego miłości. Problem leży nie w mojej głowie, ale w sercu, i to martwi mnie najbardziej. Mimo że zdaję sobie sprawę, jakim prawym człowiekiem jest Dan, i nawet wiedząc, że szczerze mnie kocha, nie potrafię wykrzesać w sobie uczucia do niego. Nieraz rozmawiałyśmy z koleżankami, jak bardzo nieprzewidywalna jest miłość, i dochodziłyśmy do wniosku, że po prostu trzeba czekać, aż uczucie nas dopadnie. Cóż, widać okazałam się niecierpliwa i niepotrzebnie się pośpieszyłam.

Tak czy inaczej, Dan zasłużył sobie na coś — albo raczej: kogoś — lepszego. Powinien mieć żonę, która by go adorowała i nie zawahała się dlań poświęcić, na przykład rezygnując z uczestnictwa w najważniejszym branżowym wydarzeniu roku dla komunii rozwodrzonej siostrzenicy. Widziałam po jego oczach, że tego właśnie sobie życzył, chociaż nie odważył się wystąpić z podobną propozycją prosto z mostu, zwłaszcza że poinformowałam go, jak ważne dla mnie jest to sympozjum. Zrobiłam to zaraz po tym, jak wyszliśmy od jego matki, tyle że Dan zdążył mnie uprzedzić: okazało się, że szykowałam się nie tylko komunია Deirdre, ale wielkopomna wręcz rodzinna impreza, na której miało dojść do pojednania po latach z jakimiś kuzynami z Irlandii, czym — wedle jego słów — nie chciał mi zawracać głowy widząc, jak bardzo absorbują mnie przygotowania do

wyjazdu do Chicago. Kolejny punkt dla niego. Cmoknęłam go w policzek i nie mając wyjścia powiedziałam, że doceniam jego wielkoduszność.

Jednakże już nazajutrz, przy śniadaniu, Dan napomknął niby od niechcenia, a w rzeczywistości głosem drżącym z napięcia, że na uroczystości rodzinnej pojawi się wiele osób, które z jakichś powodów nie dotarły na nasz ślub. Przybrałam zatroskaną minę i wzięłam się do wyjaśniania mu, że naprawdę żałuję, iż tak się złożyło.

— Zrozum, gdyby to było jakieś tam spotkanie, darowałabym je sobie bez mrugnięcia okiem, ale na tym sympozjum po prostu muszę być.

Dan wzruszył ramionami i zapewnił mnie, że rozumie, chociaż jego oczy mówiły zupełnie co innego. Prawdę powiedziawszy wyglądał, jakby przejechał po nim autobus.

Jeśli pomyślałam wtedy, że na tym sprawa się zakończy, srodze się pomyliłam. Tego samego dnia przy kolacji dowiedziałam się, że wuj Patryk z Irlandii wybiera się do Stanów specjalnie po to, by mnie poznać. Nie miałam zamiaru dać się szantażować.

Oznajmiłam, że z wielką chęcią poznam wuja Patryka podczas jego pobytu tutaj; ot chociażby kiedy wrócę z Chicago, możemy wydać dla niego i Eileen obiad. W odpowiedzi usłyszałam, że wuj zaraz po komunii Deirdre wsiada w samolot i leci do Los Angeles, gdzie zatrzyma się u swego przyjaciela księdza, a stamtąd wraca prosto do domu, tak że jest tylko jeden dzień, kiedy możemy się z nim spotkać. Nie pozostało mi nic innego, jak przyznać, że to faktycznie pech, ale gdyby tylko ktoś raczył ze mną wcześniej skonsultować terminy przylotu i odlotu wuja, może i wilk byłby syty, i owca cała. Oczywiście natychmiast padła riposta, że trudno uzgadniać loty czarterowe. Już miałam zbyć machnięciem ręki fanaberie starszego pana, kiedy Dan nabrał w płuca powietrza i palnął przydługą mówkę o tym, jak to jego starsza siostra, Shirley, zmartwiła się usłyszawszy, że nie dam rady stawić się na komunii jej jedynaczki, nie wspominając nawet o zawodzie Deirdre, która zdążyła naopowiadać koleżankom, że poznają jej nową ciocię. Na jednym i tym samym wydechu poinformował mnie jeszcze, że dla mamy również jest szalenie ważne, aby cała rodzina znalazła się w komplecie, chociaż naturalnie za żadne skarby nie chciałyby wywierać na mnie presji. No, no, kto by pomyślał.

— Więc twoim zdaniem co mam zrobić? — zapytałam wiedząc, że to jeszcze nie koniec „dyskusji”, ale wciąż czując się w miarę pewnie; było nie było, zobowiązania służbowe nowo poślubionej małżonki winny wziąć górę

nad spotkaniem ze zramolałymi członkami rodziny, którzy nie są w stanie odróżnić mojej osoby od nieżyjącej księżnej Diany.

Po raz pierwszy od długiej chwili zapadło milczenie. Dan poszurał stopami, jak miał w zwyczaju, po czym nie patrząc na mnie, stwierdził:

— Mogłabyś nie pojechać do Chicago.

Ledwie go dosłyszałam, i to nie tylko dlatego, że krew huczała mi w głowie. Powiedział to tak cicho i niepewnie, jakby się bał mojej reakcji, ba, więcej nawet: jakby rzeczywiście nie był pewien, czy ma prawo wymagać ode mnie takiego poświęcenia. Zabrakło mi słów, zresztą nie miałam pojęcia, co należałoby powiedzieć w takiej sytuacji. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam. Wydawał się bezbronny. Wystawiony na ciosy. Kiedy podniósł na mnie wzrok, broda mu drżała, a w oczach czaił się ten charakterystyczny samczy wyraz pod tytułem: „i tak mnie nie zranisz”, który mężczyźni przybierają na ułamek sekundy, zanim się ich zrani, chyba po to tylko, aby ocalić swe męskie ego.

Nie wiem, kogo Dan bał się najbardziej w tamtej chwili: swojej matki, wuja Patryka czy mnie; w każdym razie odsłonił się przede mną i dał mi do ręki broń, która mi ciążyła. Nie chciałam takiej władzy ani nad nim, ani nad nikim innym — nie podobało mi się, iż ktoś tak bardzo mnie kocha, że jego życie legnie w gruzach, jeśli nie pojawię się na jakiejś parszywej rodzinnej imprezie.

Toczyłam wewnętrzną walkę. Moje racjonalne „ja” radziło, żeby poznać powód, dla którego Danowi tak bardzo zależy na mojej obecności na przyjęciu, po czym logicznymi argumentami udowodnić, że równie dobrze może pójść sam. Przecież na tym właśnie polega małżeństwo, prawda? Rozmawia się, negocjuje i w końcu osiąga się porozumienie. Jednakże kołaczące się na dnie duszy resztki uczciwości krzyczały, że w ten sposób postawię na swoim, a nie pójdę na kompromis, jak chciałabym to widzieć. Prawda była taka, że wyżej od rodziny Dana stawiałam swoją pracę, lecz Dan z jakiejś przyczyny potrzebował mnie u swego boku, nieważne po co ani dlaczego. To nie była pora na trzeźworozsądkowe przeciąganie liny, ale na męską decyzję: tak albo nie. Jestem z nim albo przeciwko niemu.

— W porządku. Nie polecę do Chicago i będę na tej komunii.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam: łez, deklaracji dozgonnej wdzięczności, zstąpienia Niepokalanej Panienki, która wciągnie mnie na listę świętych?... Dan rzucił zdawkowe „dzięki, skarbie”, przytulił mnie, po czym dopił kawę, odstawił kubek do zlewu i poszedł włączyć telewizor.

Jedną chwileczkę! Ja tu się poświęcam, żeby był szczęśliwy, a on gapi się w telewizor?!

Nagle poczułam się jak żona z wieloletnim stażem.

RS

Rozdział czternasty

Irlandia, 1947

James miał brata, Padraiga. Byli podobni do siebie jak dwie krople wody, chociaż dzieliła ich nieznaczna różnica wieku, bardzo się kochali, jak to bracia, i zawsze stali za sobą murem. W późniejszych latach i ja go polubiłam, z wzajemnością nawet, ale przez długi czas wprost się nie znosiliśmy. Padraig potępiał ekstrawagancki styl życia, do jakiego jego zdaniem zachęcałam Jamesa: wszystkie te eleganckie ubiory, które nam sprawiałam, wycieczki do Dublina i tak dalej... Uważał mnie za trzpiotkę nie nadającą się na żonę nauczyciela, ja zaś, co chyba zrozumiałe u młodej kobiety, kręciłam nosem na jego niechlujną powierzchowność i fascynację polityką. Niemniej z czasem zaczęliśmy się przynajmniej tolerować.

— Dzisiaj nie będziemy jeść z porcelany, Bernie? — pytał Padraig będąc u nas na obiedzie.

— Skoro wszystką nam wytłukłeś...

— Ależ stłukłem tylko jeden talerz!

— Owszem, i nie pozwolę, byś stłukł następny!

— Co za nieugięta kobieta! Doprawdy nie wiem, James, jak z nią wytrzymujesz.

— Mój mąż jest dżentelmenem! — oburzałam się żartobliwie.

— I dlatego pije herbatę z porcelanowej filiżanki, podczas gdy ja muszę się zadowolić cynowym kubkiem? — nie dawał za wygraną Padraig.

— Ciesz się, bracie, że nie pijesz z koryta na dworze razem z psami...

W tym momencie odrzucał głowę do tyłu i śmiał się gromko, aż łzy mu ciekły po policzkach.

Padraig był jedynym człowiekiem, któremu pozwalałam mówić do siebie „Bernie”, a właściwie nie tyle pozwalałam, ile byłam zmuszona pozwolić. Nie przepadałam za tym zdrobnieniem, podobnie jak za każdym innym, ale że szwagier był niereformowalny, uchodziło mu to na sucho. Oczywiście nigdy bym tego na głos nie przyznała, ale prawdą jest, że czerpałam radość z naszych przekomarzanek, i sądzę, że sprawiały one przyjemność również Padraigowi.

Wraz z żoną Mary mieli siedmioro drobiazgu, mimo że pobrali się na krótko przed nami. Lubiłam szwagierkę i jestem pewna, że byłybyśmy zostały dobrymi przyjaciółkami, gdyby nie to, że nigdy nie udało nam się porozmawiać. Mary nieustannie otaczały dzieci. Przynajmniej jedno miała

zawsze u piersi, inne raczkowały u jej stóp, a najstarsze wołały ją na pomoc z sąsiedniego pomieszczenia. Nie było chwili, żeby nie karmiła, podnosiła czy karciała, a najczęściej robiła wszystko to naraz. Jeśli akurat nie wycierała któremuś nosa, odpowiadała na niekończące się pytania, i tak w koło Macieju. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam dom Padraiga i Mary, nie potrafiłam uwierzyć, że można mieszkać w takich warunkach — w moim odczuciu było tam jak w chlewie. (Teraz oczywiście wiem, że był to zwyczajny dom zamieszkały przez dziewięć osób, z czego większość stanowiły małe dzieci.) Czując się winna, że w porównaniu ze szwagierką prowadzę lekkie życie, zachodziłam do niej regularnie, aby pomóc w pracach domowych i pochwalić się swymi wypiekami. Nieraz mnie zadziwiła, gdyż nie zważając na panujący wokół rozgardiasz, zatrzesienie brudnych naczyń i nie uprane pieluchy, siedziała niczym posąg i czytała zasłuchanym dzieciom. Nie umiałam pojąć, jak można całą uwagę poświęcając potomstwu, karygodnie zaniedbywać obowiązki gospodyni — a to, że Mary była kiepską gospodynią, nie budziło najmniejszej wątpliwości. Niemniej czułam dla niej podziw, jako że na jej miejscu już dawno wyzionęłabym ducha bądź co gorsza (Boże, zmiłuj się nad moją duszą) ukreśliłabym głowy przynajmniej dwojgu potworkom, licząc, że nikt nie zauważy straty.

Czasami jednak dobrze się tam bawiłam. Wśród dzieciarni były bliźniaczki, Theresa i Katherine, które przezwały mnie „słodką ciocią” i ilekroć zjawiałam się w progę, lepiły się do mnie jak pszczoły do miodu.

— Kto da cioci buziaka za coś słodkiego? — pytałam, a one zasypywały mnie wilgotnymi całusami, rączkami sięgając do koszyka, w którym niosłam ciasto.

Niestety krótkie chwile spokoju przegrywały z nieustającymi wrzaskami, a sympatyczne zachowanie dziewczynek traciło cały urok przy harcach chłopców, którym co rusz trzeba było opatrywać kolana. Najbardziej lubiłam bliźniaczki, gdyż zachowywały się jak ludzie i poświęcały mi odrobinę uwagi; pozostała gromadka jawiła mi się jako ruchliwa, drąca się na okrągło masa, której nie sposób było dogodzić. Jakimś cudem Mary i Padraig pozostawali przy zdrowych zmysłach, a nawet wydawali się zadowoleni ze swego życia, mnie wszelako wizyty u nich w domu skutecznie powstrzymywały przed chęcią, by zająć w ciążę.

Aż do pierwszej komunii Teresy i Katherine.

Podjęłam się zorganizowania im przyjęcia. Dzień był słoneczny i ciepły, toteż wszystkie zaproszone dzieci bawiły się na dworze, podczas gdy ja czyniłam ostatnie przygotowania przed pojawieniem się dorosłych gości. W tamtych czasach gościnność stała na porządku dziennym, lecz ja postanowiłam urządzić przyjęcie, jakiego jeszcze nie było i o jakim długo miało się mówić w okolicy — w ten sposób chciałam zadośćuczynić Jamesowi za to, czego nie potrafiłam ofiarować mu na co dzień.

James przepadał za ludźmi i przy każdej okazji spraszał ich do domu, nie zważając na wiek ani pochodzenie. Tuż po ślubie często się na niego dąsałam, że bez zapowiedzi zachodzą do nas bliżsi i dalsi sąsiedzi oraz rodzice uczniów, a klan Nolanów czuje się u nas jak u siebie. U mnie w domu było inaczej; rodzice strzegli swej prywatności i mało kto u nas bywał, ale nawet jeśli chciałam przeforsować taki styl życia, James wygrał. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko stanąć na wysokości zadania, i niczym rzutka gospodyni księdza pilnowałam, by zawsze na podorędziu były świeże ciasteczka. Z czasem polubiłam te niekończące się wizyty — stanowiły dla mnie urozmaicenie, no i kazały mi dbać zarówno o dom, jak i o siebie. Zdarzało się, że parokrotnie w ciągu dnia musiałam wkładać i zdejmować fartuch, a przy drzwiach sieni zawsze stały w pogotowiu eleganckie buty, na wypadek gdyby zechciał nas odwiedzić proboszcz albo doktor. Była jeszcze jedna korzyść z tego, że otwarliśmy się na ludzi — James i ja mieliśmy tematy do rozmów i nie dusiliśmy się już we własnym sosie. W ten właśnie sposób radziłam sobie z brzemieniem niechcianego małżeństwa na początku. Bez ustanku byłam czymś zajęta.

Uroczystość z okazji komunii bliźniaczek była jednak wyjątkowa pod każdym względem. Z tej okazji przejrzałam swoją panięńską skrzynię i wydobyłam z niej istne skarby: parę koronkowych rękawiczek dla Katherine i różaniec z macicy perłowej dla Theresy, a James zawczasu uśmiercił trzy kurczaki, z Kilkelly zaś przywiózł wystarczająco dużo szynki, nóżki na galarete, cytrusów, kandyzowanych wiśni, brzoskwiń w puszcze, czekolady, żeby starczyło dla wszystkich. Tak się zapamiętał w swojej roli, że nawet lekko nadwerężył nasz budżet i kupił butelkę słodkiego sherry dla kobiet i wytrawny portwajn dla panów, a resztę pieniędzy wydał na toffi, tak by każde dziecko mogło zabrać do domu mały upominek. Nie było to do końca „zastaw się, a postaw się”, bo stać nas było na więcej niż skromną uroczystość, a poza tym Jamesowi sprawiało radość podejmowanie rodziny. Ja zaś pozwoliłam na tę rozrzutność bez słowa sprzeciwu, gdyż skoro nie

dałam mu własnych dzieci, nie miałam prawa zabraniać mu rozpieszczania cudzych.

Ostatnie miesiące nie były najlepsze; chłód zakradł się nie tylko do naszej sypialni, ale do każdego właściwie zakątka domu, toteż cieszyło mnie to chwilowe zawieszenie broni. W przededniu komunii stałam przy piecu do późna i kiedy James zastał mnie urobioną po łokcie, zakasał rękawy i zabrał się do roboty, by mnie odciążyć. Uradowana, że jego ponury nastrój minął, ubrałam go w swój najlepszy fartuch i poleciłam, by zarobił ciasto na miodownik. Niestety rychło zdałam sobie sprawę, że nie wystarczy już cukru, ale rozochocony James lekką ręką wlał do misy prawie cały słoje miodu. Oczywiście narobił przy tym straszego bałaganu, wszystko dosłownie się kleiło, ale nas to tylko serdecznie rozbawiło. Zaśmiewaliśmy się do łez, że taki z niego kiepski bartnik, oraz z moich obaw, że koniec cukru w domu równa się końcu świata. Otarłszy łzy śmiechu James z poważną miną obiecał, że już nigdy nie będzie skarżył się na ciężką pracę nauczyciela, bo kobieta to dopiero ma trudne życie: musi spamiętać tyle skomplikowanych przepisów, a do tego grozi jej stres z powodu pustek w spiżarni.

Chyba wtedy po raz pierwszy zapanowała między nami prawdziwa bliskość. Oboje z wielkim podnieceniem wyczekiwaliśmy na jutrzejsze przyjęcie, jak gdyby przewidując, każde po swojemu, że ten dzień przyniesie i nam coś dobrego.

Kochaliśmy się tamtej nocy. Kiedy było po wszystkim, podniosłam się jak zwykle, by dopełnić rytuału, ale James pochwycił mnie silnymi rękoma. Wyrwałam mu się jednak, on zaś odwrócił się ode mnie gwałtownie, tak że czar wieczoru i nocy nagle prysł.

Przyjęcie się udało, chociaż pomiędzy mnie i Jamesa na powrót wkradł się chłód. Nie prawil mi tego dnia komplementów, co odebrałam jako karę, a gdy przepuszczał mnie przodem, bym zajęła miejsce w kościelnej ławie, dłoń, którą jak zwykle położył na mojej talii, ciążyła ołowiem, nie uczuciem. Zabolało mnie to silniej, niżbym chciała przyznać, i nawet kiedy przyrządzałam galony herbaty i krajałam góry ciasta, starając się przy tym powstrzymać hordy małych urwisów przed obróceniem salonu w perzynę, nie potrafiłam zapomnieć, że nie jestem szczęśliwa w małżeństwie.

Miodownik zrobił wśród gości furorę — wystarczyło parę minut, żeby zostały tylko okruszki, a mnie zasypywano wcale nie grzecznościowymi pytaniami, co zmieniałam w przepisie, skąd wziął się ten niecodzienny smak.

Chciałam wciągnąć w rozmowę Jamesa i pochwalić go przed wszystkimi, ale stał na uboczu, konferując z kimś, toteż nie wypadało mi przeszkadzać. Szóstym zmysłem wyczułam, że nie zadowolą go już takie drobne przejawy uczucia, że tym razem naprawdę go zraniłam i niełatwo mi będzie go udobruchać.

Może dlatego chwilę później zobaczyłam to, co zobaczyłam. A może była to po prostu jedna z tych chwil jasności czy mądrości, których każdy z nas czasem doświadcza w życiu.

Niby drobiazg, a jednak...

Dałam właśnie Katherine rękawiczki, czym sprawiłam jej taką radość, że zapomniawszy mi podziękować podbiegła do matki, by się pochwalić podarkiem, lecz Mary była akurat zajęta którymś z maluchów i odesłała córkę do Padraiga. Siedział nieopodal mnie, zatopiony w rozmowie z Jamesem. Katherine już podchodząc do niego włożyła o wiele za dużą rękawiczkę i wyciągnęła ginącą w niej dłoń do ojca. Padraig urwał w pół słowa i przyglądał się koronce z poważną miną. Kiedy zerknęłam na twarzyczkę Katherine, uderzyło mnie to, co na niej zobaczyłam. Dziewczynka wpatrywała się w ojca jak w obraz, pełna niepokoju, jaki padnie werdykt. Po długiej chwili milczenia Padraig oznajmił:

— Są piękne, Katherine. W takich rękawiczkach będziesz wyglądać jak prawdziwa dama.

Bardzo możliwe, że mówiąc to posłał w moją stronę kpiący uśmiech, lecz jeśli nawet, ja tego nie dostrzegłam. Nie odrywałam oczu od Katherine, której twarz się rozjaśniła i wypłynął na nią wyraz bezwarunkowego podziwu dla ojca, jakim darzyć może tylko dziecko, nieskażone doświadczeniem czy interesownością. Przyszło mi na myśl, że Katherine patrzyła na Padraiga tak, jak ja niegdyś spoglądałam na Michaela Tuffy'ego. Ze szczerą miłością.

Wiedziałam, że nigdy nie zdobędę się, by w ten sam sposób spojrzeć na Jamesa, który jednak był dobrym człowiekiem i zasługiwał na to, by tak na niego patrzono. Zasługiwał na czystą, bezwarunkową miłość.

To wtedy postanowiłam, że dam mu dziecko.

Rozdział piętnasty

Nowy Jork, 2004

— Co powinnam włożyć na te komunie? — zapytałam siostrę Dana.

Kay często do nas wpada po pracy, gdyż jest jej po drodze ze szkoły do domu. Od paru lat pracuje jako nauczycielka, chociaż wygląda na niewiele starszą od uczennic ostatniej klasy, ma tę samą rozświetloną piegami cerę i radosny uśmiech. Wciąż mówi „cholewcia” zamiast „cholera”, ale i tak ją lubię. Podejrzewam też, że pod tą pozornie beztroską fasadą skrywa się osóbką silniejsza, niżby wydawało się z pozoru — w końcu musi mieć niezłą zaprawę, przecież od trzydziestu lat mieszka pod jednym dachem z Eileen.

W odpowiedzi Kay wepchnęła mnie do swego auta i zawiozła do butiku położonego na krańcu Yonkers, w którym akurat była wyprzedaż. Trzy godziny i paręnaście strojów później poddałam się z wyczerpania i nie protestowałam, kiedy uznała, że suknia koloru łupku, ze spódnicą w klin i do połowy łydki, w połączeniu z różową pelerynką będzie w sam raz. Stojąc przy kasie i czekając na akceptację karty, wodziłam wzrokiem po wieszakach, aż w końcu mój wzrok padł na Kay. Ku własnemu zaskoczeniu zobaczyłam w niej Dana: te same wydatne usta, szeroko rozwarte oczy, lekko skośne w kącikach... To moja szwagierka, pomyślałam. Jestem zameżna. Z jej bratem. Z Danem... Poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem w głowę. O mój Boże! krzyczałam w duchu. Kay jest moją powinowatą, a ja mam męża. Poślubionego na całe życie. Jak to możliwe?...

To był szok. Czysty, prawdziwy szok; trudno nawet powiedzieć, żebym się zmartwiła. Czułam się po prostu tak, jakbym nagle obudziła się w szpitalu albo włączywszy telewizor dowiedziała, że wygrałam na loterii. Szok i nic więcej, ani w jedną, ani w drugą stronę, bo szok nie jest ani dobry, ani zły, prawda?

Na szczęście przeszło mi, nim kasjerka podetknęła mi rachunek do podpisania, ale nie wróciłam już całkowicie do siebie. Coś się zmieniło.

Deirdre wyraziła zachwyt moim tortem lodowym i parę razy zapytała, jak to możliwe, że lód ma różową barwę, a jej koleżanki i koledzy rozdziawili buzie ze zdziwienia, kiedy w prezencie wręczyłam jej czek na pięćdziesiąt dolarów z przeznaczeniem na zakupy w sieci dziecięcych i młodzieżowych sklepów. Dla dorosłych upiekłam niedoceniany na co dzień miodownik, który pokrojony i oproszony startą skórą cytrynową ułożyłam na dwóch paterach, zapobiegliwie kładąc w pobliżu serwetki z cienkiego lnu. Jednym

słowem postawiłam na tradycję, nie chcąc wprawić w zakłopotanie Eileen, która tylko chrząknęła z aprobatą i zapytała, czy już się lepiej czuję. Potem widziałam, jak częstuje gości tortem i ciastem, raz czy dwa dyskretnie na mnie wskazując.

W tłumie odnalazł mnie wuj Patryk, zapewne za poduszczeniem Dana, gdyż moim zdaniem starszy pan nie miał pojęcia, kim jestem ani nawet gdzie on sam się znajduje. Przypominał mi pewnego staruszka, którego Dziadek często zapraszał, i w ogóle typowego Irlandczyka starej daty. Charakteryzują się oni tym, że z pozoru cisi i nijacy, kiedy już się przełamia i zaczną mówić, okazują się nieprzeciętnie inteligentni. Spędzając życie z dala od cywilizacji, wśród pól i zwierząt hodowlanych, pożerają wszystko, co nadaje się do czytania — od klasyków literatury rosyjskiej, przez rozmaite czasopisma, po lokalne gazety — i wiedzą o wszystkim — od historii Chin zaczynając, a na damskiej modzie kończąc.

— Zatem to ty jesteś żoną Dave'a — powiedział wuj Patryk. Cóż, widać ten nie wiedział o wszystkim.

— Dana — poprawiłam go dobrotliwie. Zignorował mnie całkowicie i ciągnął:

— Az niej to dopiero gałgan. — Skinął w stronę dziewięcioletniej Deirdre, która zdążyła już wyskoczyć z komunijnej sukienki i teraz występowała w obcisłym, mimo płaskiej klatki piersiowej, dresie z nadrukiem. Z tonu wywnioskowałam, że cały ten cyrk obchodzi go tyle, ile mnie. Czyli niewiele. — To ty upiekłaś miodownik? — spytał i nie czekając na odpowiedź dodał: — Wiem, Eileen mi powiedziała. — Głos mu zauważalnie złagodniał. Czyżby mi się wydawało, czy też ten pocziwina naprawdę darzy sympatią moją teściową? Ciasto zeszło na plan dalszy, liczyło się to, co usłyszał od siostry. Tak czy inaczej było to miłe z jego strony, więc chwilę posiedzieliśmy w milczeniu, kontemplując raczej nieprawdopodobne wyobrażenie sympatycznej Eileen. — Był za słodki — staruszek nie tracił wątku, co mu należy poczytać na plus.

Jestem przyzwyczajona do tego typu komentarzy. Tylko dlatego, że wykonuję pracę, w której liczy się inwencja, pierwszy lepszy głupiec czuje się w prawie, by mnie krytykować, rzecz jasna zawsze z myślą, by „ulepszyć” przepis. Na każdą krytykę mam przygotowaną odpowiedź.

— Naprawdę? To ciekawe, bo nie było w nim ani grama cukru.

Dawno się nauczyłam, że wszelkie chwytysą dozwolone. Zresztą nie tylko w tym wypadku kłamstwa zdają się czynić cuda. Nie tym razem jednak.

— W takim razie użyłaś kiepskiego miodu, złotko.

— Specjalnie kupiłam ekologiczny miód z dzikich kwiatów... Przerwał mi bezceremonialnie.

— Tak mówiła nalepka, ale ja ci mówię, złotko, że ten miód nawet nie stał koło dzikich kwiatów.

— Skąd ta pewność? — poczułam się w obowiązku bronić swoich dostawców.

Od dwóch godzin bawiłam nudnych krewnych Dana, który zostawił mnie na ich pastwę, ledwie weszliśmy. Szybko mnie zmęczyli i nim przyjęcie się rozkręciło, nie marzyłam o niczym innym jak tylko o tym, żeby wreszcie znaleźć się w domu. Jeśli mam być szczerą, w środku aż się gotowałam z wściekłości. Przecież kiedy mnie przekonywał, że koniecznie, ale to koniecznie muszę z nim pójść na to zgromadzenie rodzinne, przedstawiał to tak, jakby beze mnie miał sobie nie poradzić, a tu proszę, ledwie weszliśmy, porzucił mnie i świetnie się sobą zajął. Wcale mnie nie potrzebował w charakterze tarczy przed rodzinnymi napaściami, jakich ponure wizje przede mną mgliście roztaczał. Im bardziej mu się przypatrywałam, tym większego nabierałam przekonania, że się doskonale bawi — nie było mowy o zażenowaniu czy zakłopotaniu. Według mnie czuł się jak ryba w wodzie i imprezowa! jak, nie przymierzając, studenciak. Oszukał mnie! pomyślałam ze złością. Musiałam się na kims wyżyć, a że pod ręką znajdował się akurat wuj Patryk...

— Skąd ta pewność? — powtórzył za mną z błyskiem w oku. Oho, zdaje się, że nie pójdzie mi z nim tak łatwo. — Trzydzieści lat życia spędziłem w pasiece, więc możesz mi wierzyć na słowo, że ten miód, którego użyłaś, jest do luzu. — Wykrzykując ostatnie słowa poderwał się z krzesła i z prędkością, na jaką pozwalało mu lumbago, wdrapał się na piętro, by niemal natychmiast powrócić i cisnąć we mnie zawinięty w szary papier pakunek. — To! To jest prawdziwy dziki miód! O ile w ogóle potrafisz dostrzec różnicę, złotko — dokończył jadownicę.

Odwinęłam papier i wzięłam do ręki mały słoik. Ostrożnie, gdyż cały się lepił, zaczęłam odkręcać wieczko, ale trochę musiałam się namocować, bo wierzchnia warstwa się skryzalizowała, a może był to prawdziwy plaster miodu — nie wiem — w każdym razie kiedy wreszcie się z tym uporałam, moich nozdrzy doszedł zapach przywołujący wspomnienia. Dziadek w śmiesznym siatkowym kapeluszu przynoszący do domu pierwszy letni miód, mój strach przed rojem pszczoł, który uparł mi się pokazać... i to, jak całując

pomarszczoną dłoń Babci, nazywał ją swoją „słodką dziewczyną” . Nawet nie wiedziałam, że zapamiętałam tę ostatnią scenę — aż do dzisiaj. Widać mózg magazynuje wszystkie informacje i uwalnia je we właściwym momencie, w tym wypadku w chwili gdy sama jestem mężatką i zaczynam zadawać sobie pytania. ..

— Oczywiście, że potrafię dostrzec łożnicę! — obruszyłam się.

Wuj Patryk się ucieszył.

— To dobrze. Eileen jest wszystko jedno, a nawet woli miód ze sklepu, bo przynajmniej, jak mówi, wie, skąd się wziął.

Nie skomentowałam tego, ale na pewno było po mnie poznać, że jestem zbulwersowana.

— Jest tego miodu więcej? — spytałam.

— Sześć słoików.

— Kupię je wszystkie. Wuj Patryk się roześmiał.

— Powiem ci coś, złotko. Umówmy się, że tym razem dostaniesz je w prezencie, a o interesach pogadamy, jak przyjadę następnym razem.

— Czyli to nie jest pierwszy raz, jak wuj tutaj jest? Popatrzył na mnie, jakbym była niespełna rozumu, i odparł:

— Przyjeżdżam każdego roku, czasem nawet dwa razy. Wspaniale. Mój mąż nie tylko jest urodzonym szantażystą, ale do tego kłamie. Kłamiący szantażysta, no pięknie. A ja w swej naiwności liczyłam na „...i żyli długo i szczęśliwie”. Chociaż... jeśli się nad tym lepiej zastanowić, wszystko ma swoje dobre strony.

Czas mijał, robiło się późno, a my wciąż tam tkwiliśmy. Jakiś podochocony ponczem dzieciak podkreślił głośność sprzętu hi-fi i już nie tylko w tle leciała wiązanka koszmarnych przebojów dyskotekowych. Czułam się jak smutas, który nie potrafi się bawić; impreza dopiero się rozkręcała, a ja chciałam do domu.

Zlokalizowałam Dana, kiedy rozmawiał z kuzynem takim czy śmakim. Podeszłam i ujęłam go za rękę, a on gadał dalej, ściskając mi palce i w ten sposób dając do zrozumienia, że zarejestrował moją obecność. W pewnej chwili z łomotu disco wyłoniła się taneczna melodia z lat siedemdziesiątych i Dan bez słowa ostrzeżenia porwał mnie do tańca.

*I would take the stars out of the sky for you
Stop the rain from falling if
you asked me to...*

Było mi wstyd, ale Dan się nie przejmował, że robimy z siebie widowisko, i trzymał mnie mocno, nieporadnie prowadząc po salonie, jakbyśmy byli tam sami.

*I'd do anything for you
Your wish is my command
I could move a mountain
If your hand was in my hand...*

— Dziękuję, że przyszedłaś ze mną, Tressa — szepnął mi do ucha, kiedy wokół przeszedł w chórki.

Zabrzmiało to strasznie poważnie, jak gdyby była to poważna sprawa i jakby jemu naprawdę zależało. Już miałam wybuchnąć, kiedy to do mnie dotarło. Że Dan nie prosił mnie, bym upiekła ciasta czy zabawiała jego wujka; nie chciał przy mojej pomocy zrobić przyjemności siostrze ani tym bardziej dalszym krewnym; nie żądał ode mnie, żebym spełniała oczekiwania jego matki albo stroiła się dla obcych ludzi. Po prostu mnie potrzebował, gdyż tylko w ten sposób mógł znieść te parę godzin z rodziną. Mówiąc wszystkim: „Tressa jest ze mną”, nie kierował tych słów do nich — Eileen, sióstr, kuzynów i wuja Patryka, ale do siebie samego. To że byłam częścią jego życia — siedząc, chodząc, oddychając i rozmawiając gdzieś w tle — sprawiało, że czuł się lepiej. Że miał się za lepszego człowieka. Że był lepszym człowiekiem.

Zrozumiałam też, że skłamał, by mnie tam zaciągnąć, tylko dlatego że nie widział innego wyjścia. Nie mógł przecież wiedzieć, że gdyby powiedział mi prawdę, zgodziłabym się bez chwili wahania. Zresztą ja sama tego jeszcze wtedy nie wiedziałam.

Wraz ze zrozumieniem tego wszystkiego poczułam się bardziej żoną Dana. I było mi z tym dobrze.

Wspaniałomyślność

Kochać można na wiele sposobów.

Giasteczka Dobrej Wróżki

(przepis na dwanaście ciasteczek)

Utrzyj 10 deka margaryny z 10 deka cukru, po czym do gładkiej masy dodaj dwa jaja (ja zawsze je najpierw roztrzepuję, gdyż w przeciwnym razie całość lubi się zsiąść). Dosyp dziesięć czubatych łyżek mąki i pół łyżeczki sody oczyszczonej i dobrze wymieszaj. Jeśli nie masz w domu Dobrej Wróżki, pozwól dziecku dodać, co mu przyjdzie do głowy (Niamh zawsze dorzucała garść rodzynek, ale jakaś jej koleżanka rozgniotła na papkę banana — na szczęście ciasteczka nie tylko wyszły, ale i były przepyszne!).

Przelej masę do dobrze natłuszczonych, oproszonych mąką babeczkowych foremek i piecz w mocno nagrzanym piecu przez jakieś trzy kwadranse. Po wyjęciu z pieca odczekaj, aż trochę ostygną, nim je wyjmiesz z foremek. Właściwie nie powinno się jeść gorących ciastek, ale spróbuj to wytłumaczyć dziecku!

Rozdział szesnasty

Irlandia, 1948

Wraz z macierzyństwem nastąpiła we mnie zmiana, jakiej nie doświadczyłam nigdy przedtem ani potem.

Stan odmienny wyjątkowo mi nie służył; byłam bardziej drażliwa i marudna niż wszystkie znane mi brzemiennie kobiety i przez cały czas panicznie bałam się porodu. Nie podobało mi się, że moje ciało zamieszkuje obca istota, i wbrew temu co mi mówiono, wcale nie uważałam tego za naturalne. Źle się czułam w narzuconej mi roli, lecz choć pragnęłam jak najszybciej odzyskać własne kształty i indywidualność, przerażeniem napawała mnie myśl o czekających mnie bólu i upokorzeniu, które miały być za to ceną.

Niamh przyszła na świat w poniedziałkowy rano, chociaż wody odeszły już podczas południowej niedzielnej mszy. Zażenowana w pośpiechu opuszczałam kościół, by wkrótce poznać, co znaczy prawdziwy ból. Akuszerka okazała się zimną kobietą, która, potrafiła tylko instruować mnie, bym parła, i w ogóle nie zważała na moje błagania o zmiłowanie. Kiedy już myślałam, że to się nigdy nie skończy, poradziła mi przeć jeszcze mocniej, a swoje cierpienie potraktować jako modlitwę za dusze pokutujące w czyśćcu. Cóż, mnie było w tamtej chwili bliżej do piekła...

Na szczęście kobiecina znała się na swojej robocie i wreszcie rozległ się krzyk mojej córki. Nosiłam ją przez dziewięć miesięcy, a jednak była dla mnie całkowitym zaskoczeniem — nigdy nie sądziłam, że sprowadzę na ten świat istotę tak doskonałą i pełną piękna. Jak tylko znalazła się w moich ramionach, wydarł mi się z piersi szloch, że zwlekałam tak długo, odmawiając sobie prawa do niezwykłego szczęścia, jakim jest posiadanie dziecka. Niamh była drobniutka i krucha niczym płatek kwiatu, lecz zarazem dopracowana w każdym calu, idealna pod każdym względem. Cała ziemia, księżyc, słońce i gwiazdy, wszystkie kontynenty i galaktyki nie zdołałyby pomieścić przepelniającej mnie radości. Szloch przeszedł w łkanie, nie dbałam o to jednak. Roniłam łzy wdzięczności dla Boga, za którego sprawą oddychała ufnie na mojej piersi, i bólu, gdyż już w tamtym momencie wiedziałam, iż choć to ja powołałam swoją córkę do życia, nie należy do mnie i nie tak znów odległego dnia będzie musiała pozwolić jej odejść.

James chyba przez cały ten czas stał tuż pod drzwiami, gdyż równocześnie z cieniutkim krzykiem Niamh rozległ się jego okrzyk radości. Akuszerka

powiadomiła go, że ma córkę i że jeszcze za wcześnie, by nas zobaczył, ale ja zadziwiłam ją i siebie, podnosząc się z łóżka i żądając, by natychmiast przestała koło mnie skakać i dopuściła do mnie męża.

Wtedy po raz pierwszy poczułam miłość patrząc na niego. Nie współczucie ani troskę czy nawet niechętny szacunek, lecz szczere uczucie przywiązania. Żyliśmy ze sobą od ponad dziesięciu lat, a dopiero tamtego dnia, dzięki naszemu dziecku, James stał się bliskim mi człowiekiem. Wiedziałam, że dopóki na świecie będzie Niamh, dopóty zawsze będziemy sobie bliscy. Zapragnęłam go przytulić, jego i moją córkę, którą odtąd razem mieliśmy kochać, dbać o nią i jak Bóg da, wyprowadzić na ludzi. James patrzył na nas z niedowierzaniem, przeskakując wzrokiem od mojej twarzy do twarzyczki Niamh wystającej z powijaków, i w jego oczach płonęła cała gama uczuć — strachu, zachwytu i łagodnej miłości.

Przyglądać się, jak rośnie ktoś, kogo kocha się całym sercem, to zarazem rozkosz i cierpienie. Każdy mały sukces: pierwszy krok, pierwsze słowo, wywołuje salwy radości, napawając dumą przepelnione miłością serce, a jednak gdzieś na dnie czai się żaloba po tym, co na zawsze odeszło, co nigdy się nie powtórzy. Tak krótko była niemowlęciem, które z zabawnym mlaskaniem ssało moją pierś; tak krótko mogłam ją trzymać na jednym ręku, wolną dłonią mieszając zupę czy dokładając torfu do ognia; tak krótko mieściła się w koszyku okrytym muślinem, który zabieraliśmy ze sobą, kiedyśmy szli pracować w pole. Wciąż czułam delikatny zarys jej główki, wciąż miałam przed oczyma ruchliwe paluszki o paznokietkach nie większych od koralików, wciąż słyszałam dziwne dźwięki, jakie wydawała, nim wypowiedziała słowo „mama”... Ciesząc się, że rośnie zdrowo i z każdym dniem przybiera na wadze, radując się z każdej nowo posiadłej przez nią zdolności, w głębi duszy opłakiwałam tę istotę, którą już nigdy nie będzie, a którą pokochałam jak nikogo dotąd. Żywiłam nie wyjawione nikomu marzenie, by Niamh na wieki pozostała częścią mnie; śniłam, że nadal tkwi w moim łonie i że razem unosimy się w wiecznej, przyjaznej pustce, czerpiąc otuchę ze swej obecności.

Wszelako Czas czyni co w jego mocy, by odebrać matce dziecko. Trzeba nauczyć się cenić każdą ulotną chwilę; nie ma innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z tym, że życie to nieubłagany zegar odmierzający cenne momenty. Wychowywanie dziecka to zaledwie preludium, osłoda tego, co nieuniknione — jego odejścia z domu, czego przecież obawia się każdy

rodzic. Sądziłam, że kiedy już Niamh osiągnie dorosłość, ten strach mnie wreszcie opuści, myliłam się jednak.

Nie ma znaczenia, że człowiek z wiekiem nabiera mądrości albo zwyczajnie coraz lepiej sobie radzi oszukując się — los matki jest taki, że przez każdy dzień swego życia drży o dziecko. Można udawać, że tak nie jest, czasem nawet trzeba udawać, aby dziecko widząc, że mu się ufa, wciąż do nas wracało, nie zmieni to wszakże tego, iż macierzyństwo to wieczne cierpienie. Słodkie, gdyż przynoszące radość z dnia dzisiejszego, i równocześnie gorzkie, bo zawczasu naznaczone strachem przed tym, co będzie jutro, i przepełnione żalem za tym, co już nie wróci.

James okazał się wyśmienitym ojcem. Lata dziecinne Niamh zbliżyły nas do siebie, tak że właściwie powinnam powiedzieć, że był wyśmienitym mężem i ojcem. Nieraz leżeliśmy w wielkim żelaznym łóżku, nucąc córce kołysankę, która miała przynieść jej spokojny sen po dniu pełnym wrażeń. Letnie słońce przesuwawało się po naszych ciałach, znacząc je złocistymi plamami i rozleniwiając nas jeszcze bardziej, ja zaś dziękowałam w duchu Opatrzności za to, że dała mi takiego dobrego męża, który wolał śpiewać do snu swemu małemu dziecku, aniżeli przesiadywać w pubie jak inni mężczyźni i upijać się tam do nieprzytomności. James miał zadziwiającą rękę do Niamh, co składałam na karb tego, że jest nauczycielem i w ogóle świetnie radzi sobie z dziećmi, ale i tak wprost nie mogłam uwierzyć, że można równocześnie kogoś szaleńczo kochać i być dla niego sprawiedliwym. Jeśli mam być szczerą, myślę, że James był lepszym ojcem niż ja matką. Oczywiście przepadałam za Niamh, ale w miarę jej dojrzewania nasze stosunki stawały się coraz bardziej napięte. Była konfliktowa — podobnie jak ja — a także krnąbrna i narwana i nieraz się zdarzało, że James występował w roli powiernika i arbitra.

Kiedy była kilkuletnią dziewczynką, często dokazywałyśmy razem w kuchni. Uwielbiałyśmy piec ciasteczka Dobrej Wróżki — mąka wirowała w powietrzu, jaja lądowały na świeżo wyszorowanej podłodze, co doprowadzało mnie do szału, ale nie miałam sumienia przerywać lekcji gotowania, gdyż Niamh świetnie się bawiła. Parę razy przyłapał nas na tym James; stał w progu ze zdumieniem obserwując, jak szaleńczymi gestami próbuję doprowadzić do ładu swoją twarz, stół, podłogę... Aż nazbyt dobrze wiedziałam, jak wyglądam: w starym fartuchu, z umączonymi włosami i pomazanym żółtkiem policzkiem, a jednak zdawałam się w jego oczach pięknieć, ponieważ byłam matką jego dziecka.

Miałam pewność, że James nas kocha, mnie i Niamh. Ze pracując w szkole albo w polu, doglądając bydła czy swoich pszczół, czytając i odpoczywając, a nawet przyglądając się, jak pieczemy ciasteczka, oddaje nam, swoim „słodkim dziewczynom”, hołd. Choć bardzo późno, w końcu zrozumiałam, jak wielkie szczęście mnie spotkało. Dostałam od losu mężczyznę, który zapewnił mi dach nad głową, roztoczył nade mną opiekę, dał mi dziecko, a co najważniejsze obdarzył szczerym uczuciem.

Wydawało mi się wtedy, że odwzajemniając jego uczucie wystarczy kochać w nim ojca mojego dziecka, nie człowieka, którym był.

RS

Rozdział siedemnasty

Nowy Jork, 2004

Dostałam fioła na punkcie swojej nowej kuchni.

Dotychczas zaprojektowałam jedną kuchnię dla siebie, parę dla przyjaciół i mnóstwo dla bardzo bogatych ludzi, których stać było, by udawać, że będą w nich gotować; byłam także konsultantką u kilku producentów mebli kuchennych. Można więc bez cienia przesady powiedzieć, że ja, Tressa Nolan, znam się na kuchniach jak mało kto. A jednak ta z domu przy Longville Avenue wystawiła mój profesjonalizm na próbę.

Przeglądałam właśnie katalog z meblami firmy Shaker, kiedy Dan zajrzał mi przez ramię i mruknął:

— Są chyba drogie... — Pośpieszyłam go zapewnić, że dostanę u nich sporą zniżkę, ale jakoś go to nie ucieszyło. — Hmm... Myślałem, że odnowimy te stare graty. Znam jednego stolarza...

Ogarnęłam wzrokiem pobojuwisko, jakim wciąż była nasza kuchnia; mieszkaliśmy wśród tych... gratów — tak, to dobre określenie — już od paru tygodni. Był wśród nich kredens rodem z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, o emaliowanym blacie, stół z powyłamywanymi nogami, rozchwierutana serwantka, na której tymczasowo trzymaliśmy czajnik, i parę krzeseł o podartym obiciu. Nagle zobaczyłam je w zupełnie innym świetle: te rzeczy miały potencjał! Czy na pewno chciałam zastąpić coś, co ma duszę, cóż z tego, że skołatana i po przejściach, czymś niewątpliwie z klasą, ale prosto z fabryki, nawet najlepszej?

— Ten stolarz...? — podchwyciłam. — Dobry jest?

— O, tak! — Dan wyraźnie się rozpromienił.

Wiedział oczywiście, że kuchnia będzie nie tylko najważniejszym pomieszczeniem w całym domu, lecz także — a może przede wszystkim — miejscem mojej pracy. Wciąż nie byłam pewna, czy chcę postawić na styl eklektyczny, ale nie mogłam przecież sprawić Danowi zawodu. (Poza tym uznałam, że jeśli eksperyment z recyklingiem mebli nie wypali, zawsze będę mogła wrócić do planu A. W moim zawodzie kuchnie zmienia się jak rękawiczki. Bez bólu serca.)

Od razu zadzwonił do jakiegoś swojego kumpla, ten zaś skontaktował się ze swoim kolegą, który miał aktualne zamiary na tego, co parał się stolarką. Wystarczył mi rzut oka na jego tatuaże i zarośniętą brodę, żeby natychmiast nabrać sceptycyzmu wobec całego pomysłu.

— Dan, my naprawdę nie musimy oszczędzać na robociźnie... — powiedziałam, próbując mu oczywiście zasugerować, żeby czym prędzej wykopał z mojego domu tego troglodytę przypominającego Charlesa Mansona.

— Skarbie, kto jak kto, ale Gerry nie jest tani. Zaufaj mi, zna się na tym jak nikt inny... Nie znajdziesz lepszego fachowca od kuchni.

Nie jest tani? zmartwiałam w duchu. I skąd nagle u Dana taka znajomość rzeczy? Zdaje się, że wychowała go kobieta, która kupuje mrożone żeberka, i to na wyprzedaży, można więc przyjąć, że w jego rodzinie kuchnia nigdy nie była priorytetem. No ale cóż, zostałam postawiona przed faktem dokonanym, gdyż Gerry właśnie przepychał się między nami, taszcząc walizkę.

Dwa tygodnie później musiałam przyznać, że Gerry to nie tylko prawdziwa złota rączka, ale przede wszystkim geniusz.

Nic to, że nosił długie do pasa siwe włosy i mógł się pochwalić zaledwie czterema zębami. Jak się okazało, przyjechał do Stanów z Irlandii przed prawie trzydziestoma laty na wakacje, tyle że jakoś nigdy nie wrócił do domu, i odtąd zarabiał na utrzymanie mając się dorywczych prac. Za gotówkę. Zawsze nocował tam, gdzie pracował, w najgorszym razie waletował u jednego z licznych kumpli, a wszystkie zarobione pieniądze ładował w swoją miłość — motocykle. Drobne wydawał na narkotyki i — bo ja wiem? — tatuaże; z pewnością od ćwierć wieku ani centa nie przeznaczył na ubrania ani dentystę. Nie było to jednak moje zmartwienie, zwłaszcza że jak już wspomniałam, stanął na wysokości zadania. Moja wymarzona kuchnia nabierała kształtów — dzięki niemu i Danowi. Nie znalazłby w niej dwu identycznych szafek; każda wykańczana była oddzielnie, podług możliwości i fantazji, zawsze jednak z zachowaniem oryginalnego stylu. Stojak na przyprawy składał się z tuzina półeczek różnej długości i szerokości, tak by pomieściły moją zbieraną latami kolekcję słoiczków. Naturalnie na pierwszy ogień poszedł zabytkowy kredens z połowy dwudziestego wieku, odnowiony prezentował się znakomicie. (Wyszperałam gdzieś nawet pasujące do niego pojemniki z epoki, z dużymi napisami „Mąka” i „Cukier”.) Kiedy przyszła kolej na serwantkę, bez większej nadziei na sukces rzuciłam hasło „międzywojenna Europa”, co Gerry wszakże przyjął z niewzruszoną miną. Zaszył się w zaadaptowanym na warsztat garażu na pięć dni, po czym razem z Danem wnieśli — słowo daję — dokładną replikę Babcinej serwantki, którą zapamiętałam z pobytów w Irlandii. Własnoręcznie pomalowałam to istne dzieło sztuki rzemieślniczej

na delikatny pistacjowy kolor i nie pozostało mi nic innego, jak cieszyć oko. Kuchnia była prawie gotowa, chociaż ani trochę nie przypominała tych wziętych prosto z katalogu zimnych sterylnych pomieszczeń. Miała za to duszę — wyglądała, jakby nieprzerwanie gotowały w niej trzy pokolenia kobiet.

Bardzo się obawiałam mieszkania z Gerrym pod jednym dachem, lecz niepotrzebnie. Paradoksalnie jego obecność rozładowała po trosze napięcie panujące między mną i Danem jeszcze od czasu naszego miesiąca miodowego. Czułam się tak, jakbym grała w sitcomie przed jednoosobową widownią — Dan chwalił się żoną przed swym kolegą, zatwardziałym starym kawalerem, a ja niepostrzeżenie weszłam w rolę szczęśliwej małżonki. Z jakiegoś powodu łatwiej mi jest okazywać Danowi uczucia na forum publicznym, co on z kolei odbiera jako zachętę, by częściej mnie przytulać i cmokać w szyję. Na użytek Gerry'ego odstawialiśmy scenki pt. „Stare dobre małżeństwo”: Dan psioczył, jaka to ze mnie żoźła, ja zaś udawałam, że faktycznie trzymam go pod pantoflem, na ogół jednak byliśmy dla siebie po prostu mili. Nim się spostrzegłam, zachowania, które miały być tylko zabawą, stały się częścią prawdziwego życia, jakie niespodziewanie dla mnie samej zaczynało mi odpowiadać.

Przez cały ten czas w domu niepodzielnie rządzili mężczyźni; mnie wolno było tylko coś pomalować, ewentualnie wygładzić, no i non stop musiałam podawać „robotnikom” posiłki, co nie było łatwe, zważywszy, że piekarnik jeszcze nie działał. Któregoś dnia upiekłam im ciasteczka w kuchence mikrofalowej, za co okrzyknęli mnie cudotwórczynią i Dobrą Wrózką. Nim pozwoliłam je zjeść, każde przekroiłam i nadziałam świeżym masłem, a wierzch udekorowałam białą czekoladą, po to tylko, by zadziwić ich jeszcze bardziej. Skoro obaj zachowywali się jak mali chłopcy, dałam Gerry'emu do wylizania łyżkę, a Danowi miche, w której wyrabiałam ciasto. Popatrzyli na mnie, jakbym była króliczkiem miesiąca, co niesłychanie mnie rozbawiło.

— Jezu, stary — westchnął Gerry, nie wiedząc, za co najpierw się łapać: za gorące jeszcze ciastko, na którego widok ciekła mu ślinka, czy za aromatyczne cappuccino.

— Wiem, stary, wiem — odparł Dan promieniejąc z dumy. — Nie oddałbym jej nikomu za żadne skarby.

Poczułam się jak ukochana matka, doceniany szef kuchni i bogini seksu w jednej osobie. Prawdę powiedziawszy, nigdy wcześniej nie czułam się tak dobrze.

Resztę popołudnia zrobiliśmy sobie wolną. Gerry otworzył wreszcie butelkę tequili, z którą się od początku obnosił, i wkrótce atmosfera zupełnie się rozluźniła. Urządziliśmy konkurs gry na gitarze (w powietrzu) — Gerry udawał gitarzystę Black Sabbath, co bardzo do niego pasowało, Dan pozostał w paśmie głównonurtowym, odgrywając Springsteena, ja zaś wcieliłam się w Thin Lizzy. Oczywiście wygrałam z autorską wersją „Whiskey in the Jar” i dostałam nawet nagrodę w postaci pustej butelki po tequili, z którą Gerry rozstał się bardzo niechętnie, podczas gdy zaprawiony Dan ze śmiechu łapał się za brzuch.

Gerry uznał, że przyjęcie będzie skończone dopiero wtedy, gdy się upalimy, i poszedł czegoś poszukać, a że był człowiekiem, który równie dobrze mógł się nie pokazać przez najbliższy tydzień, Dan sięgnął po mnie z niedwuznacznym:

— Chodź tu do mnie, mała.

Kochaliśmy się na tej samej sofie, na której jeszcze przed chwilą dokazywaliśmy w obecności obcego człowieka, i było mi dobrze. Nie musiałam się starać ani zaprzętać głowy fantazjami; było tak jak na samym początku naszej znajomości z tą różnicą, że wiedziałam, czego mogę się spodziewać. Ale tym razem nie stanowiło to problemu, może za sprawą tequili, a może z zupełnie innego powodu.

Gdy obudziłam się o piątej nad ranem, Dana nie było obok mnie. Zostałam go w kuchni, jak szorował papierem ściernym jakieś listwy i deszczułki.

— Dzisiaj idę do pracy, więc chciałem to zrobić wcześniej, tak żebyś mogła je pomalować, kiedy mnie nie będzie.

Nastawiłam kawę i czekając, aż się zaparzy, przyglądałam się Danowi. Był skoncentrowany na tym, co robi, chociaż zajęcie było czysto fizyczne; z przyjemnością obserwowałam, jak jego mięśnie napinają się i rozluźniają.

— Dziękuję za tę kuchnię, Dan — powiedziałam spontanicznie.

Nie przerwał pracy. Nie odrywając wzroku od polerowanej deski, odparł:

— To tak samo moja kuchnia, jak twoja, skarbie. Robię to dla nas.

Wyjątkowo nie wzdrygnęłam się na to „nas”. W końcu faktycznie robiliśmy to dla siebie, dla nas, i nie miałam nic przeciwko temu. Ogarnęło mnie uczucie szczęścia, wynikające na równi z powstającej od zera kuchni moich marzeń i z coraz lepiej układających się stosunków z mężem. Taki rodzaj szczęścia chyba też się liczy, prawda?

Dzień później na scenę wkroczyli Angelo i Jan Orlandi — para starych znajomych, których poznałam przez pracę, a zarazem członkowie

nowojorskiej śmietanki, brylujący na łamach „Vanity Fair”. Poznali się jeszcze w college'u, pobrali w młodym wieku i oddali się ochoczo swojej pasji, tak że paręnaście lat później osiągnęli szczyty, każde w swoim zawodzie: Jan została topową redaktorką od kulinariów, Angelo zaś rozchwytywanym szefem kuchni. Kupili wielki dom w Irvington, zanim stało się popularne, i wspólnymi siłami stworzyli firmę „Zdrowa Żywność”, zajmującą się uprawą ekologicznych warzyw i owoców i produkcją sosów. Obecnie w ich posiadaniu znajdują się tysiące akrów ziemi w Kalifornii, są dostawcami dla największych sieci sklepów spożywczych i mają z tuzin restauracji i kawiarenek, a także zgrabny hotelik na Karaibach. A przy tym wszystkim pozostali normalni: nadal są małżeństwem, razem wychowują dwójkę udanych dzieci i wciąż znajdują czas dla starych przyjaciół, takich jak ja. Znajomość z nimi wywarła na mnie wielki wpływ i teraz, kiedy znów po jakiejś przerwie odezwali się i zaprosili mnie do siebie, poczułam, że szczęście, doświadczone zaledwie wczoraj, blednie i traci na wartości. Krótko mówiąc, brak mi pewności siebie, żeby spędzić u nich weekend.

Och, znamy się dobrze, problem w tym, że Dan nie miał okazji ich spotkać; z powodu ważnej podróży w interesach nie dali rady zjawić się na naszym ślubie, chociaż przesłali nam kosztowny prezent.

Zawsze w moich oczach byli ideałem małżeństwa, toteż nadchodzący weekend miał być sprawdzianem. Dla mnie i Dana. Mimo że w ostatnich dniach stosunki między nami bardzo się poprawiły, wciąż nie miałam pewności co do słuszności decyzji o zamążpójściu, jednakże dzięki zaproszeniu Orlandich zauważyłam znaczącą zmianę: przekonałam się, że zaczęło mi zależeć. Pobyt w Irvington miał mnie tylko utwierdzić w tym przekonaniu.

Rozdział osiemnasty

Irlandia, 1949—1953

Sekret, którego nigdy nikomu nie zdradziłam, jak gdybym się go wstydziała, z perspektywy czasu wydaje mi się tak bardzo niewinny. Odkąd zorientowałam się, że noszę w łonie dziecko, całym sercem pragnęłam syna. Wydawało mi się, że tylko synowi dałabym miłość, jaką nie obdarzyłam nikogo innego, i że tylko od niego otrzymałabym uczucie, za którym tak bardzo tęskniłam. Nazwałabym go Michael i przychyliłabym mu nieba...

Być może.

Po odstawieniu Niamh od piersi miesiącami próbowałam go począć, będąc pewna, że skoro wcześniej udawało mi się odwlekać brzemiennosc wedle woli, teraz zajdę w stan odmienny ot tak, na żądanie. Mijała pełnia za pełnią, jeden rok przeszedł w drugi, a moja rozpacz nie miała granic. Za każdym razem gdy zaczynało się krwawienie, rozczarowanie dopadało mnie z siłą, jakiej wcześniej nie znałam, i w samotności opłakiwałam dziecko, którego przecież nie poczęłam, ale które zdążyło się już uformować w moim umyśle. Każdy kolejny miesiąc przynosił poczucie straty, zdrady, krzywdy.

Stopniowo zrozumiałam, że tak naprawdę nigdy nie byłam panią własnego ciała, jak mi się zdawało. Że to nie ja dałam dziecko Jamesowi, lecz Bóg. A teraz, gdy chciałam mieć syna tylko dla siebie, On karał mnie odmową.

Mamrotałam nowenny, modliłam się do Najświętszej Pani, uczęszczałam na mszę w każdy pierwszy piątek miesiąca. Błagałam i prosiłam, wszystko inne przestało mieć znaczenie.

Zaniedbywałam Niamh i Jamesa, i samą siebie. Domagałam się od Jamesa miłości, tak że nasze kochanie stało się ciężkim przeżyciem dla nas obojga, chociaż nigdy nie usłyszałam złego słowa. Któregoś razu James próbując mnie pocieszać powiedział, że żona i córka w zupełności mu wystarczają, ale przyniosło to skutek odwrotny do zamierzonego. Wybuchnęłam płaczem i oskarżyłam go, że jest nieczułym draniem, który nic nie rozumie.

Takie są ujemne strony małżeństwa — kiedykolwiek było mi smutno, bałam się bądź czułam się samotna, o wszystko winiłam Jamesa, mimo że nie znałam lepszego człowieka. Starał się jak mógł, by ulżyć mi w nieszczęściu, którego chyba rzeczywiście nie potrafił pojąć, a ja wyładowywałam na nim swoją złość i frustrację. Gdybym mogła, wyżyłabym się na Bogu, ale że coś takiego nie mieściło się w głowie, kozłem ofiarnym został mój mąż. Wytykałam mu, że jest stary, niemęski,

nieczuły... i za każdym razem uzyskiwałam wybaczenie, ponieważ wiedział, że wcale tak nie myślę. Ponieważ mnie kochał. Atakowany dzień w dzień mężczyzna albo przybiera maskę spokoju, albo wybucha ze zdwojoną siłą — i tylko wtedy pozna się jego prawdziwe oblicze. Ja miałam szczęście, James okazał się stoikiem. Trudno mi powiedzieć, czy i jemu było żal, że nie będziemy mieć drugiego dziecka; zbytnio byłam przez cały czas skoncentrowana na sobie, by to zauważyć.

Wreszcie przyszedł dzień, gdy utraciwszy wiarę w cud i łaskę Boską, poddałam się. Smutek, jaki mnie wtedy ogarnął, był nie do wytrzymania i jak to często bywa w takich sytuacjach, trzeba było silniejszego bodźca, by przywrócić mnie do życia.

Któregoś dnia wydało mi się, że dostrzegłam Michaela na molo w Enniscrone.

Tego roku kiedy Niamh skończyła pięć lat, zrobiliśmy sobie dwutygodniowe wakacje. Niamh była wymizerowana po serii dziecięcych chorób, ciągnącej się od wiosny; wskutek różyczki, świnki i ospy wietrznej utraciła cały swój tłuszcz i potrzebowała słońca i ostrego powietrza, żeby odzyskać kolory na bladej twarzyczce. Pojechaliśmy więc do nadmorskiej wioski w hrabstwie Sligo, gdzie zatrzymaliśmy się w uroczym pensjonacie przy głównej ulicy. James żywił nadzieję, że morskie powietrze dobrze mi zrobi na moje humory, zresztą on także potrzebował odpoczynku.

Nasza sypialnia stała się mroczna niczym grobowiec, w którym pogrzebaliśmy swoje nadzieje. Chociaż żadne z nas tego nie wypowiedziało na głos, pobyt w Sligo kończył okres, w którym staraliśmy się o drugie dziecko. Po powrocie życie miało wrócić do normy.

Dla większości ludzi, którzy mieszkają w głębi lądu, morze to niezwykle spektakl bez końca. James nie wyjmował wędki z wody, Niamh nie przestawała zbierać muszelek, a ja siedziałam na kocu i pozwalałam się hipnotyzować falom. Połyskująca na horyzoncie gładka tafla nagle wzbierała i zamieniała się na moich oczach we wzgórze, które mknęło w stronę brzegu, by dotarłszy doń wyhamować i z cichym szumem rozlać się szeroko po piasku. Przyglądałam się i wyobrażałam sobie, że za linią horyzontu nie ma nic — żadnych statków, żadnych dalekich kontynentów. W moich wyobrażeniach nie było możliwe, aby chłopiec, którego pokochałam, wsiadł na statek i popłynął do Ameryki.

Spoglądałam w niebo i cieszyłam się promieniami słońca, przybierającymi setki barw od złota do purpury, podczas gdy nad nieodległą Killalą położoną

po drugiej stronie zatoki zbierały się deszczowe chmury. Od wydm, na których rozbijaliśmy biwak, wiodły schody z wymytych słońcą wodą skał, za nimi ciągnął się spłacheć plaży, gdzie dzieci zbierały wyrzucone przez morze skarby. Ogarniałam w zachwycie cały ten widok i z bólem w sercu myślałam: Bóg stworzył to wszystko, a jednak odmówił mi syna. Zdarzało się, że roniłam nad swym losem łzy, które mieszały się z mgiełką znad morza, tak że płakałyśmy razem: Natura i ja. Wraz z mijaniem czasu wszakże ostrze niesprawiedliwości, która mnie spotkała, tępiało, a ja coraz częściej wracałam myślami do zadawnionych żalów.

Do dawnej miłości.

Pustka we mnie, którą miał wypełnić syn, powstała wtedy, gdy odebrano mi moją jedyną prawdziwą miłość. Wciąż potrafiłam czuć: pieszczotę morskiej bryzy na twarzy, miękki dotyk rąbka spódnicy na kolanie, ale nie czułam ani nawet nie widziałam i nie słyszałam własnego męża. Znów stał mi się obojętny, jak przedmiot — mebel albo chleb. Tęsknota za drugim dzieckiem została zastąpiona tęsknotą za pierwszym, zakazanym pocałunkiem.

Gdyż ten ból byłam w stanie znieść.

Wyrwana nagle z zadumy mogłabym przysiąc, że dostrzegłam go, jak kroczy po molo. Miał na sobie brązowy garnitur, a jego czarne faliste włosy spływały aż na śnieżnobiały kołnierzyk koszuli. Wyglądał tak samo jak przed laty — jakaż pierwsza miłość się starzeje?

Chociaż nie widziałam jego twarzy, byłam pewna, że to Michael.

Inaczej niż w niekończących się snach na jawie, szok, jakiego doznałam na jego widok, nie sparaliżował mnie. Podniosłam się i ruszyłam prosto w tamtą stronę, nie zważając, że stopy ślizgają mi się na skałach, podczas gdy nieopodal biegnie ścieżka jak Pan Bóg przykazał. Zresztą nie miałam czasu do stracenia, bałam się, że z chwilą gdy oderwę od niego wzrok, żeby odnaleźć wąską dróżkę, stracę go z oczu na zawsze. Szłam ku niemu, nie myśląc, co powiem, kiedy go dosięgnę; nie przyszło mi nawet do głowy, by zawołać jego imię. Bosa i zgrzana parłam naprzód.

Nagle za moimi plecami rozległ się okrzyk Niamh. Ze wstydem muszę przyznać, że nie od razu zawróciłam. W końcu jednak poszłam jej na ratunek przed czymkolwiek, co ją wystraszyło; po chwili pocieszałam ją, że dotknięcie meduzy to nie koniec świata. Zapłakaną musiałam zanieść na kwaterę, gdzie zrobiłam jej chłodną kąpiel i ukołysałam do snu.

Do końca wakacji wypatrywałam na każdym kroku Michaela. Byłam poirytowana i sarkałam bez powodu na męża i córkę, co ku mojemu zdumieniu ucieszyło Jamesa. Widać w swej mądrości zrozumiał, że opuścił mnie smutek znacznie poważniejszy. Rzeczywiście, morze zmyło ze mnie nieziszczalne marzenie i poniosło je na kraj świata, zsyłając dawne, z którym już umiałam sobie radzić. Niemniej tygodniami po powrocie śniłam o Michaelu Tuffym. W mojej głowie niczym filmy przewijały się rozmaite scenariusze wydarzeń: co by się wydarzyło, gdyby Niamh nie krzyknęła?... Jak byśmy się zachowali, co byśmy sobie powiedzieli? Czy odnaleźlibyśmy w swych oczach dawne uczucie? Czy starczyłoby nam odwagi, by pocałować się na pożegnanie?...

Tak bowiem zawsze się żegnaliśmy.

Mimo upływu lat moja tęsknota nie zelżała — Michael wciąż znaczył dla mnie więcej niż ktokolwiek. Poślubiłam Jamesa wbrew swej woli, nieraz dawałam mu to boleśnie odczuć, chwilami wciąż go nienawidziłam za to, że przymusił mnie do ślubu. A jednak spędzone razem lata i dziecko bardzo nas zbliżyły. Czas i Natura, dwie potężne siły, połączyły nas nierozzerwalnym węzłem, którego nie zdołałabym przeciąć, nawet gdybym chciała.

Przede wszystkim byłam żoną i matką, dopiero później Bernadine. Zresztą chyba nie potrafiłam już żyć inaczej.

Wiele, wiele lat później — kiedy Niamh wyjechała do college'u — uświadomiłam sobie, że wymarzone drugie dziecko nic by nie pomogło. Och, naturalnie, że przyniosłoby mi morze radości, lecz i morze smutku.

Byłam dobrą matką, ale nie idealną. Dawałam z całego serca, lecz zawsze oczekiwałam czegoś w zamian. Szczęściem napawały mnie chwile, kiedy mała Niamh obdarzała mnie ślepą miłością dziecka, czekałam na nie z utęsknieniem i nigdy nie było mi dość.

Los chciał, żebym miała jedynaczkę. Teraz, kiedy się z tym pogodziłam, sędzę, że moje pragnienie, by urodzić Niamh braciszka albo siostrzyczkę, mniej wynikało z chęci przejścia raz jeszcze przez radości i troski macierzyństwa, więcej zaś z obawy, że tylko w ten sposób mogę przywrócić między sobą i Jamesem prawdziwie czułe stosunki.

Taka już moja dola, że radość niełatwo mi przychodzi. Gdy już ją mam w zasięgu ręki, ucapiam łapczywie i kruszę. I w niczym nie pomaga moje dopatrywanie się skazy na szczęściu albo przeciwnie, wyolbrzymianie go. W ten sposób nieodmiennie skazuję się na rozczarowanie. Nieraz łapałam się na tym, że czując się szczęśliwa, zamierałam ze strachu i czekałam w obawie,

że to uczucie lada chwila mnie opuści. Całe życie czekałam, aż szczęście mnie odnajdzie i porwie, tak jak wówczas, gdy byłam zakochana w Michaelu. A wystarczyło wejrzeć głębiej w siebie.

RS

Rozdział dziewiętnasty

Nowy Jork, 2004

Niestety już w czwartek sprawa się ryła. Wieczorem zadzwonił Angelo z pytaniem, czy ma po nas przysłać limuzynę z kierowcą.

Dan dostał szału. Jego zdaniem Angelo sugerował, że nie mamy własnego samochodu, i na nic się zdały moje próby wyjaśniania, że ludzie tak bogaci jak Orlandowie zatrudniają szofera z przyzwyczajenia, a potem szukają dla niego zajęcia, i że oddalibyśmy im przysługę, przyjmując ofertę. Próbowałam też z innej beczki — w pracy sama często korzystałam z usług płatnego kierowcy i ani przez minutę nie podejrzewałam Angela, by chciał nam dopiec. Jednakże Dan zaparł się w świętym oburzeniu.

Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć albo zrobić, żeby jakoś opanować tę nagłą erupcję testosteronu i samczej dumy; wszelako szybko zrozumiałam, iż broniąc Angela popełniłam błąd. Pozostałą część dnia Dan spędził w garażu, szorując i pucując nasz samochód. Przechodząc nieopodal usłyszałam, jak Gerry radzi mu, żeby olał dzianego pajaca i wykręcił wszystkim numer, podjeżdżając pod rezydencję w Irvington harleyem davidsonem, którego od ręki pożyczylby nam jakiś jego podejrzany znajomy. Na szczęście Dan zachował resztki zdrowego rozsądku. Zresztą już wkrótce miał się przekonać, że akurat ten dom Orlandich nie grzeszy przepychem, w przeciwieństwie do ich naprawdę imponującego dworku stojącego pośród kalifornijskich rancz (przy którym nawet posiadłość Kennedych w Hyannisport mogłaby się schować).

W podróż wyruszyliśmy wciąż naburmuszeni. Ja byłam lekko spięta, ponieważ zależało mi, żeby spotkanie się udało i żeby Orlandowie polubili Dana, i vice versa oczywiście; poza tym cieszyłam się jednak na parodniowy odpoczynek. Dan był pełen obaw.

— Ten cały Angelo... To Włoch, tak?

— Tylko z pochodzenia... Jego rodzice są narodowości włoskiej.

— Aha. Do tego bogaty jak diabli. Pewnie należy do mafii.

— Ależ skąd! Po prostu osiągnął sukces. Jest największym producentem zdrowej żywności w Stanach.

— Niech ci będzie. Ale skoro tacy z nich fajni znajomi, to dlaczego nie byli na naszym weselu?

Równie dobrze mógłby mi powiedzieć prosto z mostu, że nie chce tam jechać. Tym razem ja się zezłościłam. Być podejmowanym przez Angela i Jan to nie lada zaszczyt i tylko głupiec by z niego dobrowolnie zrezygnował.

— Orlandowie są bardzo zajętymi ludźmi.

— Doprawdy? A my to co?

— Miałam na myśli, że są ważni... — Zanim jeszcze skończyłam wypowiadać ostatnie słowo, wiedziałam, że to gwóźdź do mojej trumny.

— Aha. Zatem twoim zdaniem my się nie liczymy?

— Dan... Przecież wiesz, że nie o to mi chodziło... Przerwał mi.

— Nasz ślub nie był wystarczająco ważny dla tej pary niezmiernie zajętych bubków?

Z jednej strony chciałam Danowi przyłożyć, i to tak porządnie. Siekiera byłaby w sam raz. Z drugiej cieszyłam się, że zachowujemy się jak normalne małżeństwo, nawet jeśli oznaczało to kłótnię. Oczywiście znacznie milej by było, gdybyśmy zachowywali się jak kochające się normalne małżeństwo, no ale dziką awanturą też nie mogłam wzgardzić. W końcu trzeba czuć się przy kimś pewnie, żeby wbijać mu nóż w serce.

— Może i są bubkami, ale przynajmniej nie będą nas karmić mrożonym mięsem niewiadomego pochodzenia! — Oho, przesadziłam. Twarz Dana stężała w maskę bez wyrazu, a jego dłonie zacisnęły się kurczowo na kierownicy. — Dan, przepraszam. Nie powinnam była tego mówić...

Moje przeprosiny go nie ułagodziły, ale chociaż wytrąciły mu broń z ręki. Zastanowił się, nim powiedział:

— Rodzina to co innego. Z rodziną jest się na dobre i na złe, nie to co z obcymi.

— Jań i Angelo to moi najlepsi przyjaciele! — zaprotestowałam.

— Tak, już słyszałem.

Chciałam wygarnąć mu prosto w oczy, że nikt nie jest dla mnie bardziej obcy niż jego rodzina i że przy Orlandich czuję się o wiele swobodniej — są wykształceni, odcytani i mają klasę. Na wszelki wypadek jednak spasowałam. Tak bardzo zależało mi, żeby ten weekend się udał.

Aby się uspokoić, zaczęłam analizować zachowanie Dana i doszłam do wniosku, że zwyczajnie czuje się niepewny. Jechał do nie znanych mu, bardzo zamożnych ludzi, z którymi byłam na przyjacielskiej stopie, i biedak uważał, że jego pozycja uległa zagrożeniu.

Sytuacja przedstawiałaby się jeszcze gorzej, gdyby wiedział, że Angelo i ja mieliśmy krótki romans, zanim pobrali się z Jan. Poznałam go właśnie

przez nią, w swojej pierwszej pracy — byłam jej asystentką. Choć niecałe pięć lat starsza ode mnie, zdążyła już osiągnąć pozycję w branży i prawdę powiedziawszy była moim bożyszczem. (Jeśli mam być całkowicie szczerą, przypuszczam, że się w niej lekko podkochiwałam, to znaczy zanim mi przedstawiła Angela.) Rozstanie z Angelem Jan zniosła spokojnie. „Studenckiej miłości rzadko kiedy udaje się przetrwać wyzwania dorosłego życia”, oznajmiła z pogodną miną. Strząsnęła z siebie Angela tak, jak strząsa się z ramion podniszczoną dzinsową kurtkę, którą przystoi nosić w college'u, ale nie wypada, kiedy ma się już dyplom i poważną pracę. Do tamtej pory widywałam Angela tylko w towarzystwie Jan, lecz niedługo wpadłam na niego samego, na otwarciu jakiegoś baru — świątek opętanych jedzeniem naprawdę jest bardzo mały. Z grzeczności zgodziłam się wypić z nim drinka.

Zaiskrzyło między nami niemal natychmiast, jak gdyby powstrzymywane przez wzgląd na Jan uczucia nagle znalazły ujście. W niczym nieskrępowanej rozmowie wyszło na jaw, że przepadamy za tym samym jedzeniem, przyjaźnimy się z takimi samymi ludźmi, bawią nas te same rzeczy. Poszliśmy do łóżka jeszcze tamtej nocy i seks przyszedł nam równie łatwo jak rozmowa.

Postanowiłam, że nazajutrz o wszystkim opowiem Jan. Z pewnością ją to dziabnie, myślałam, ale w takiej sytuacji lepiej być uczciwym od samego początku. Liczyłam na to, że nie żywi już mocniejszych uczuć do swego byłego i że ucieszy ją, iż Angelo i ja odnaleźliśmy wreszcie swoją drugą połówkę. Wyobrażałam sobie, że pozostaniemy przyjaciółmi, a lata do przodu będziemy wspominać nasz „trójkąt” i serdecznie się z niego śmiać. Angelo jednak nalegał, bym się wstrzymała. Tłumaczył, że lepiej z tym poczekać, że po co niepotrzebnie sprawiać Jan przykrość... W rzeczywistości mówił zupełnie co innego, ale ja byłam młoda i pewna siebie i nie przeszło mi nawet przez myśl, że związek z kimś może być tak krótkotrwały i tak bez znaczenia dla jednej ze stron. Nic dziwnego, że kiedy parę dni później Jan wkroczyła do biura z szerokim uśmiechem na twarzy i oznajmiła, że ona i Angelo znów są razem, przeżyłam potężny szok. „Po prostu potrzebowaliśmy krótkiego odpoczynku od siebie”, wyjaśniła, cała promieniejąc radością.

Czułam się wykorzystana i zraniona, niemniej nie dałam tego po sobie poznać, postanawiając, że nie będę małostkowa i że pozostanę z nimi obojgiem w przyjaźni. Jako się rzekło, byłam młoda i w swej naiwności sądziłam, że świat pęka w szwach od mężczyzn takich jak Angelo. Dziesięć

lat później dotarło do mnie, że wcale tak nie jest i że znaleźć partnera, z którym czułabym więź emocjonalną, intelektualną i fizyczną zarazem, jest niezmiernie trudno.

Sama nieraz zapominałam, że z Angelem połączyło mnie coś więcej niż przyjaźń, nawet jeśli dla niego był to tylko jednorazowy skok w bok. Ale przychodziły także chwile, kiedy patrzyłam na niego i myślałam: co by było, gdyby...? A teraz czekała mnie konfrontacja dawnego kochanka z obecnym mężem — miałam szczerą nadzieję, że wypadnie na korzyść Dana. Gdzieś w głębi duszy czaił się lęk, że Dan zwietrzy pismo nosem, a może nawet już zwietrzył i dlatego zachowuje się tak niemożliwie.

Na miejscu otworzyła nam Rosa, gospodyni Orlandich, co wywołało nową falę złości u Dana (cóż, ciężko mu przychodzi korzystać z usług innych, gdyż jeszcze do niedawna to on świadczył rozmaite usługi, takie jak wymienianie żarówek czy przepychanie toalet...). Zaprowadziła nas do sypialni na górze i zostawiła samych, żebyśmy odświeżyli się po podróży. Kiedy jakiś czas później zeszliśmy na parter, okazało się, że ze spokojnego weekendu nici; w najlepsze trwało huczne przyjęcie, na które zostali zaproszeni: redaktorka konkurencyjnego magazynu (o której nie miałam zbyt wysokiego mniemania) ze swym mężem prawnikiem, fotograf z branży (którego wystawiłam kiedyś do wiatru, najpierw zamawiając jego usługi, a potem w ostatniej chwili z nich rezygnując) oraz wydawca, zaprzyjaźniony z moim agentem. Biedny Dan, pomyślałam, zanudzi się z nami na śmierć.

Menu było niewyszukane, chociaż przemyślane do najdrobniejszego szczegółu, a o jakości potraw chyba nie muszę wspominać. Mmm... Grecki ser hałoumi na ciepło, skropiony oliwą z chili, i wyborny, ekologiczny rzeź jasna, kurczak, zawinięty w cieniuteńkie plastry szynki parmeńskiej. Mniam!

— Prostota jest w modzie. — Redaktorka oznajmiła to takim głosem, że nie sposób było wyczuć, czy prawi gospodarzom komplement czy też raczej wbija im subtelną szpilę.

Jan przełknęła i skomentowała:

— „Express party” a la mode.

Wszyscy obecni wyczuli cudzysłów i się roześmiali, gdyż była to aluzja do prowadzonego przez nią programu w telewizji kablowej. Wszyscy z wyjątkiem Dana, który rzucił mi niepewne spojrzenie z nadzieją, że wyjaśnię mu, na czym polega dowcip. Niestety nie mogłam tego zrobić, ponieważ — prawdę powiedziawszy — nie uważałam powyższej wymiany zdań za zabawną.

Reszta rozmowy była dla Dana równie zrozumiała jak jej początek. Roztrząsano plusy i minusy latania pierwszą klasą w porównaniu z klasą biznes, polecano sobie restauracje do wypróbowania przy najbliższej bytności w Londynie, wymieniano nie znane nikomu poza branżą nazwiska i wieszano psy na agentach. Zdając sobie sprawę, że Dan w każdej chwili może wybuchnąć bądź też obrócić się w kupkę popiołu ze wstydu, rzuciłam w powietrze:

— Dan i ja urządzamy nową kuchnię.

— Och, to fascynujące! — zachwyciła się redaktorka i zwracając bezpośrednio do mojego męża, zapytała: — A kogo wynajęliście?

— Nikogo — odpowiedziałam za niego. — Wszystko robimy sami.

Dan wzruszył ramionami i wbił wzrok w talerz. Szlag, pomyślałam, odebrałam mu jedyną szansę, żeby się odezwał.

— Jak to? — redaktorka niemal się nie udławiła oliwką.

— Przyjaciel Dana jest geniuszem, jeśli chodzi o stolarkę — wyjaśniłam. — W naszym domu jest pełno starych mebli, które wystarczy odnowić i voilai... Całości nadajemy sznyt lat trzydziestych i pięćdziesiątych.

— Hm... — Redaktorka wciąż nie była pewna, czy mówię poważnie czy nie. — To mi wygląda na styl eklektyczny.

Zrobiło mi się przykro. Tym jednym zdaniem cały nasz trud i serce, które wkładaliśmy w stworzenie prawdziwego domu, zostały sprowadzone do czegoś tak bezosobowego jak styl.

Kiedy późnym wieczorem kładliśmy się spać, Dan odwracając się do mnie plecami, mruknął:

— Nie ma potrzeby, żebyś odpowiadała za mnie. Potrafię mówić, wiesz?

Leżałam jak trusia — na skropionym angielską lawendą prześcieradle z egipskiego lnu — i z przerażeniem myślałam, po co mi to było.

Nawet jeśli nie darzyłam wielką sympatią każdego, kto siedział dzisiaj z nami przy stole, byli to moi znajomi, z którymi miałam wspólne tematy do rozmowy i którzy się ze mną liczyli, potrafiąc docenić to, co osiągnęłam w zawodzie. Tego typu spotkania, przy stole raz jednego, to znów drugiego, były moim chlebem powszednim. Widywaliśmy się nie dlatego, że za sobą przepadaliliśmy, ale głównie po to, by nie wypaść z obiegu i by trzymać rękę na pulsie. Plotkowaliśmy, badaliśmy teren, podtrzymywaliśmy stare znajomości i nawiązywaliśmy nowe, no bo przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda? A przy tym jedliśmy i piliśmy, gdyż zwyczajnie lubiliśmy to robić. A jednak w towarzystwie Dana to wszystko nabrało innego wymiaru — po-

czułam się nieswojo w dawnej skórze. Jakbym czyniła coś złego albo przynajmniej niewłaściwego. Rozumiałam, że czuje się wśród nas dziwnie, ale nie miałam zamiaru tylko z tego powodu zmieniać swoich przyzwyczajzeń. A może powinnam? Ale to by przecież oznaczało cotygodniowe nasiadówki u jego krewnych, picie piwa z gwinta i objadanie się tłustym żarciem... Nie, za żadne skarby nie poświęcę swojej kariery!

Zasypiając wiedziałam, że następny dzień okaże się nie mniej straszny od pierwszego, lecz uznałam, że skoro ja jakoś wytrzymałam pierwszą komunię, Dan bez trudu przeżyje ten weekend. Najwyżej trochę ucierpi jego męska duma.

Rankiem wyszło na jaw, że wydawca i fotograf nie zostali dłużej, jednakże paskudna redaktorka i jej mąż nudziarz zamierzali spędzić z Orlandimi tak wiele czasu, jak tylko się da. Zauważyłam, że ta wredna małpa aż kleiła się do Jan, odstawiając w kuchni cyrk pt. „Jakie to z nas dobre przyjaciółki”, a jej mąż w tym czasie zamęczał Angela. Dan wyczuł pismo nosem i po prostu się zmył — z Rosą i dziećmiakami Orlandich, które pokochały go od pierwszej chwili, dokazywał na dworze. Wiedziałam, że unika nie tylko bubkowatych jego zdaniem gospodarzy oraz ich nieciekawych gości, ale także — a może nawet przede wszystkim — mnie. Tego dnia pożywialiśmy się dzięki redaktorce, która naprzywoziła cudów i wystawiła je w postaci bufetu. Podwójny suflet z koziego sera w porach, pomidory zapiekane w balsamicznym sosie itede, itepe. Nazwy były równie wymyślne i niestrawne jak potrawy, a znam je stąd, że przy każdym półmisku i salaterce tkwiła tabliczka ze złożonymi literami. Niesmaczne? Jeszcze jak!

Sięgnęłam po najskromniejsze danie — krewetkę królewską z przybraniem, które wydawałoby się zbyt obfite na gali wręczania Oscarów — i wyjrzałam przez okno w poszukiwaniu Dana. Kiedy go wreszcie dostrzegłam, na barana trzymał Julianę, Carlosa zaś za rączki, tak że maluch wirował w powietrzu. Całej scenie z przerażoną miną przyglądała się Rosa. Gdybym mogła, uspokoiłabym ją mówiąc, że z Danem dzieci są zupełnie bezpieczne. Taki już był: zabójczo przystojny, choć nie lalusiowaty, i o złotym sercu.

— Hej! — Angelo zaszedł mnie od tyłu i zagadnął swym chropawym, niebezpiecznym głosem. — Chcesz coś zobaczyć? — Ponoć w szklarni miał rzadki okaz *Eruca vesicaria*, którego widokiem pragnął się ze mną podzielić.

W życiu nieczęsto zdarzają się takie filmowe momenty — ten niewątpliwie był jednym z nich i uderzył mnie z pełną mocą. Pieściłam

palcami delikatne listki poszukiwanego przez wszystkich zioła, a chwilę potem rękę Angela. Ułamek sekundy później spojrzeliśmy na siebie i nim zdążyliśmy pomyśleć, co robimy, zatopiliśmy się w pocałunku. Niemal bezwiednie, powodowani tylko instynktem. Cóż, wspominałam przecież, że zawsze między nami iskrzyło... I choć to się powinno skończyć dawno temu — wraz ze ślubem Angela i Jan, a zwłaszcza wraz ze ślubem moim i Dana — wciąż na siebie działaliśmy. Mówiliśmy tym samym językiem, rozumieliśmy się w pół słowa. Teraz także oderwaliśmy się od siebie z trudem, oczyma nakazując sobie nawzajem dochowanie sekretu; miło było ukrywać nasz flirt sprzed lat, jeszcze, milej zaś — go odnowić, coś z tego, że na tak krótko.

Ta chwila namiętności przypomniwała nam, że choć oboje jesteśmy związani z kim innym, nadal pozostajemy otwarci na to, co przynosi nam życie. Jeden skradziony niedługi pocałunek to nic wielkiego, prawda? Mało kto odmówiłby sobie przyjemności powrotu do nałogu wiedząc, że jest bezpieczny, a nikomu postronnemu nie stanie się z tego powodu krzywda. A jednak kiedy wróciłam do salonu i ujrzałam Dana, poczułam mdłości. Wszedł właśnie do środka, żeby mi coś powiedzieć, i wymieniliśmy szybkie spojrzenia — jego pytające, moje pełne poczucia winy. Chociaż byłam lekko wstawiona, jestem pewna, że mi się to nie przywidziało.

Przez resztę dnia Dan stronił od kieliszka, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że po kolacji czy późnym obiedzie (w zależności jak na to patrzeć) wracamy do domu, on prowadzi i nie ma dyskusji. Tuż przed deserem wymknęłam się na górę do łazienki, a chwilę potem dołączył do mnie Angelo. Ten od rana nie żałował sobie alkoholu, chociaż przypuszczam, że nieco przesadzał i grał na mój użytek.

— No, Tressa — wybełkotał — przecież tego chcesz. Czemu mamy sobie odmawiać?...

— Zwariowałaś, Angelo?! W łazience? Z Danem i Jan pod naszymi stopami? — A twoimi dziećmi w pokoju obok, ty zboczeńcu? mogłabym dodać, ale się powstrzymałam.

Popatrzył na mnie niedowierzająco, lecz gdy zobaczył w moich oczach, że nie ma mowy o negocjacjach, natychmiast ochłódł i wzruszając ramionami, rzucił przez zęby:

— Twoja strata! — po czym okręcił się na pięcie i już go nie było.

Po jego wyjściu zorientowałam się, że cała drzę. Parę długich chwil zajęło mi, nim się uspokoiłam, a wtedy przyszło smutne olśnienie: to koniec.

Dwadzieścia lat znajomości, ba, przyjaźni nawet, należy do przeszłości. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Nie chciałam mieć nic wspólnego z tym rzekomo cudownym, a w rzeczywistości pustym życiem, w którym pozornie oddany mąż i ojciec próbuje zerznąć przyjaciółkę żony w łazience, bo jest bogaty i uważa, że mu wolno. Z życiem, w którym ludzie są zbyt zajęci robieniem szumu wokół siebie, aby zdążyć na ślub starej znajomej. Z żalnością uświadomiłam sobie, że ja też tak żyłam, że przez lata brałam udział w tej farsie, że jeszcze przed paroma godzinami pocałunek Angela nie tylko mi nie przeszkadzał, ale wręcz sprawiał przyjemność. Poczułam obrzydzenie do siebie samej. Przecież teraz mam Dana, myślałam chwytając łąpczywie oddech i próbując zetrzeć z twarzy wyraz winy. Pragnęłam pewności, którą miałam decydując się na ślub z Danem i która z jakiegoś powodu zamieniła się w pewność co do wystroju kuchni, nie obejmowała już jednak mojego męża. Gdzież się ona podziała?

Jan była bardzo rozczarowana, że wyjeżdżamy tak wcześnie, Angelo zaś jakby nigdy nic pożegnał mnie dotykając mojego policzka swoim i obdarzając obojętnym spojrzeniem, które mówiło, że wie, iż już nigdy się nie spotkamy, i że ma to gdzieś.

Podróż powrotna upłynęła nam w milczeniu.

W domu zastaliśmy puste pudełko po pizzy, zostawione tam przez Gerry'ego, wraz z ledwie czytelną informacją: „Jestem w barze”. W holu wciąż stała jego walizka, jednakże mogło to zapowiadać zarówno jego rychły powrót, jak i dłuższą nieobecność — z ludźmi pokroju Gerry'ego nigdy nic nie wiadomo. Dan pierwsze kroki skierował na górę, do łazienki, żeby wziąć prysznic po długim i męczącym dniu, ja zaś przeszłam do kuchni w nadziei, że kiedy znów ujrzę moje „dziecko”, mój projekt, wszystko się ułoży, a ja zapomnę o tym, że weekend, po którym spodziewałam się ostatecznych odpowiedzi na gnębiące mnie od niemal pół roku pytania, okazał się totalnym fiaskiem. Pytań przybyło, nastrój nie poprawił się ani o jotę.

Zresztą jak mogłam oczekiwać, że parę dni cokolwiek zmieni na lepsze? Przecież to właśnie okres przed wyjazdem do Irvington przyniósł poprawę — moje małżeństwo po raz pierwszy od dnia ślubu zaczynało mieć ręce i nogi. Na co mi byli Orlandowie? wyrzucałam sobie w duchu. Przecież uczuciem szczęścia napawała mnie nie serwantka kropka w kropkę przypominająca mi kuchnię Babci ani nie stworzona z komórki spiżarnia z prawdziwego zdarzenia czy też fikuśny, iście zabytkowy czajnik, ale to, że

pracowałam z Danem ramię przy ramieniu, śmiałam się z nim i kochałam, coraz bardziej wchodząc w rolę żony.

Bez tego moja kuchnia jest tylko składowiskiem szafek bez duszy.

RS

Trud

Jeśli dawanie przychodzi ci z trudem, staraj się dawać więcej.

Chleb powszedni

Dziwnie jest mi spisywać ten przepis, gdyż chleb to coś, co po prostu robi się każdego dnia, niewiele o tym myśląc. Nikomu by nawet nie przyszło do głowy zapisywać rad dotyczących obierania kartofli czy warzenia zupy. Oczywiście każda gospodyni zarabia ciasto nieco inaczej, składniki i ich ilości czerpiąc z głowy. Tego dnia można być bardziej szczodłą i dodać do powstającej masy garść suszonych owoców albo odrobinę tłuszczu, tamtego znów wstać lewą nogą i wszystko robić w pośpiechu. Jednakże nie sposób zapomnieć, ile należy wsypać, mąki i wlać maślanki — to jednak przychodzi wraz z doświadczeniem.

Gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że przez całe życie chleb robiły moje dłonie, nie ja. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym ubrać w słowa instrukcji, krok po kroku, jak się do tego zabrać. Wiem tylko, że z każdym mijającym rokiem chleb, jaki wyjmowałam z pieca, był bardziej zwarty i po prostu lepszy. Dziadka niemal otrułam, Twoja matka ledwie przeżyła moje eksperymenty, a Ty, droga Tresso, Ty jak zwykle dostałaś to co najlepsze. Jeśli naprawdę chciałabyś nauczyć się piec irlandzki chleb na sodzie, rób go tak często, aż poczujesz, że jest to dla ciebie naturalne niczym chodzenie i mówienie. Z góry Cię jednak uprzedzam, że to nudne zajęcie, czasem — zwłaszcza na początku — nader frustrujące, tak więc sama musisz ocenić, czy warto się go podejmować.

Wszakże jeśli uznasz, że tak, oto przepis:

Wsyp do miski około pół kila mąki — pszennej albo żytniej, łyżeczkę sody oczyszczonej i dolej do tego tyle maślanki, żeby ciasto było wilgotne, ale nie za mokre. Do tak zarobionej masy możesz dodać łyżkę masła albo innego tłuszczu jadalnego, suszone owoce, czubatą łyżeczkę cukru albo miodu, szczyptę soli, otręby, płatki owsiane — cokolwiek, co przyjdzie Ci do głowy i Twoim zdaniem nadaje się do zjedzenia. Tak zarobione ciasto przełóż do formy oproszonej mąką i piecz w gorącym piecu przez mniej więcej godzinę. Aby sprawdzić, czy chleb jest gotowy, wysuń blachę i postukaj go palcem —

jeśli wyda głuchy, pusty dźwięk, pieczenie dobiegło końca. Natychmiast po wyjęciu z pieca owiń go czystą płócienną ściereczką i pozostaw w spokoju przez jakieś trzydzieści minut, żeby nie dostał zakalca.

RS

Rozdział dwudziesty

Irlandia, 1954

To prawda, że życie bywa ciężkie, a jednak to my często czynimy je we własnych oczach cięższym, niż jest w rzeczywistości.

Moja matka musiała przejść na przełaj dwa pola, żeby zaczerpnąć ze studni czystej wody — i robiła to dwa razy dziennie. Gotowała na otwartym ogniu, od którego sadzy uczerniła sobie wszystkie spódnice. Ramiona miała silne i żylaste od ciągłego noszenia ciężarów. Im była starsza, tym więcej śladów po oparzeniach miała na wewnętrznej stronie dłoni w tych miejscach, gdzie nieopatrznie dotknęła rozgrzanej rączki patelni czy ucha garnka. Będąc małą dziewczynką, a potem dorastającą panienką nigdy nie zauważałam jej ciężkiej doli; po części dlatego, że nikt mi na nią nie zwrócił uwagi, po części zaś z tego powodu, że taki los był udziałem wszystkich kobiet w wiosce. Matka do tego była służalcza z natury i wszelkie cierpienia znosiła z podziwu godną cierpliwością. W jej wizji świata życie było ciągłą pokutą — im więcej się nacierpi na tym padole, tym większego szczęścia zazna się na tamtym świecie. Życie nie było po to, by czerpać z niego radość czy nie daj Boże przyjemność, lecz po to, by nieustannie służyć. Tak to widziała.

Ojciec dokładał jej zmartwień i trosk. Wyzywał ją i szydził z niej po pijanemu, jak to mieli w zwyczaju prawie wszyscy mężowie, lecz z tego co wiem, tylko raz podniósł na nią rękę. Na jego nieszczęście stało się to wtedy, kiedy była brzemienna ze mną, i w konsekwencji zebrał nieliczne cięgi od czterech jej braci, którzy złożyli mu wizytę nazajutrz, wywlekli w pole za domem i tak długo okładali sękatymi kijami, aż niemal wyzionął ducha. Sama mi o tym powiedziała tego samego dnia, kiedy ojciec ciężką ręką skarcił przy kolacji mojego brata Patricka, tak że ten wylądował na klepisku, z trudem tłumiąc łyzy bólu i upokorzenia, chociaż gwoli sprawiedliwości nie zasłużył sobie na to. Patrick działał ojcu na nerwy, ponieważ był nieprzeciętnie uzdolniony. Zdołał uzyskać stypendium do położonej niedaleko szkoły z internatem dla chłopców, jednakże ojciec nie chciał go puścić, tłumacząc to tym, że rodziny nie stać na kupno wymaganego regulaminem stroju uczniowskiego i książek, które nawet stypendyści musieli organizować własnym sumptem. Kiedy o decyzji ojca dowiedziano się w szkole, z petycją przyszedł do naszego domu sam ksiądz proboszcz, zapewniając, że parafia pokryje wszelkie niezbędne koszty edukacji chłopca. Patrick był wrażliwym i bardzo religijnym dzieckiem i moja matka wierzyła,

że mógłby zostać nawet duchownym. Ojciec wszakże pozostał niewzruszony, z czystej głupoty i upartości, odpowiadając, że czternastolatkowi nie potrzeba więcej nauk i że bardziej przyda się w polu. Matka ciężko to przeżyła; zawsze marzyła, by jeden z jej synów przywdział sukienkę duchowną, toteż niełatwo jej było się pogodzić z takim rozczarowaniem. Potem nadal okazywała ojcu szacunek, lecz za jego plecami go obgadywała — głównie przede mną. Dzielila się ze mną niesamowitymi opowieściami o okrucieństwach, których się dopuszczał, okraszając je w miarę potrzeby szczegółami, żebym tylko nie miała złudzeń, jaki z niego potwór.

W takiej małej społeczności, jaką była parafia Achadh Mor, i z jedyną siostrą za Wielką Wodą matka nie miała wielu potencjalnych słuchaczy i musiała zadowolić się uszami swej nieletniej córki. Zresztą przypuszczam, że nawet gdyby ciotka Ann nie wyjechała do Ameryki, matka nic by jej nie powiedziała — przecież kiedy miała jedyną sposobność otworzyć się przed siostrą i wyzalić na swój ciężki los, gdy ta przyjechała z wizytą, nie uczyniła tego. Matka była dumną kobietą i choć jak każdy potrzebowała się podzielić troskami z drugą osobą, za nic nie zdradziłaby się przed kimś, kto powierzone sekrety mógłby wykorzystać przeciwko niej. Ja nie stanowiłam takiego zagrożenia, jej zaś wystarczało od czasu do czasu się wygadać, gdyż i tak nic nie mogła zrobić, by odmienić swoją dolę. W tamtych czasach nie odchodziło się od męża — bez względu na to jak bardzo się go nienawdziło i ile się od niego wycierpiało. Cnotą było spuszczać głowę i cierpieć, wytrzymać jak najwięcej z tego, co zechciało przynieść życie. Z kolei pytlowanie językiem na własnego męża postrzegane było jako grzech, a do tego oznaka słabości — moja matka z pewnością chciała uniknąć tego rodzaju łatek. Mnie jednak jej obiekcje nie dotyczyły i tak poniekąd stałam się ofiarą ofiary, a nie od dziś wiadomo, że dzieci są w stanie wybaczyć rodzicom wiele, lecz jednak nie wszystko.

Pamiętam, że kiedy matka opowiadała mi, jak to jej bracia pobili mojego ojca do nieprzytomności, oczy błyszczały jej dumą, zaraz wszakże pośpieszyła mnie zapewnić, iż było to absolutnie konieczne, gdyż w przeciwnym razie, przy następnej okazji, ojciec tłukąc ją na kwaśne jabłko, pozbawiłby mnie życia w jej łonie. W miarę opowieści nabierałam jeszcze większej obawy względem własnego ojca, którego — Bóg mi świadkiem — bałam się już wystarczająco mocno, a do tego zaczęłam unikać przebywania

z matką sam na sam. Wszelako następne lata i tak zaowocowały tym, że utraciłam dobre mniemanie o obojgu rodzicach.

Matka, nieszczęśliwa w swoim żalonym życiu do granic, otuchy szukała w wierze katolickiej, co oczywiście rozwścieczało ojca, gdyż w szrankach z Bogiem, a nawet proboszczem nie miał żadnych szans. Mąż był jej panem i władcą w każdej chwili życia z wyjątkiem tych, które spędzała w kościele (a pilnie uczęszczała na msze i aktywnie uczestniczyła w życiu parafii), no i wtedy kiedy w tajemnicy przed nim zwierzała się mnie. O ile dzięki naszym „rozmowom” od czasu do czasu zrzucała kamień z serca, to od Kościoła nie otrzymywała w zamian prawie nic. Skądinąd wiedziałam, że ktoś o niezłomnym duchu i silnej wierze może przetrwać zgoła wszystko, a w wypadku mojej matki był to nie tylko alkoholizm ojca, ale także doskwierająca bieda i nieziemski trud wychowania kilkorga dzieci w takich warunkach. Niestety matka, choć bardzo religijna, miała niewiele wiary i od dawna złamanego ducha, toteż jedyne co jej pozostało, to gromnice i zdrowaśki, których chwytala się niczym tonący brzytwy, zresztą z podobnym efektem.

* * *

Wszyscy moi bracia opuścili Achadh Mor. Declan i Brian wyjechali do Birmingham, gdzie znaleźli sobie żony i założyli rodziny, Patrick zaś udał się do Londynu i wszelki śluch po nim zaginął. Pamiętasz, Tresso? Kiedy byłaś małą dziewczynką, przyszedł do mnie i do Dziadka list z londyńskiej policji. Informowano mnie w nim, że Twój wuj Patrick zmarł w przytułku w Camden Town. Wśród swoich rzeczy miał wyświechtaną kartkę z moim panińskim nazwiskiem i adresem — być może miała mu służyć za przypomnienie, że gdzieś daleko ma jednak rodzinę, a może w ten sposób poczynił na zaś przygotowania do odejścia — któż to może wiedzieć? Zmarnowane życie... Mógł zostać lekarzem albo nauczycielem, albo nawet księdzem, tak jak życzyła sobie moja matka — i zostałyby, gdyby tylko ojciec dał mu szansę na dalszą edukację. Tymczasem okazało się, że jedyne co Patrick od niego kiedykolwiek otrzymał, to złe geny i smutek, które doprowadziły go w pierw do alkoholu, a później do marnego końca. Szkoda, że niektórzy ludzie, zbyt delikatni od urodzenia, nie są stworzeni, by przetrwać.

Declan i Brian odwiedzili Achadh Mor dwukrotnie w ciągu dwóch dekad; przyjechali z angielskimi żonami, które wydawały nam się zupełnie obce, i dziećmi, które nie rozumiały po irlandzku. Oczywiście cieszyliśmy się z tych

wizyt, ale wszyscy czuliśmy się nieswojo. Nie było ich zbyt długo, na drodze życia zgubili się gdzieś niezgrabni chłopcy, z którymi przekomarzałam się jako mała dziewczynka... Byli wobec mnie ujmująco uprzejmi, co chyba jest najgorszą obelgą, jaką siostra może otrzymać od brata.

Na pogrzeb matki przyjechał tylko Brian. Reprezentował klan Moranów na obczyźnie, jak to określił. Powiedział także, iż próbowali skontaktować się z Patrickiem i że im się nie udało, co powinniśmy byli odebrać jako pierwszy sygnał, że coś jest nie tak. Pamiętam zażenowanie, jakie czułam stojąc nad mogiłą matki — wstyd mi było, że tak niewielu członków najbliższej rodziny stawiało się ją pożegnać w drodze do lepszego świata. Cóż, nasza matka cierpiała za nas, ale cierpiętnictwo to jeszcze nie miłość i trudno oczekiwać jej w zamian. Całe życie czuliśmy się obarczeni brzemieniem jej cierpienia i to właśnie dzień po dniu zabijało naszą miłość.

Długie lata obawiałam się, że stanę się taka jak moja matka. To dlatego tak bardzo chciałam wyjechać do Ameryki i dlatego uczepiłam się Michaela i żywionego doń uczucia. Przerażeniem napawała mnie sama myśl, że mogę skończyć jak moja rodzicielka — w biedzie i z niekochanym człowiekiem u boku. Na starość nieraz próbuję wrócić do niej wspomnieniami i odkopać w pamięci coś — cokolwiek — co świadczyłoby, że jej życie nie poszło na marne, że zostawiła po sobie coś więcej niż trójkę obcych sobie dzieci i kilkoro wnuków — i nie potrafię. Jedyne co mam przed oczyma, to jej ściągnięta smutkiem twarz. Kąciki ust opuszczone w wiecznym grymasie niezadowolenia, głębokie bruzdy biegnące przez policzki i czoło — maska, albo lepiej: mapa jej nieszczęścia. Staram się w sobie wykrzesać odrobinę uczucia. „Moja biedna stara matka” — myślę, lecz wszystko na nic. Więcej uczucia mam dla świekry, którą znałam niespełna rok, czy nawet dla zdradliwej ciotki Ann...

Mimo to, miło całej tej wiedzy i obaw, na swój sposób upodobniłam się do matki, tyle że nigdy nie grzeszyłam cierpliwością świętej tak jak ona. Zdarzało mi się skarżyć bez powodu, a to że chodnik zaproszony okruszkami, a to znów że potłukła się filiżanka, chociaż prawdziwa przyczyna narzekań tkwiła znacznie głębiej. Miałam za męża dobrego, pracowitego człowieka, który darzył mnie szczerą miłością i zrobiłby wszystko co w jego mocy, by nie przytrafiło mi się nic złego, a jednak narzekałam na los. Zawsze pragnęłam zmiany, ulepszeń — nie tyle z nudy czy z powodu ciężkich warunków życia, których u boku Jamesa przecież nie zaznałam, ile dlatego, że czułam się oszukana, pozbawiona złudzeń i

możliwości spełnienia dziewczyńskich marzeń. Och, kochałam córkę, w końcu na swój sposób pokochałam także męża, nie mogłam zaprzeczyć, że prowadzę udane życie, a jednak ciągle było mi mało. W miarę upływu lat moje pragnienia stawały się coraz niedorzeczniejsze, aż w końcu — nie tak znowuż dawno — wreszcie je zarzuciłam. Mój księżę z bajki, mój rycerz na białym koniu, miał do mnie nigdy nie powrócić, nigdy nie miałam prowadzić domu hollywoodzkiej gwiazdy ani tym bardziej wirować na scenie przy Park Avenue ubrana w różową satynową suknię.

Przez większą część swojego życia na zawołanie potrafiłam oderwać się od codzienności i uciec w świat fantazji — w świat swoich marzeń — gdzie zawsze świeci słońce, ja zawsze się uśmiecham, a w pobliżu zawsze jest Michael. Dopiero w okolicach czterdziestki utraciłam tę umiejętność śnienia na jawie, zniknęły gdzieś obłoki, w których bujałam, i odtąd ilekroć zamykałam oczy, by oddawać się swej niewinnej z pozoru zabawie, nie widziałam słońca ani palm, ani obejmującego mnie młodzieńca, tylko własną twarz, która zdawała się mówić: „Ależ z ciebie idiotka! Dałabyś wreszcie spokój, co?” Im robiłam się starsza, tym mocniej stąpałam po ziemi. Hm... Być może to nasze marzenia czynią nas młodymi, myślę teraz. Pewnie, że staruszka rozpaczliwie czepiająca się młodości wygląda żałośnie, ale i tak jest chyba szczęśliwsza od tych kobiet, które przedwcześnie dały za wygraną i zamieniły się w stetryczale truchła. Mnie proza życia dopadła mniej więcej w połowie drogi. Widząc zachodzące we mnie zmiany wymyślałam cuda, by zawrócić nieubłagany bieg czasu: zmuszałam Jamesa, by zabierał mnie częściej do Dublina, przemeblowywałam dom, kazałam kłaść nową tapetę... wskutek moich zachcianek założyliśmy sobie elektryczność i obudowaliśmy kominek — wszystkiego jednak nie było dość.

Tak, teraz to przyznaję: byłam znudzona. Budziłam się z myślą, że do końca życia nic się nie zmieni, że zawsze już będzie tak samo. Będę mieszkać w t y m domu, u boku tego mężczyzny. (Według mnie tylko Niamh mogła się nigdy nie zmienić i pozostać dzieckiem, jednakże to ona właśnie dorastała, przeistaczała się i wkrótce miała nas opuścić.) Przed sobą widziałam niekończące się pasmo codziennych rytuałów — praca w domu i obejściu, poprawianie zadań domowych, urządzenie herbatek dla rodziców uczniów, gotowanie posiłków, msza, pieczenie chleba w każdy dzień z wyjątkiem niedzieli... dobrze znane, lecz narzucone i niechciane obowiązki. Małżeństwo na wieki wieków, amen.

Przypominam sobie, że przy którejś kolacji przyglądałam się Jamesowi, kiedy smarował sobie kromkę chleba, przeciągając po niej nożem z lewej do prawej, z lewej do prawej, i miałam go tak serdecznie dość, że chciało mi się wyć i tupać nogami. Dzień w dzień będzie tak przy mnie smarował ten nieszczęsny chleb z lewej do prawej — przez ile jeszcze lat? Wolałam nie liczyć. Z trudem powstrzymałam się, by w niego nie cisnąć talerzem — po to, by przerwać ten ruch, irytujący mnie do granic, oraz by zetrzeć z jego twarzy wyraz zadowolenia, od którego powoli zaczynałam się dusić. Bardzo możliwe, że gdyby nie Niamh, posłuchałabym podszeptu szatana — a może anioła stróża? — i jednak rzuciła w męża tym talerzem. Do dziś zastanawiam się, jaki skutek by to przyniosło, czy moje życie odmieniłoby się na gorsze czy na lepsze?

Nie odważywszy się tego zrobić, nazajutrz zabrałam się do bielienia kurnika.

Dręczące mnie pragnienie dramatycznej zmiany nie znalazło spełnienia jeszcze przez pewien czas, wystawiając moją i tak kiepską cierpliwość na ciężką próbę.

RS

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nowy Jork, 2004

Dlaczego tak jest, że kiedy ma się coś wprost pod nosem, wcale się tego nie dostrzega? Choćbym stanęła na głowie, nie potrafię zrobić chleba Babci Bernadine, a przecież tyle razy widziałam, jak zagniata ciasto przy kuchennym stole w Fal Iochtar. Robiła to dzień w dzień — ostatni bochenek w tygodniu piekła w sobotni wieczór, tak by w niedzielę móc pospać nieco dłużej i po wstaniu nie zaprzętać sobie głowy niczym innym jak tylko przygotowaniami do mszy o jedenastej.

Całymi latami nie dawałam za wygraną, próbując w myślach odtworzyć krok po kroku każdy jej ruch, każdy gest, dzięki któremu powstawał chleb wyborny i jedyny w swoim rodzaju, lecz gdy w efekcie swych prób otrzymywałam coś niewiadomego kształtu i smaku, w końcu musiałam się pogodzić z porażką.

Nie dają mi spokoju wspomnienia zapachu snującego się po domostwie Dziadków, podczas gdy żar z pieca zasnuwał mgiełką pary wewnętrzną stronę szyb (dla zaczerpnięcia oddechu stawałam w uchylonych tylnych drzwiach). Pamiętam, jak podrygiwałam niespokojnie u boku Babci, kiedy odwijała ściereczkę z przestudzonego bochenka i sięgała po nóż o nadpalonym trzonku i ostrzu tak cienkim od ciągłego ostrzenia na osełce, że niemal wkłęśłym. Nie odrywałam oczu od Babcinych dłoni, gdy odkrawały grubą pajdę i smarowały ją świeżym masłem, które na moich oczach topiło się na wciąż letnim mięszu. Mimo że minęło tyle lat, nadal czuję w ustach smak chrupiącej skórki, słono-kwaśny z domieszką słodczy od dżemu, zabawnie ślizgającego się na maśle.

Moje kubki smakowe szaleją z rozkoszy, a ślinianki podejmują wzmożoną pracę na samo wspomnienie, tym bardziej więc żałuję, że nie jestem w stanie powtórzyć cudu kreacji. Do licha! myślę sobie. Dlaczego nie przypatrywałam się uważniej? Czy to nie dziwne, że jedyne co w dalszym ciągu widzę oczyma duszy, to jak Babcia przebiega czubkami palców po blacie stołu i zbiera niesforne kawałki ciasta, by dodać je do wyrobionej już masy? „Chleba się nie wyrzuca”, mawiała. Pewnie miała rację, toteż jest mi wstyd, że zmarnowałam całą górę mąki i hektolitry najlepszej maślanki, jaką byłam w stanie zdobyć, wszystko na próżno.

A może jednak nie? W ramach pokuty postanowiłam zabrać swój nieudany wypiek, idąc do teściowej na obiad w najbliższą niedzielę. W

kolejną niedzielę. Sama nie mogłam uwierzyć, że się na to zgodziłam — jakby ten pierwszy niedzielny obiad w rodzinnym gronie nie okazał się całkowitą klapą. Po komunii Deirdre nie miałam już złudzeń: ja i Eileen to ogień i woda, więc lepiej nas nie mieszać. Potem niestety przyszły urodziny któregoś z siostrzeńców, jakaś rocznica, pierwszy grill w sezonie i tak dalej, i tak dalej. Dan posunął się nawet do tego, że wyciągnął mnie do jaskini lwa, a raczej lwicy, pod pretekstem, że lwica czuje się samotna po tym, jak Kay i Connie udały się na trzytygodniowe wakacje. Dałam się nabrać: zrobiłam dobrą minę do złej gry i naszykowałam koszyk pełen pyszności, żeby (przynajmniej kulinarnie) rozerwać starszą panią, lecz nie dano mi szansy — na miejscu jak zwykle grasowała horda krewnych. Tak czy inaczej ta niedziela miała być siódmą z kolei — „siedem” jak w „siódmy krąg piekieł”. Nasze wizyty u mamy Mullins stały na porządku dziennym, tak że za wielki zaszczyt poczytywałam sobie, kiedy miałam święty dzień dla siebie (a chyba powinno być na odwrót, prawda?). Początkowy strach uległ stłumieniu, jego miejsce zajął zdrowy sarkazm. Ciekawe, co będzie do jedzenia? zapytywałam siebie (rzadziej Dana). Czy czeka nas ucztą złożona z kotletów jagnięcych z rusztu, w rozmarynie, czerwonym pieprzu i na liściach szpinaku? A może będzie to pstrąg podany z młodą marchewką w sosie pistacjowym i z młodymi ziemniaczkami? Ewentualnie tradycyjny rostbef, pudding i warzywa na ciepło? Marzenia ściętej głowy. Znowu zostaniemy uraczeni spieczonym na wiór kurczakiem leżącym nogami do przodu wśród kupnej sałatki ociekającej zabójczym majonezem. W takiej sytuacji jakoś mojego chleba powinna być najmniejszym z moich zmartwień.

Znacznie bardziej powinno bowiem martwić mnie to, że powoli zaczynałam się do tych obiadków przyzwyczajać. Dan cieszył się jak mały chłopiec, że odwiedzamy jego rodzinę prawie co tydzień, a ja przestawałam mieć siłę, by protestować. Wystawiona na częsty kontakt z Mullinsami i wytworami ich rąk traciłam nie tylko zdolności krytyczne, ale i zdrowy rozsądek. Któregoś razu na przykład specjalnie nie zjadłam w domu śniadania, żeby móc coś przełknąć „w gościach”. Skończyło się na tym, że głodna jak sto diabłów pożarłam tyle kiełbasek, ile sama ważę — i jakoś to przeżyłam! Wizyty nadal nie sprawiały mi przyjemności, ale przy odpowiednim podejściu byłam w stanie je przetrwać. Zresztą kosztowałyby mnie zbyt wiele zachodu, żeby się od nich wykręcić; musiałabym udawać chorobę albo stoczyć walkę na argumenty, a zwyczajnie nie mam na to ochoty. Prawdę powiedziawszy, zaczyna mi brakować pary, no i te

cotygodniowe spotkania jakby weszły mi w krew... Stałam się pełnoprawnym członkiem najbardziej dysfunkcyjnej rodziny, jaką kiedykolwiek widziałam.

A ja całe życie myślałam, że miałam popaprane dzieciństwo! Teraz jednak zaczynam rozumieć, że niespełniona artystka w roli matki i zero ojca to jeszcze nie najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić. Zawsze czułam, że jestem kochana, ojca zastępował mi Dziadek, a z matką miałam niezły kontakt — do tego stopnia, że wszystkie szkolne koleżanki mi zazdrościły. Kiedy teraz na to patrzę, dociera do mnie, że mówienie do matki po imieniu i wymienianie się z nią ciuchami to całkiem fajna sprawa.

W rodzinie Dana jest inaczej. Wszyscy są dla siebie diabelnie mili, obowiązują konwenanse, a jednak człowiek czuje się dziwnie i jakby... obco, właściwie bez powodu.

No nie, powód jest. Eileen. Zimna kobieta lubująca się w krytykowaniu wszystkiego i wszystkich, zmuszająca swoje dzieci do odwiedzin po to tylko, by mogła w nie wmusić niezdrową żywność i spoglądać z góry na synowe. Brr...

Kiedy zajechaliśmy na miejsce, ojciec Dana i tym razem siedział jak mysz pod miotłą, oglądając telewizję i zapewne modląc się w duchu, żeby wszyscy dali mu święty spokój. Najmilszych z całej gromady Kay i Connie nie było (wciąż wojażowały lub jak kto woli, były na gigancie z twierdzy Alcatraz). Joe, młodszy brat Dana, nie był porywającym rozmówcą, potrafił głądzić wyłącznie o interesie, który prowadził (sklep auto-moto), a jego żona Sara, choć z wyglądu miła i ciepła, też nie miała wiele do powiedzenia — uśmiechała się tylko i kiwała głową, cokolwiek się działo. Z kolei Tom, starszy od Dana o rok, a grubszy lekko dwa razy, nudził na temat rynku nieruchomości, zza zwałów tłuszczu nie zauważając, że jego ślubna, Lavinia, łakomie popatruje na mojego męża. Nie wiedziałam, czy mam się czuć zagrożona czy też nie, ponieważ nie do końca znałam gust Dana (Lavinia łączyła w sobie cechy naszpikowanej kolagenem czterdziestki i głupiutkiej podfruwajki). Mogłabym ciągnąć tę wyliczankę w nieskończoność, każdemu wynajdując następne wady, ale po co? Sprawa sprowadza się do tego, że oni wszyscy działają mi na nerwy.

Jeszcze w samochodzie próbowałam przemówić Danowi do rozsądku. Niestety podróż trwała zaledwie dziesięć minut, z czego pierwszych pięć straciłam na zastanawianie się, jak ogłędnie wyrazić to, co czułam. Zajęło mi to następne dwie minuty, Dan przez pełne sześćdziesiąt sekund myślał nad

odpowiedzią, a potem przez resztę czasu kłóciliśmy się. Cała rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

— Dan, czy nie uważasz, że moglibyśmy spędzać więcej czasu tylko we dwoje? — zaczęłam dyplomatycznie, jak radzą poradniki.

— Hmm? — Dan udał, że nie rozumie, o co mi chodzi, mimo że podobną rozmowę przeprowadzaliśmy już niejedyn raz. Czyżby chciał, żebym wywaliła kawa na ławę i powiedziała: „Nienawidzę twojej matki!”?

— Widzisz, ja naprawdę lubię twoją mamę i w ogóle, ale...

Oho! Okręciłam sobie pętlę na szyję. Żadnego zdania o teściowej nie wolno zakończyć słowem „ale”. Twarz Dana ściągnęła się w brzydkim grymasie i już, już miałam wycofać się rakiem, kiedy nagle uderzyła mnie myśl: mam gdzieś ciebie i twoją rodzinę! Ta podła krowa jest dla mnie wredna, odkąd mnie poznała. Zaprasza nas do siebie co niedziela, a potem ignoruje moją obecność, nawet wtedy gdy odbiera ode mnie koszyk z nie wiadomo po co przygotowanymi przeze mnie potrawami, jakbym była śmierdzącym powietrzem. Nienawidzę jej i przy okazji ciebie, za to, że nie masz odwagi stanąć w mojej obronie, aie najbardziej nienawidzę samej siebie, bo na własną prośbę wzeniłam się w rodzinę tej małpy patentowanej! Oczywiście nie mogłam tego wszystkiego powiedzieć, więc jęłam usilnie rozmyślać, jak by to samo ubrać w inne słowa, ale nim zdążyłam cokolwiek wymyślić, byliśmy już pod domem Mullinsów.

— Ale co? — chciał wiedzieć Dan.

Co za drań! W środku aż się cała gotowałam, ale przecież nie mogłam wybuchnąć tam, w samochodzie, na progu jego domu rodzinnego. Musiałam wziąć się w karby, wejść jak gdyby nigdy nic, jakoś przeżyć najbliższe parę godzin i dopiero potem, po powrocie do siebie, wygarnąć mu prosto z mostu, co o tym wszystkim myślę, gdyż już nigdy — przenigdy — nie dam się wrobić w to rodzinne piekielko. Uśmiechnęłam się blado i odparłam:

— Nic — po czym odpięłam pas bezpieczeństwa, okręciłam się na siedzeniu i wysiadłam z samochodu. Dan nie miał innego wyjścia, jak ruszyć za mną.

Drzwi otworzyła Lavinia.

— Cześć! — zaszczebotała, trzepocząc rzęsami i obciągając top, tak że biust jej niemal wyskoczył z dekoltu. — Cześć, Dan!

Naturalnie Dan był wniebowzięty, że ma taką miłą bratową, a mnie ogarnęła wściekłość, że tak mało trzeba, aby zapomniał o wiszącej w powietrzu awanturze.

Wewnątrz okazało się, że do całego zgrupowania dołączyło jeszcze małżeństwo z sąsiedztwa, któremu nikt nie raczył mnie przedstawić, a także jakaś flądra z pomarańczowymi włosami, w której nawet bez przedstawiania rozpoznałam przyjaciółkę Lavimi.

— To Candice — poinformowała mnie, pokazując na dziewczynę palcem.
— Właśnie rzucił ją mąż. Dla jej siostry.

— Dziwka! — wysyczała Candice.

Miałam nadzieję, że mówi o swojej siostrze, nie o mnie, niczego jednak nie byłam pewna, więc żeby się nie rozsypać, postanowiłam nie dosiadać się do wszystkich, tylko zostać na nogach i czymś się zająć. Zabrałam koszyk i skierowałam się prosto do kuchni, żeby rozpakować jedzenie. To był sprawdzony sposób na horror u Mullinsów — nie dać się wciągnąć w milczący krąg przy telewizorze albo rozgadany przy stole — rzecz jasna pod warunkiem, że w ogóle udało mi się do kuchni dotrzeć (Eileen broniła swego terytorium niczym lwica).

— Przygotuję przekąski, dobrze? — rzuciłam do nikogo w szczególności i nim Eileen zdążyła oderwać się od ekranu, byłam już w holu.

W kuchni narzuciłam sobie wolne tempo. Czterdzieści pięć minut zajęło mi pokrojenie przywiezionego chleba i posmarowanie go ostrym sosem pomidorowo-korzennym, a potem udekorowanie wiórkami szynki parmeńskiej, grudkami koziego sera i kropkami przybrania. Kiedy byłam mniej więcej w połowie, do kuchni wparowała Eileen, jednakże jak zwykle mnie zignorowała i zajęła się wyciąganiem czegoś z zamrażalnika i przekładaniem tego czegoś na blachę. Wzruszywszy ramionami ułożyłam usta w coś na kształt uśmiechu i zaniiosłam stertę apetycznych kanapek do pokoju. Dan złapał jedną i wpakował całą do buzi, nawet na moment nie odrywając wzroku od ekranu, na którym rozgrywał się jakiś mecz. Sara wykrztusiła:

— Ojej, dziękuję — i została z kanapką w dłoni, jakby nie wiedziała, czym to się je.

Jej mąż odłożył swoją na stół z gniewną miną, zły, że mu się przeszkadza oglądać rozgrywki. Dopiero Shirley zaszczyciła mnie swoją uwagą.

— Och, tylko nie to — jęknęła, odganiając się ode mnie, jakbym była natrętną kelnerką. — Nie znoszę tego ciapciatego irlandzkiego chleba.

Długo czekałam na tę chwilę, ale warto było.

Przypomniała mi się każda obelga, jaką w życiu usłyszałam, począwszy od przedpotopowego naśmiewania się szkolnych koleżanek, a skończywszy na

niedawnej recenzji, która nie zostawiła na mnie suchej nitki; do tego doszły wszelkie zastrzeżenia co do Dana i jego rodziny, wytykane paluchami przez paskudne stworzonka zamieszkujące mój umysł, których nie sposób było utrzymać w ryzach. Podskakiwały teraz radośnie szczerząc zęby i wymachując transparentami głoszącymi: ZEMSTA JEST SŁODKA.

Wybuchnęłam.

Nie pamiętam dokładnie, co im nagadałam (widać wymazałam to z pamięci), ale jestem w stanie sobie wyobrazić na podstawie tego, co tłukło mi się po głowie przez cały dzień. Na pewno zaczęłam od nazwania Lavinii głupią dziwką, która klei się do mojego męża, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie gryzło mnie to aż tak bardzo. Potem cisnęłam tacą z kanapkami o podłogę, informując zebranych, że taka banda półgłówków nie zasługuje na ludzkie jedzenie. Coś tam jeszcze krzyczałam, kiedy nagle kątem oka zobaczyłam się w lustrze — jak z rozwichrzonymi włosami i poczerwieniałą z gniewu twarzą odstawiam przedstawienie na użytek krewnych i znajomych państwa Mullins. Ten widok nieco mnie otrzeźwił, nie na tyle jednak, bym nie miała zakończyć występu popisowym tupnięciem, którego pozazdrościłby mi co drugi rozhisteryzowany trzylatek. Wreszcie posłałam ich wszystkich do stu diabłów, złapałam torebkę i jak burza wypadłam na ulicę.

Trzęsącymi się dłońmi przekopywałam zawartość torebki, modląc się w duchu, żeby kluczyki się znalazły, gdyż za nic nie chciałam wracać do środka ani tym bardziej prosić Dana o podwiezienie. Zapalając silnik i ruszając z piskiem opon, myślałam: To koniec! To naprawdę koniec. No i bardzo dobrze...

Pięć minut później, przejechawszy jedno skrzyżowanie na czerwonym świetle, nie byłam już taka pewna, czy aby na pewno „bardzo dobrze”. Gniew zdążył wyparować, powoli zaczynałam rozumieć, co naprawdę uczyniłam. W domu pobiegłam prosto do sypialni, rzuciłam się na łóżko i łkałam w poduszkę jak rozkapryszone dziecko.

Przecież małżeństwo miało przynieść na wszystko odpowiedź. Miało się pojawić głębokie, dojrzałe uczucie... Związek mój i Dana miał być pełen godności, wzajemnego wsparcia, kultury i troski. Wiedziałam, że nie będzie łatwo, ale żadną miarą nie wyobrażałam sobie takiego koszmaru! Z którego na dodatek nie sposób się obudzić.

Tamtego popołudnia straciłam grunt pod nogami. Przestałam cokolwiek rozumieć. Zakradła się obawa, że coś jest poważnie nie tak.

Rozdział dwudziesty drugi

Irlandia, 1954

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że darzyłam swego ojca miłością. Z pewnością się go bałam, jednakże jeszcze smutniejsze w naszych wzajemnych relacjach było to, iż czułam się winna, kiedy się gniewał albo frasował. Ilekroć zapadał w posępne milczenie bądź dostawał ataku złości, myślałam, że zachowuje się tak przede mną i że to na mnie spoczywa odpowiedzialność, aby go udobruchać.

Świętoszkowatość jego żony doprowadziła go nieraz do szewskiej pasji, której ta nie umiała okiełznać, gdyż w jej żyłach nie płynęła jego krew. To ja, krew z jego krwi i kość z kości, byłam w takich razach przy nim i tylko mnie udawało się go uspokoić — nieważne, czy był pijany jak bela czy też po prostu wściekły na cały świat, a swoją rodzinę w szczególności. Matka załamywała wtedy ręce, moi bracia rozpierzchali się za domem, złorzecząc pijanicy i okrutnikowi, ja zaś dzielnie pozostawałam na placu boju.

W rzadkich chwilach trzeźwości, a także po pijaku, ojciec deklarował płomienną miłość do żony i uważał się nad sobą, że nie otrzymuje nic w zamian. Jednakże kto jak kto, ale on nie potrzebował być kochanym. Musiał za to mieć przy boku kogoś, kto by go wysłuchał, kogoś na podobieństwo świadka cierpienia i bólu, których doświadczył w życiu. Lubił zasiąść przy kuchennym stole i mnać niemiłosiernie już zmiętoszone pudełko po papierosach, ciągnąć niekończącą się litanie: brat odziedziczył lepszą część farmy, ceny bydła spadły, taki owaki nadepnął mu na odcisk, a tamten znów zrobił coś jeszcze innego, aż wreszcie dochodził do największej krzywdy swego życia. Tego, że bracia żony sprawili mu manto, po prostu nie mógł przeboleć. Co za zdradliwa rodzina! Co za upokorzenie dla porządnego człowieka! Kiedy już się wygadał i nie miał siły dłużej walić pięściami w stół, spowiedź zbliżała się ku końcowi. Jeszcze trochę i mogłam podać mu kolację.

Będąc małą dziewczynką najbardziej bałam się nie wtedy, kiedy krzyczał i złorzeczył na czym świat stoi, lecz wtedy gdy był smutny. Jak już podrosłam, widok płaczącego ojca ranił mi serce. Właściwie większą część dzieciństwa spędziłam modląc się, by smutki ojca się rozproszyły, żeby był taki jak ojcowie innych dziewczynek z wioski.

W młodości sądziłam, że ta mieszanina strachu i poczucia winy, ta niespełniona chęć niesienia pomocy i zaleczenia wszelkich ran na jego

duszy, to miłość; jako czterdziestoletnia mężatka, która dopiero co pochowała własną matkę, nie miałam złudzeń. Albo tak przynajmniej myślałam.

Już widząc go, jak wynosi z kościoła trumnę, wiedziałam, że nie pociągnie długo. Mimo że był wielki jak góra, w kupionym specjalnie na tę okazję czarnym garniturze wydawał się drobny i słaby; stapał niepewnie, jakby ziemia paliła go pod stopami, na twarz wystąpił mu wyraz rozgoryczenia, jak gdyby śmierć żony była jeszcze jedną krzywdą doznaną od bliźniego, a może od samego Boga... A może Bóg po prostu ukarał mojego ojca za wszystkie popełnione grzechy?

Patrząc na niego, żalosego i przygniecione go brzemieniem, poczułam, jak moje serce się do niego wyrywa i zaraz sama skarciłam się w duchu. Znowu to robił! Znowu sprawił, że jego nieszczęście, jego cierpienie umniejszały wagę uczuć innych ludzi — uroczystość żałobna przestawała być ku czci matki, nie liczył się już nasz smutek po jej odejściu: ważny był tylko on.

Dopiero małżeństwo z Jamesem otworzyło mi oczy na możliwość, że ojciec to nie zbłąkana duszyczka, której nic w życiu nie wychodzi, ale szczywany lis, człowiek zły do szpiku kości. Nadal jednak byłam jego córką...

Matka miała sześćdziesiąt siedem lat, kiedy umarła, i przez większość tego czasu zajmowała się niančeniem swego męża nieudacznika. Wiedział oczywiście, jak roznieca się ogień i gdzie znajduje się studnia, a mimo to ani razu nie przyniósł do domu cebra z wodą ani nie zagotował wody na herbatę, ba, nie raczył nawet wyciągnąć ręki i posłodzić sobie samemu tej herbaty, którą postawiono mu przed nosem. Uznałam, że skoro mieszkam w odległości zaledwie pół godziny jazdy na rowerze, uda mi się nim zaopiekować bez konieczności przyjęcia go pod nasz dach. Wystarczyło jednak parę tygodni, bym zrozumiała, że to zły plan. Jeden z sąsiadów dostarczał ojcu poitin, tanią gorzałkę, po której ani mu w głowie było napalić w piecu czy choćby na zimno zjeść przygotowane przeze mnie potrawy; dwukrotnie zastałam go śpiącego w fotelu, z mokrymi portkami na ciele, za trzecim razem cały się zapaskudził i gdy go takiego znalazłam, moją pierwszą myślą było, że umarł. Przyznaję, że zalała mnie fala ulgi. Nie mogło być nic złego w tym, że wreszcie znalazł spokój...

Kiedy nagle otworzył przekrwione, nieprzytomne oczy i na mnie spojrzał, poczułam się tak winna, że z miejsca zabrałam go do domu. Być może w głowie wciąż tłukły mi się nalegania Jamesa, który onegdaj mi klarował, że

starszy człowiek powinien dożywać swych dni na łonie rodziny, nie w samotności. „Niech weźmie go do siebie któryś z moich braci”, zaoponowałam wtedy, na co James westchnął przeciągle: „Och, Bernadine...” Zawsze tak robił, ilekroć powiedziałam coś — jego zdaniem — okrutnego, dając mi do zrozumienia, jak bardzo jest mną rozczarowany.

James był zaprzysiężonym abstynentem (mówiliśmy na takich: pioneers). W młodości uważałam jego wstrzemięźliwość za zadzieranie nosa, a jego samego za nudziarza — w końcu każdy prawdziwy mężczyzna lubi sobie od czasu do czasu golnąć, w przeciwnym razie nie jest craic i nie ma z nim zabawy — jednakże z biegiem lat uświadomiłam sobie, że niepijący mąż to istna łaska Boska. (I pomyśleć tylko, że wyszłam za Jamesa za sprawą własnego, niepoprawnego pod tym względem ojca!) Wiele czasu spędzał na lekturze, ale nie stronił też od pracy fizycznej — zawsze miał coś do zrobienia w domu czy obejściu, no i sporo uwagi poświęcał swoim pszczołom. Przede wszystkim jednak żywo uczestniczył w wychowywaniu Niamh, co było rzadkością w tamtych czasach. Im był starszy, tym częściej szukał towarzystwa innych mężczyzn, z którymi lubił wędkować albo raz od wielkiego dzwonu udać się na polowanie — jak prawdziwy dżentelmen. Miejscowy pub mógł dla niego nie istnieć; zachodził tam tylko wtedy, kiedy musiał — żeby wyciągnąć niesforenego ucznia, złożyć komuś kondolencje bądź też kupić dla żony tabliczkę czekolady. Właściwie nie miał żadnego doświadczenia z pijakami, nie otarł się nigdy o ich wulgarność i okrucieństwo, nie cierpiał z powodu ich szykan i razów — do bliźnich przykładał nieodmiennie własną miarę, toteż w moim ojcu widział wyłącznie człowieka, któremu zawdzięczał żonę. Mnie jednak na samą myśl, że pozna plugawy język ojca i będzie świadkiem jego zbydlęcenia, ciarki chodziły po krzyżu.

Nie bałam się już ojca. Będąc dorosłą kobietą wiedziałam, że to pijaczyna niewart, by na niego zwracać uwagę. Strachem napawało mnie co innego — to mianowicie, że przy nim na powrót stawałam się małą dziewczynką, marzącą tylko o tym, by go zadowolić i uczynić jego życie znośniejszym. Najbardziej zaś ze wszystkiego obawiałam się, że James zobaczy mnie w chwili słabości.

Pogrzeb matki był w połowie sierpnia, a ojciec wprowadził się do nas w początkach września, co odpowiadało mi o tyle, że właśnie zaczął się jesienny semestr i zarówno James, jak i Niamh większą część dnia mieli spędzać w szkole, pozostawiając mnie z nim w domu sam na sam. Chociaż

dźwigał już ósmy krzyżyk na grzbiecie (co w moich oczach zakrawało na ironię losu, jako że przy tym trybie życia, który prowadził, nie powinien był przeżyć swych sześćdziesiątych urodzin), nadal był silnym mężczyzną, mimo tuszy i zadyszki, jakiej dostawał z byle powodu.

Kilka pierwszych miesięcy dawało mi nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Ojciec nie na żarty przestraszył się, kiedy znalazłam go nieprzytomnego po raz drugi, i z ręką na sercu obiecał, że odstawi butelkę. Bardzo brakowało mu matki — przynajmniej w charakterze służącej — i widać po nim było, że krótkie wakacje w domu córki i zięcia niezmiernie mu odpowiadają. Chwilami wręcz wychodził ze skóry, żeby się nam przypodobać — do tego stopnia, że były momenty, kiedy go nie poznawałam. Wszakże jeśli się nawet zmienił, to tylko na lepsze. Rozwodząc się nad Jamesem, jaki to porządny z niego gość, stwierdzał, że cały ten szum wokół wstrzemięźliwości od gorzałki to jednak dobra sprawa, a przy wnuczce wręcz odmłodził. Niamh, która dotychczas żyła jak pod kloszem, szybko przystosowała się do nowej sytuacji i zdawała się odwzajemniać dziadkową sympatię. Zrazu ostrożni i spięci, z czasem poczuli się w swoim towarzystwie na tyle swobodnie, że rutyną stały się ich wieczorne zabawy przy kominku: rozkładali planszę do gry i z pochylonymi, stykającymi się głowami zapominali o Bożym świecie, podczas gdy ja niespokojnie obserwowałam ich spod oka. James musiał ojcu całkowicie ufać, gdyż zostawiał naszą trójkę i szedł doglądać swoich roślinek w warzywniku. Wreszcie i ja się odprężyłam. Cieszyło mnie, że po tylu latach trosk i problemów moja rodzina może zaznać spokoju. Pod jednym dachem znalazły się trzy pokolenia, z których najstarsze i najmłodsze odnalazły wspólny język, jak gdyby ojciec musiał dojrzeć do ojcostwa i choć nie zdążył odegrać tej roli jak należy w moim życiu, robił co mógł, by odrobić straty i spłacić dług z nawiązką. Cóż, jeśli taka miała być moja nagroda za to wszystko, co wycierpiałam w dzieciństwie, przyjmowałam ją z wdzięcznością.

Za dnia, kiedy James i Niamh byli w szkole, pomiędzy mną i ojcem nawiązywała się cienka nić porozumienia. Pragnąc odpędzić myśli od przyzywającej go gorzałki, za nic jednak nie chcąc wejść w domenę pana domu, ojciec prosił mnie, bym wyznaczała mu jakieś proste zadania, żeby mógł zająć czymś ręce i głowę i po prostu być użyteczny. Wygarniał za mnie popiół, polerował meble, a raz nawet umył wszystkie okna. Zaróżowiony od pracy, nabierał ochoty do przekomarzanek.

— Należy mi się pyszne ciasto ze śmietanką, moja panno — mówił na przykład.

— Nie ma mowy. Dzisiaj na deser mamy kompot agrestowy i basta — odpowiadałam.

— No to może przynajmniej wolno mi będzie zjeść parę jeżyn?

— Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że sam ich sobie nazbierasz, tato!

Nie do wiary, że dopiero jako dorosła kobieta zbliżyłam się do własnego ojca. Po raz pierwszy w życiu mnie zauważał i doceniał: chwalił moje obiady i wypieki, zawsze miał dla mnie w zanadrzu dobre słowo, można by wręcz powiedzieć, że mnie rozpieszczał. Już nie musiałam popatrywać zazdrośnie na Jamesa i Niamh, wesoło razem dokazujących i wybornie się czujących w swej kompanii — choć późno, ja także zaznałam rodzicielskiego uczucia. Być może w ten sposób życie chciało zadośćuczynić mi za nieudane lata dziecięce, utratę miłości mego życia oraz małżeństwo z rozsądku.

Oczywiście żałowałam, że matka nie dożyła tych dni beztroski i domowego szczęścia, ale jakiś diabeł podszeptował mi do ucha, że być może nie zasłużyła sobie na to — że to j a, nie ona, mam coś, dzięki czemu ojciec wreszcie wszedł na dobrą drogę i zaznał nieco szczęścia, bądź też że to moje, nie jej, modlitwy zostały wysłuchane.

Ale tak to już jest, że w chwili kiedy człowiekowi wydaje się, że zjadł wszystkie rozумы i że ma wszystko, czego pragnął, w tej samej chwili przychodzi nań otrzeźwienie. Właśnie wtedy gdy pokona się strome, cieniste zbocze, by nareszcie wyjść na otwartą, zalaną słońcem polanę, tuż przed nosem wyrasta następna góra do zdobycia. A za nią kolejna i jeszcze jedna...

Ojciec miał siedemdziesiąt lat z okładem. Przez pół wieku był tyranem, z powodu którego cierpiało co najmniej pięć niewinnych osób, lecz mimo to uzyskał wybaczenie. Powinnałam być wiedzieć, że ludzie tacy jak mój ojciec nigdy się nie zmieniają, nigdy nie wracają na dobrą drogę. Ze póki tchu w piersi, są nieprzewidywalni i dlatego należy się przed nimi strzec — za życia, a i po ich śmierci także. Nawet wtedy sprawiają, że uśmiech zamiera na wargach, a serce ciąży niczym kamień.

Rozdział dwudziesty trzeci

Nowy Jork, 2004

Kiedy czekałam na Dana, aż wróci od matki, czas ciągnął mi się niemiłosiernie, mimo że poganiałam minuty, by upływały szybciej — stąd wiem, że powrót do domu zajął mu dokładnie pół godziny, najdłuższe i najgorsze w całym moim życiu. Najpierw trzasnęły drzwi na dole, potem usłyszałam kroki na schodach, skrzypienie podłogowych desek w sypialni, wreszcie poczułam dłoń Dana na swym ramieniu.

— Wszystko w porządku, skarbie?

Jeszcze przed chwilą łkałam w poduszkę, za wszelką cenę pragnąc wymazać wydarzenia ostatnich paru godzin, teraz wszakże pod dotykiem mężowskiej dłoni przedzierzgnęłam się w furiatkę, która nie wie, kiedy przestać szaleć.

— A ty gdzie się włóczyłeś'? — wybuchnęłam.

— Wyszedłem z domu zaraz po tobie, ale że nie było sensu gonić cię na piechotę, poprosiłem Toma, żeby mnie podwiózł. Chwilę mu zeszło, nim się wyguzdrał...

— Taa... Wyobrażam sobie, że Lavinia go nie puszcila, zanim nie wylała na mnie wiadra pomyj !

— Nie odezwała się ani słówkiem — zaprzeczył Dan. — Szczerze mówiąc, wszyscy bardzo się o ciebie martwiliśmy.

No, tego tylko brakowało.

— Martwiliście się?! — Zawylałam, przygotowując w duchu perorę na temat tego, gdzie mam ich troskę, jednakże wyraz twarzy Dana kazał mi powściągnąć elokwencję i spasować. — Kto by pomyślał... — dokończyłam słabo.

— Zrobię nam kawy — powiedział Dan, odwracając się do wyjścia.

— Nie chcę kawy! — warknęłam.

Stanął jak wryty, po czym gwałtownie okręcił się na pięcie i rzucił:

— No to czego właściwie chcesz?! Bo ja wychodzę z siebie i staję obok, żeby cię zadowolić...

Choć nie krzyczał, poznać było, że jest na skraju wytrzymałości i co gorsza, naprawdę chce usłyszeć odpowiedź. Patrzył na mnie wyzywająco, czekając, co powiem, a mnie ani trochę się to nie podobało, ponieważ na końcu języka miałam: „Czego chcę? Oto czego chcę: pogrzebać całą rodzinę Mullinsów — łącznie z tobą — pod dwudziestoma tonami różnego śmiecia,

podpalić wszystko i posłać na orbitę! Możesz mi to załatwić? Najlepiej jeszcze w tym tygodniu..."

— Po prostu chcę, żebyśmy więcej czasu spędzali we dwoje — bąknęłam.

Panie i panowie — Tressa, mistrzyni niedomówień. Bałam się usłyszeć prawdę, ot co, i to nawet jeśli miała ona paść z moich własnych ust. Oczywiście nie chodziło o coś tak oczywistego jak to, że rodzina Dana to zbieranina psycholi, ani też o coś niemal wstydliwego — to mianowicie, że przy teściowej dostaję gęziej skórki. Tak naprawdę chodziło o coś znacznie poważniejszego... Dlaczego uważałam jego rodzinę za bandę psycholi? Dlaczego miałam pietra przed jego matką? Dlaczego z takim trudem przychodziło mi się przełamać? Gdzieś na dnie umysłu tkwiła odpowiedź na te pytania i ona także wcale, ale to wcale mi się nie podobała. Gdybym kochała Dana, zrobiłabym dla niego wszystko, nie bacząc na wiążącą się z tym nudę i upokorzenie. Gdybyśmy byli sobie przeznaczeni, trwałabym przy nim i znosiła rzeczy nie do zniesienia. Gdyby...

Nadal nie wiedziałam, czy kocham go na tyle, by być jego żoną. Bez ustanku marzyłam, by więzy małżeńskie, którymi dobrowolnie dałam się spętać, puściły i uwolniły mnie raz na zawsze. A jednak gdy wreszcie nadarzyła się sposobność, by wyrzucić z siebie to, co od dawna leży mi na wątrobie, być może uzyskać jednoznaczne odpowiedzi i wypłatać się z tej nieznośnej sytuacji, ni z tego, ni z owego schowałam głowę w piasek. Tressa — mistrzyni niedomówień i fałszu.

Kiedy człowiek powie pochopnie coś złego, zawsze może się wycofać, przeprosić i spróbować raz jeszcze; niestety ta zasada nie odnosi się do dobrych słów, które chlapnie. No bo wyobraźcie sobie: „Kochanie, tak naprawdę nie miałam na myśli, żebyśmy więcej czasu spędzali we dwoje, tylko raczej to, że kocham cię niewystarczająco, by do końca swoich dni znosić twoją przekłętą rodzinę”. Z drugiej strony — gdy raz wejdzie się na drogę kłamstwa, nie ma z niej odwrotu. I tak źle, i tak niedobrze...

Dan przemierzył sypialnię i zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

— Och, skarbie... Byłem taki samolubny, stawiając swoją rodzinę przed nami...

I zaczął mi opowiadać, jak to Eileen doznała udaru, kiedy wszyscy byli jeszcze bardzo mali, jak nikt nie pofatygował się im wytłumaczyć, dlaczego mamy przez jakiś czas nie będzie w domu, a potem gdy już wróci, będzie mówić trochę niewyraźnie i powłóczyć jedną nogą — słowem wyjaśnił mi, czemu cała rodzina po dziś dzień, poniekąd z przyzwyczajenia, poniekąd z

obawy, by nie przyczynić się do kolejnego udaru albo co gorsza zawału, skacze wokół niej i cacka się niby ze śmierdzącym jajkiem. Zdziwiło mnie, że Dan nie powiedział mi o tym wcześniej, jednakże nie dociekałam przyczyn, dla których dotąd wolał zachować to dla siebie — głowę miałam zaprzątniętą rozpaczliwym poszukiwaniem wyjścia z matni udawanego uczucia. Problem w tym, że nawet jeśli istniało, przywalone zostało moimi wyrzutami sumienia.

Skończyło się na tym, że kupiłam imponujący bukiet kwiatów i dzierząc go przed sobą niczym tarczę stanęłam na progu domu znieawidzonej kobiety, w głowie mając wyuczone na pamięć przeprosiny, w piersi zaś walące jak młot serce, które chętnie by wyskoczyło i przyrznęło Eileen między oczy. Rzecz jasna nie zamierzała mi ułatwiać zadania, czego się oczywiście spodziewałam, lecz na co w skrytości ducha liczyłam.

Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, przywitała mnie z kamienną twarzą i bez jednego słowa, po czym pokazała mi plecy, jakbym była powietrzem. Udając, że nic się nie stało, podążyłam za nią do kuchni. Położyłam kwiaty na stole i wyrecytowałam:

— Eileen, jestem ci winna przeprosiny. — Voilà. Żadnych „ale”, żadnych wykrętów, tłumaczeń, nic z tych rzeczy. Czyste, książkowe nieomal przeprosiny, które można tylko przyjąć. Mijały minuty, a Eileen w dalszym ciągu milczała. Zniechęcona przedłużającą się ciszą i brakiem odpowiedzi, jęłam zarzucać ją wyjaśnieniami, aż w końcu powiedziałam coś, co przykuło jej uwagę.

— Eileen, ja naprawdę kocham twojego syna i...

Nie dane mi było skończyć. Może to i dobrze, gdyż Bóg mi świadkiem, sama nie wiem, co dokładnie chciałam rzec. Ostatnimi czasy zbyt często się odzywam, by zadowolić innych, a nie wyrazić siebie.

— Nie kochasz go — oznajmiła Eileen, patrząc na mnie pałającym wzrokiem.

Jakby we mnie piorun strzelił. Byłam porażona zarówno tym, że zimnokrwista i nudna jak flaki z olejem Eileen okazała cień emocji, jak i tym, że ledwie przemówiła, utrafiła w samo sedno.

— No wiesz! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy!

— Obie wiemy, że to prawda.

Zamurowało mnie. Na coś takiego nie byłam przygotowana; miałam ją grzecznie przeprosić, ona miała przyjąć moje przeprosiny, a potem miałyśmy

się pożegnać, nie wyrywając sobie przy tym włosów z głowy. Tymczasem musiałam się pilnować, żeby teściowa mnie nie pobiła.

— Coś podobnego! — zdziwiłam się nieszczerze. — Ciekawe w takim razie, dlaczego za niego wyszłam?

— Bo masz prawie czterdziestkę i bałaś się, że jeśli będziesz zwlekać jeszcze choćby rok dłużej, zostaniesz na lodzie... — trzydzieści osiem, ty bura małpo, pomyślałam, ale reszta się zgadza — ...a poza tym nie umiesz gotować. Ten twój chleb to istna katastrofa.

Uczepiłam się tej ostatniej kwestii jak tonący brzytwy, w nadziei że zboczymy na bezpieczniejszy temat. A poza tym nikt nie będzie krytykował moich zdolności kulinarnych bezkarnie!

— Czyżby? A co z nim nie tak?

— Jest za suchy. Pożałowałaś masła...

— Nieprawda. Zawsze używam masła — zapewniłam szybko, acz kłamliwie.

— ...i jajka.

No, teraz to już przesadziła.

— Przecież do chleba nie daje się jajek!

— A kto ci to powiedział? No i jeszcze przydałaby się szczypta cukru, może wtedy nie smakowałby jak wata.

— Bardzo dziękuję za twoje rady, ale... — zająknęłam się, gdyż nagle dotarło do mnie, że nie ma żadnego „ale”. Ona miała rację: mój chleb to była katastrofa. Oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak stoimy przy kuchennym stole i się kłócimy, i omal nie roześmiałam się w głos. Dwie uparte, zadufane w sobie Irlandki, z których każda uważa, że ma monopol na prawdę i doskonały irlandzki chleb. Jako że zmęczona już byłam czołobitnością okazywaną mi przez wszystkich z branży, postanowiłam się wyluzować i coś wynieść z tej dziwacznej rozmowy. — Ale bardzo chętnie zobaczę, jak ty go robisz! — zakończyłam tryumfalnie, sądząc, że mam ją w garści.

Eileen rozejrzała się nerwowo po kuchni, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie wie, o czym mówi.

— Nie mam wszystkich składników.

— Och, na pewno coś się znajdzie!

Już byłam przy szafkach, otwierając i zamykając drzwiczki w poszukiwaniu tego co potrzebne. Przestało mi zależeć. Eileen i tak mnie nienawidziła, równie dobrze mogłam więc przekroczyć wszelkie granice. Nie miałam nic do stracenia. Wkrótce na stole pojawiła się mąka, soda

oczyszczona i cukier. Z lodówki wyjęłam kawałek masła i karton mleka, które także wyłożyłam na blat, a na samym środku umieściłam jajko, popatrując przy tym mściwie na teściową. Wyglądała nieszczerze i przez moment było mi jej żal.

— Ale nie ma maślanki. Bez maślanki to nie będzie to samo. Aha, chce się wymigać! pomyślałam.

— Cóż, to co mamy, będzie nam musiało wystarczyć. Eileen wytrzymała mój wzrok. Stałam z otwartą buzią, patrząc, jak opróżnia zlew z brudnych naczyń, wydobywa skądś zieloną plastikową michę, opłukuje ją pod bieżącą wodą, starannie suszy, po czym stawia na stole. Złapała wielkie sitko, przesiała przez nie kilka garści mąki, do której dodała szczyptę sody, nie zwracając sobie głowy miarkami ani wagą. Przyglądając się jej zręcznym pulchnym dłoniom poczułam, jak zalewa mnie fala wspomnień.

Babcia Bernadine używała miski szaroniebieskiej i rzecz jasna metalowej, reszta utensyliów także była staromodna, ale poza tym wszystko odbywało się w ten sam sposób. Trudno mi ocenić, czy obie korzystały z identycznego przepisu, jednakże sądząc po kolejności, ruchach i tym podobnych nieraz ciężko uchwytnych sprawach, mogę podejrzewać, że tak właśnie było. Pagórki mąki zamieniały się w kratery z mlekiem, by już za chwilę stanowić jednolitą masę uformowaną w zgrabną kulę. Jako dziecko także nie potrafiłam wyjść z podziwu, że ogień i woda — sypka mąka i mokre mleko — jak za sprawą czarów łączą się na moich oczach i w postaci zgrabnego bochenka lądują w piecu.

Kiedy Eileen zamknęła drzwiczki piekarnika, sięgnęła rękoma do tyłu i wtedy zauważyłam, że dłonie lekko jej się trzęsą — ze zmęczenia lub emocji — tak że nie była w stanie odwiązać supła, jaki zrobił jej się na pasku od fartucha. Podeszłam do niej, żeby pomóc, i uświadomiłam sobie, że to właściwie nasz pierwszy bliski kontakt fizyczny (nieudanego uścisku przy przedstawianiu nie liczę). Pachniała zsiadłym mlekiem i jakimś detergentem, a także zwykłą starą kobietą, która nigdy nie miała czasu dla siebie. Zrobiło mi się jej żal — po raz drugi podczas tego spotkania — jednakże nie mogłam sobie pozwolić na litość. Musiałam być czujna.

— Naprawdę jestem pod wrażeniem, Eileen — pochwaliłam ją. — Robisz chleb dokładnie tak jak moja Babcia.

Bąknęła „dziękuję” pod nosem i wyszła do salonu. Nie wracała długą chwilę i już się zastanawiałam, czy nie powinnam również tam się udać, kiedy pojawiła się w drzwiach ze zdjęciem w srebrnej ramce w rękę.

Czarno-biała fotografia przedstawiała łagodnie się uśmiechającą staruszkę w okularach i z włosami gładko zaczesanymi do tyłu i upiętymi w wątry kok.

— Ona mnie nauczyła.

— Twoja matka?

— Ha! — zaśmiała się. — Moja babcia!

W czasie gdy chleb się piekł, Eileen opowiedziała mi całą historię swojej rodziny. Jej matka zaszła w ciążę w bardzo młodym wieku, wydała ją na świat, po czym uciekła do Stanów, wychowanie córki zrzucając na barki swoich rodziców. Eileen przez dużą część życia była pewna, że jest i c h córką. Chronili ją jak mogli przed smutną prawdą, jednakże kiedy Eileen miała siedemnaście lat, jej dziadek zmarł, a jakiemuś sąsiadowi na stypie rozwiązał się język. Pograżona w żałobie i zrozpaczona równocześnie, wy mogła na swej babci adres matki i zaczęła do niej regularnie pisać — nigdy wszakże nie otrzymała odpowiedzi. Sześć lat później babcia była w stanie opłacić jej przejazd do Stanów, z czego Eileen skwapliwie skorzystała i odszukała matkę tutaj, w Yonkers. Czekają ją jednak kolejne rozczarowanie. Matka wyszła za bogatego starszego mężczyznę, który nie miał pojęcia o istnieniu Eileen. Jej listy były niszczone bez otwierania, a kiedy stanęła na progu teoretycznie rodzinnego domu, spotkało ją odrzucenie. Bez grosza przy duszy i bez krewnych, do których mogłaby się zwrócić o pomoc, zaszła do najbliższego kościoła katolickiego, gdzie na szczęście otrzymała posadę pomocnicy gospodyni. Tamże poznała swojego męża, a ojca Dana — był młodszym bratem gospodyni i tak zaczęła się ich znajomość. Całe życie mieszkała w tej samej miejscowości co jej matka, ale o jej śmierci dowiedziała się z gazet. Na pogrzeb nie poszła, gdyż nie chciała sprawiać przykrości nowej rodzinie matki.

Historia, która mogłaby być kanwą niezłego romansu, została mi opowiedziana w suchych słowach, bez upiększeń czy ronienia łez. Eileen wychodziła z założenia, że „co się stało, to się nie odstanie”, a jej mottem życiowym było „życie to nie bajka”. O ile wcześniej było mi tylko żal teściowej, o tyle usłyszawszy jej opowieść zechciałam przytulić tę osieroconą, dotkniętą przez los kobietę. .. Być może byłabym to nawet zrobiła...

— Chleb! — krzyknęłyśmy jednocześnie.

Ocaliliśmy go przed spaleniem na węgiel dosłownie w ostatniej chwili. Eileen owinęła go starannie w ściereczkę z nadrukiem: „Dzień św. Patryka w Yonkers”, która pierwsza nawinęła jej się pod rękę.

Pragnęłam ją zapytać, czy później widziała się jeszcze z matką i czy zdążyła odwiedzić swoją babcię, nim ta umarła w starym kraju, uznałam jednak, że lepiej pozwolić jej dokończyć opowieść innego dnia. Gdyż wiedziałam już, że będą inne dni takie jak ten.

W drzwiach dostałam pachnący chleb.

— Proszę — rzekła. — Mam nadzieję, że okaże się wystarczająco dobry.

Obdarzyła mnie również swym dziwnym jednostronnym skrzywieniem warg. W jej oczach dostrzegłam wszakże szczere uczucie.

Przypomniałam sobie, że przed laty dosięgną! ją udar, i ze wstydem pomyślałam, że to co przez cały czas brałam za skrzywiony grymas, od samego początku było przyjaznym uśmiechem.

RS

Rozdział dwudziesty czwarty

Irlandia, 1954—1964

Kiedy nazajutrz zeszałam do kuchni, zastałam ojca siedzącego bez ruchu przy wciąż nie rozpalonym piecu. Musiał usłyszeć moje kroki, gdyż odezwał się, nim jeszcze mnie zobaczył, wypowiadając każde słowo z osobna, jak gdyby długo ćwiczył tę wypowiedź i wreszcie miał okazję ją wyartykułować.

— Jak widzisz, nie napaliłem w piecu, Bernadine. — Rozpoznałam ten ton i ogarnął mnie strach. Ojciec się upił. Nie tak jak niegdyś, pociągnął może tylko kilka łyków whisky, lecz z pewnością zapowiadało to kłopoty. W końcu byłam mistrzynią w rozpoznawaniu jego nastrojów. — Zbyttno tęsknię za twoją matką.

— Ja też za nią tęsknię, tato, ale przecież życie toczy się dalej...

Chyba jednak częściowo utraciłam zdolność wyczuwania awantury na miłę, gdyż nieopatrznie użyłam swego zwykłego tonu, zarezerwowanego dla flegmatycznego Jamesa, zapominając, z kim mam do czynienia. A może nie przyszło mi do głowy, że po prawie dwudziestu latach od opuszczenia przeze mnie domu rodzinnego ojciec nadal ma nade mną jakąkolwiek władzę. Wydawało mi się, że skoro jesteśmy u mnie, a właściwie pod dachem godnego szacunku, pracowitego, uczciwego człowieka będącego moim mężem, któremu dałam upragnione dziecko, i skoro to ojciec jest na mojej łasce, a nie odwrotnie, to w takiej sytuacji nic mi z jego strony nie grozi.

— Ty podła suko! — powiedział zduszonym głosem.

Nieraz słyszałam, jak tymi lub podobnymi słowy obrzucał moją matkę — i zawsze czynił to szeptem, tak że wydawało mi się, że to nie ludzka istota, ale sam diabeł odzywa się wprost w moim umyśle.

— Słucham? — zapytałam, jak gdyby przed chwilą właśnie mnie nie obraził, lecz powiedział coś, czego nie dosłyszałam, i musiałam poprosić o powtórzenie.

Przez długą chwilę nic nie mówił, więc byłam skłonna udać, że się przesłyszałam. Uznając sprawę za zamkniętą, zabrałam się do zagniatania ciasta na chleb, kiedy odwrócił się do mnie i rzucił nienawistnie:

— Co to, głucha jesteś? Powiedziałem: ty podła suko! — Ręce zaczęły mi się trząść, mąka posypała się na podłogę. Żeby się uspokoić, w myślach zaczęłam odmawiać modlitwę. Ojciec nasz, któryś jest w niebie... — Dotarło do ciebie? No to może odpowiesz wreszcie ojcu, co, Bernadine? — .. chleba

naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Z rozpaczą uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem zabezpieczona przed jego atakami, że nie mam wrodzonego talentu ani tym bardziej jakiegoś tajemniczego zrozumienia wynikającego z naszego pokrewieństwa, jak kiedyś chciałam wierzyć. Zdałam sobie sprawę, że w przeszłości chroniła mnie nie wspólna krew krążąca w naszych żyłach, lecz obecność matki, którą przecież w swej naiwności pogardzałam. Gdy jej zabrakło, nienawiść ojca skrupiła się na mnie i nie było nikogo, kto mógłby mnie obronić. Ojcu było wszystko jedno, na kim się wyżywa, byle ktoś taki w ogóle istniał: aby można go obarczyć winą za swe niepowodzenia, a przygniatający pierś smutek zmienić w uczucie bardziej zrozumiałe: w nienawiść do jedynej bliskiej osoby. — Tylko na siebie popatrz, Bernadine — ciągnął tymczasem ojciec. — Wstajesz sobie rano i jakby nigdy nic robisz chleb... Jaką trzeba być suką bez serca, żeby robić chleb, kiedy twoja matka leży w zimnym grobie! Nie dbasz o nic i o nikogo, tylko o siebie, ty podła...

Nikt nigdy nie mówił do mnie w taki sposób. Ilekroć słyszałam, jak prowokuje i obraża matkę, zawsze czułam narastający strach, gdyż nieodmiennie prowadziło to do czegoś jeszcze gorszego. Teraz także powinnam była się bać, lecz z jakiegoś powodu zamiast przerażenia poczułam gniew.

Przemożny gniew za to, co przeżyła moja matka i co ja sama musiałam znosić jako dziecko.

Gdy fala tego gniewu sięgnęła poziomu moich ust, nic nie było w stanie go pohamować. Wybuchnęłam, wykrzykując przekleństwa, o których nawet nie wiedziałam, że znajdują się w moim słowniku. Aby wyładować złość i dla większego efektu, oburącz uniosłam misę z zarobionym ciastem i zamachnąwszy się, cisnęłam nią w osłupiałego ojca, niemal trafiając go w głowę. W powietrzu zawiroowało od mąki, która powoli osiadła bielą na i tak pobladłej twarzy winowajcy. Przez kilka sekund staliśmy naprzeciwko siebie, porażeni szokiem. A potem rozpętało się pandemonium. Ojciec ruszył na mnie z zamarłym na ustach przekleństwem, z potężnym rozmachem uderzył mnie w głowę i powalił na ziemię. Czułam się tak, jakbym oberwała cegłą... jakbym wciąż była małą dziewczynką... Opadłam na kamienną podłogę niczym worek kartofli i w tej samej chwili opuściły mnie gniew i cała energia, które przepęłniały mnie jeszcze przed chwilą. Znów zostałam pokonana, nie miałam innego wyjścia, jak tylko się poddać. W niemej fascynacji przyglądałam się, jak noga ojca szybuje w moją stronę, by zadać mi ostateczny cios.

— Bernadine! — od drzwi rozległ się wibrujący głos Jamesa. Na ten dźwięk moje ciało samo zwinęło się w kłębek, instynktownie chroniąc głowę i podbrzusze. — Moran, ty łajdaku! Wynoś się z mojego domu albo przysięgam na Boga, zabiję cię gołymi rękami!

Ojciec zachwiał się, rezygnując z wymierzenia mi kopniaka, i obrócił się w stronę Jamesa. Sądząc, że ruszy na niego niczym rozjuszony byk i pobije go, krzyknęłam:

— Nie!!

Nie zatrzymało go to jednak. Wolnym, kołyszącym się krokiem zmierzał w kierunku mojego męża, który niby niedbałym ruchem sięgnął za drzwi, gdzie zawsze wisiała jego fuzja myśliwska.

— Nie powiem, kim jesteś, bo przy kobietach nie używam takich słów, Moran. Skoro pokazałeś mi swoje prawdziwe oblicze, nie ma dla ciebie miejsca pod tym dachem. I pamiętaj: jeśli w jakikolwiek sposób okażesz mojej żonie brak należnego jej szacunku albo poważysz się podnieść na nią rękę, ubiję jak psa. A teraz wynoś się stąd!

Ojciec zatrzymał się w miejscu, znów się odwrócił i obdarzył mnie długim spojrzeniem, które chyba miało wzbudzić we mnie litość. Jakby to on był tym, kogo należało chronić! Jakby naprawdę żałował, że mnie uderzył! Jakbym była ostatnią osobą na świecie, która wie, że prawdziwą ofiarą jest właśnie on, nikt inny...

Tamtej nocy obudziłam się z głową na piersi Jamesa, łkając i zawodząc przez sen, a potem także na jawie: „Tatusiu! Tatusiu!” James oplótł mnie ciasno ramionami i kołysał jak małą dziewczynkę, a ja z wdzięcznością przyjąłam tę możliwość zatarcia granicy pomiędzy ojcem i mężem. Zanosilałam się szlochem, wcale się tego nie wstydząc, on zaś scałowywał łyzy z moich oczu i policzków i raz po raz składał pocałunek na czubku mojej głowy. Dobry pan nauczyciel pocieszał dzielną dziewczynkę, która urodziła mu córkę i postarzała się przy nim. Nigdy przedtem ani potem tak bardzo nie potrzebowałam mężowskiej miłości. James wiedział, że daje mi namiastkę miłości ojcowskiej, lecz nie dbał o to — miał naprawdę wielkie serce.

Ludzie mojego pokolenia nie znali takiego określenia jak „traumatyczne dzieciństwo”, mimo to jednak cierpieli równie silnie z powodu ran zadanych im przez rodziców. James to rozumiał — był nie tylko inteligentny i czuły, ale także cechował się intuicją i na wiele sposobów wyprzedzał swój czas.

— Bernadine, twój ojciec może z nami znów zamieszkać, jeśli taka będzie twoja wola. Wystarczy, że powiesz słowo — oznajmił jakiś czas potem.

Który mężczyzna zgodziłby się grać drugie skrzypce po teściu, do tego nałogowym alkoholiku i brutalu? A jednak James był do tego zdolny: uczyniłby wszystko, bylebym ja była szczęśliwa.

Kilka tygodni zabrało mi ułożenie sobie stosunków z ojcem na nowo; skończyło się na tym, że zaglądałam do niego dwa razy w tygodniu — żadne z nas nie wspominało tamtego feralnego dnia. Mniej więcej po roku reumatyzm ojca znacznie się nasilił, toteż był zmuszony przeprowadzić się do nas i przyjąć naszą stałą opiekę. Mieszkał z nami do końca życia, to jest przez następne dziewięć lat, w czasie których zdarzało mu się zajrzeć do butelki. Nigdy jednak nie pozwolił sobie na urządzenie sceny.

Myślę, że Jamesowi było trudniej zaakceptować jego obecność pod naszym dachem aniżeli mnie. Nie potrafił pogodzić się z tym, że ojciec mnie uderzył i że jego nie było w pobliżu, by mnie obronić. Do czasu kiedy Moran — jak zawsze się do niego zwracał — całkowicie utracił władzę w nogach, co dzień rano wychodził z domu pełen obaw i wracał doń z niepokojem, nie wiedząc, co zastanie na miejscu. Do samego końca zachowywał się wobec ojca uprzejmie, a nawet wspaniałomyślnie, lecz czynił to li tylko przez wzgląd na mnie.

W ciągu tych dziewięciu lat mało było momentów radości, rodzinnego szczęścia czy intymności. Ojciec nie należał do łatwych pacjentów i nawet Niamh — jego ulubienica — straciła do niego cierpliwość. Zresztą całe życie miał wyjątkową zdolność odpychania ludzi, którzy go kochali; od dzieciństwa naoglądałam się dość, jak początkowe uczucie przeradza się u niego w pogardę, jak gdyby uważał, że nie zasługuje na miłość, a ci, którzy go kochają, okazują słabość. Z drugiej strony zawsze pozostawał nieufny i podejrzewał każdego, że stroi sobie z niego żarty, nie wierząc, że inni ludzie nie są tacy jak on i potrafią kochać bezinteresownie. Dla dobra Niamh stawałam na głowie, żeby nie przyzwyczajała się zbyt do dziadka — wiedząc, że nigdy nie otrzyma w zamian choćby części uczucia, którym go w swej dziecięcej dobroci obdarzyła — zachęcałam ją, by więcej czasu spędzała z kuzynostwem i przyjaciółmi, najlepiej poza domem. Gwoli sprawiedliwości muszę powiedzieć, że ojciec nigdy nie skrzywdził Niamh, ale i tak byłam spokojniejsza, kiedy przebywała wśród rówieśników. Być może, gdyby nie moja ingerencja, ich zażyłość by się odnowiła — albo też John Moran zraniłby wnuczkę. Nie ma się co dziwić, że wołałam się o tym nie przekonywać.

Starzejąc się, ojciec stał się cichszy i spokojniejszy, nigdy jednak nie złagodniał. Trudno nazwać łagodnością posępne milczenie, w które popadał, gdyż brak sił i jego sytuacja uniemożliwiały mu folgowanie swemu temperamentowi. Dziewięć długich lat doglądania ojca, dbania bardziej o jego ciało aniżeli duszę, frustrowało mnie i niesmaczyło, zdzierzyłam je jednak — po pierwsze dlatego, że nie miałam innego wyjścia, po drugie zaś dzięki temu, że James był przy mnie.

Życie nauczyło mnie, że wytrzymać można wszystko — z wyjątkiem uczucia ciągłego strachu. Och, oczywiście, że to czego się boimy, także jest do wytrzymania; to sam strach przyczynia nam prawdziwych cierpień. Od owego pamiętnego dnia nigdy więcej nie obawiałam się ojca i z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że życie bez strachu to prawdziwy luksus, tyle że okupiony wysoką ceną. Najpierw bowiem trzeba zaznać czegoś, na co żaden człowiek nie zasługuje, a potem jeszcze wciąż mieć w pamięci to, czego się doświadczyło. Wielka szkoda, że cierpienie wpisane jest w ludzką dolę...

Mnie przynajmniej oszczędzono losu matki.

A podziękować za to mogę wyłącznie Jamesowi.

Szacunek

Samozadowolenie to największy wróg miłości.

Ciasto porterowe

To chyba najczęściej robione przeze mnie ciasto. W sam raz na Boże Narodzenie.

Do miski wsyp pół kila mąki, ćwierć łyżeczki sody oczyszczonej i po małej łyżeczce przypraw: cynamonu, gałki muszkatołowej i co tam masz pod ręką i lubisz. Wymieszaj wszystko i odstaw na bok. W drugiej miseczce roztrzep cztery całe jaja i także odstaw. Do porządnego rondla wlej małą butelkę guinnessa, dodaj około pół kila brązowego cukru, po pół kila rodzynek i migdałów, 10 deka startej skórki z cytrusów i kostkę margaryny. Postaw na ogniu i zagotuj; niech wrze przez pięć minut, a przez kolejne pięć tylko popyrkuje. Teraz wrzuć do rondla około dziesięciu deka wiśni kandyzowanych i zostaw na wolnym ogniu przez dalsze pięć minut. Zdejmij z ognia i pozostaw do ostygnięcia. Kiedy jest mniej niż letnie, połącz z przygotowaną mąką, a potem dodaj rozbełtane jaja (ostrożnie, żeby nie porobiły się grudki!). Całość przelej do wysokiej formy wyłożonej pergaminem. Wstaw do średnio nagrzanego pieca i piecz przez dwie i pół albo nawet trzy godziny.

Rozdział dwudziesty piąty

Nowy Jork, 2004

Najczęściej popełniany przez kucharki błąd to zaufanie do sprawdzonych przepisów. Prędzej czy później każdy, nawet najbardziej wypróbowany przepis zawiedzie, a najczęściej dzieje się to niestety wtedy, gdy trzeba pochwalić się przed szerszym gremium. Pół biedy, jeśli za widownię ma się członków bliższej czy dalszej rodziny — gorzej, kiedy trzeba się gimnastykować przed zupełnie obcymi ludźmi.

Prawdę powiedziawszy nigdy nie rozumiałam tych typów, którzy wolą zrezygnować z pikniku na otwartym powietrzu i mimo ładnej pogody dają się zapędzić do studia telewizyjnego, gdzie jak wszystkim wiadomo, jest tłoczno, duszno i w ogóle beznadziejnie, po to tylko, by śledzić zmagania znanej im z łamów osoby, walczącej z nie chcącym wyrosnąć ciastem porterowym.

— Nie mam pojęcia, czemu nie chce urosnąć — skarżę się rozżalonym tonem.

— A na pewno dodałaś środek spulchniający?

Nie wiedziałam, że reżyser programu zna się na pieczeniu ciast, myślę ze złością, na głos zaś mówię:

— Chyba będziemy musieli to powtórzyć.

— Nie ma mowy! — protestuje reżyser. — Widownia dłużej nie wytrzyma. Byli świadkiem opadłego sufletu i przypalonego indyka, a teraz masz babo placek! — No, no, kto by pomyślał, zna się też na żartach... — Jeszcze chwila i się na nas rzucą z widelcami!

Reżyser psioczy, a ja się zastanawiam, co poszło nie tak. Przecież przepis jest dziecinnie prosty. Robię to ciasto, odkąd skończyłam siedem lat—jak dziś pamiętam, że odliczając dla Babci jajka, uczyłam się liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery...

Jakiś czas temu zadzwonił do mnie agent z informacją, że jedna ze stacji telewizyjnych jest zainteresowana wprowadzeniem na antenę programu w całości poświęconego kucharzeniu i że zostałam wybrana do zdjęć próbnych. Było to dokładnie to, o czym od długiego czasu marzyłam — dzięki programowi mogłabym sprzedać więcej swoich książek i z pewnością po tym pierwszym przyszłyby inne zlecenia, dla innych stacji — jednym słowem, przyszłość malowała się różowo.

Do czasu kiedy okazało się, że telewizja to o wiele trudniejsze medium od prasy.

Odkąd tu weszłam, czuję się jak na cenzurowanym. Na ręce gapi mi się tłum wymęczonych i głodnych jak wilki ludzi, którzy za dziesięć dolców i darmowy lunch cały ranek odsiadują sobie tyłki. Najpierw uraczono ich pokazem manikiuru w wykonaniu Shelly, podczas którego musieli wydawać okrzyki zachwytu „och!” i „ach!”, a kiedy zaostrzyli sobie apetyt, rzucono im na pożarcie mnie. Nic dziwnego, że suflet nie wyszedł, indyk się przypalił, a ciasto porterowe odmówiło współpracy. Dobrze choć, że biedny kamerzysta przeżył wypadek (najechał na indyczą wątróbkę i o mały włos byłby spadł ze swego śmiesznego woziku, za co niechybnie trafiłabym do kryminału).

Cóż, zdarzały mi się bardziej udane sobotnie ranki.

A przecież wybrałam ciasto porterowe, żeby uniknąć wpadki, no i dlatego, że po wyjęciu z piekarnika prezentuje się naprawdę wspaniale — nie jak jakieś tam współczesne fiu-bździu, dobre dla anorektyczek, ale jak prawdziwe ciasto, którym można się najeść do syta. Poza tym przepis jest solidny i jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się, żeby ciasto nie wyrosło — zawsze mu było obojętne, ile razy uchylałam drzwiczki piekarnika, i nie kręciło nosem na najdrobniejszy przeciąg.

Ten zakalec to podwójna katastrofa. Ludzie są przyzwyczajeni do opadających sufletów, ale żeby spieprzyć zwykłe ciasto, trzeba mieć wyjątkowy talent. Do tego reżyser ma gdzieś, że jestem tutaj nowicjuską trzęsącą się z nerwów — za długo to robi, naoglądał się nieudaczników i jego priorytetem jest ukończyć zdjęcia w przewidzianym czasie.

— No dobrze — mówi teraz. — Tych puszczamy wolno. O czternastej do studia czwartego wpuszczają świeżych. Mamy czas, żeby wszystko przygotować, tu sfilmujemy kulinaria, a tam reakcje widowni. Małe oszustwo nikomu nie zaszkodzi...

O żeż ty! mysTe sobie.

— Ale czy to będzie dobrze wyglądać? — pytam, chociaż wiem, że nikt nie lubi, by podważać jego autorytet. Zwłaszcza ja.

I zadufani w sobie reżyserzy.

— Będzie wyglądać w sam raz. W końcu żadna gwiazda z ciebie.

Tak jak mówiłam: przyjemniaczek.

Marzyłam tylko o tym, by ten dzień nareszcie się skończył i że bym mogła pójść do domu. Dwanaście godzin wystarczyło, bym z chmur z hukiem spadła na ziemię. Minionego wieczoru wierzyłam, że los się do mnie

uśmiechnął i oto otwiera się przede mną nowa szansa, teraz byłam bliska załamania nerwowego. Cóż, myślałam sobie, najwyżej okaże się, że nie jestem stworzona do gotowania na ekranie. To jeszcze nie koniec świata. Kiedy jednak spojrzałam na uśmiechającego się pod wąsem reżysera, zrozumiałam, że być może nie jestem stworzona do gotowania w ogóle.

Za którymś razem ciasto w końcu się udało. Niestety nie była to dobra wiadomość. Tuż zanim zesłam z planu, kogo ujrzały moje oczy? Ni mniej, ni więcej, tylko Ronana Robertsona, mojego eks, tego, z którym spotykałam się przed Danem i który porzucił mnie dla szczapowatej modelki. Z wielkim trudem dobrnęłam do ostatnich minut programu, cały czas czując na sobie spojrzenie Ronana. Nie wiem, czy reżyser był w końcu usatysfakcjonowany, a widownia zaspokojona, gdyż głowę zaprzętało mi tylko jedno: coś złego wisi w powietrzu i nie jestem w stanie temu zapobiec — o czym dobitnie świadczyły oblewające mnie fale gorąca.

Kiedy podchodziłam do niego (nie wypadało się nie przywitać), nogi miałam niczym z waty, tak jakby moje ciało zapamiętało, jak bardzo go pragnęłam tej nocy, którą razem spędziliśmy. Do ówczesnego napięcia z pewnością przyczyniły się okoliczności naszego poznania się — najpierw wymuszona sztywność oficjalnego bankietu, później nieoczekiwane szybka fizyczna zażyłość. Teraz także zmysły miałam wyczulone i w gotowości, choć wcale tego nie chciałam.

— Ronan... — Odchrząknęłam, żeby pokryć zmieszanie.

— Tressa... — Och, miał ten sam gardłowy, seksowny głos i to samo zagadkowe spojrzenie. To przez nie wylądowałam z nim wtedy w łóżku.

To znaczy przez nie i przez morze alkoholu.

— Muszę się napić. Pójdziemy gdzieś?

Czułam się bezpiecznie mimo wysyłanych przez moje ciało sygnałów; jako stateczna mężatka mogłam sobie przecież pozwolić na niewinny flirt, a poza tym temu pajacowi należała się nauczka — niech wie, co stracił. Jednakże Ronan mnie zadziwił. Był jakiś przygaszony, w niczym nie przypominał tamtego podrywacza, który mnie uwiódł i rzucił w ciągu zaledwie parunastu godzin. Na moją propozycję wzruszył tylko ramionami, chociaż zaraz powlókł się za mną do wyjścia. W taksówce zaległa niezręczna cisza.

— Słuchaj — zaczęłam niepewnie — jesteś pewien, że masz ochotę na tego drinka? Jakoś niewyraźnie wyglądasz...

Spojrzał na mnie dziwnie i szepnął:

— Ale z ciebie sztuka, Tressa.

Nie miałam pojęcia, co chce przez to powiedzieć, ale na wszelki wypadek nie poprosiłam o wyjaśnienie, gdyż odrobina tajemniczości mi nie przeszkadzała. Gdy znów wbił wzrok przed siebie, przyjrzałam mu się uważniej — i natychmiast tego pożałowałam. Choć żaden z niego przystojniak (nawet się nie umywa do Dana), ma w sobie coś, co nieodparcie mnie do niego przyciąga. Nie potrafię powiedzieć, co to takiego dokładnie, ale na pewno ma to związek z jego poczuciem humoru, wykształceniem, zawodem, pasją życiową... Tak, to chyba musi być to. Przy Ronanie czuję się tak, jakbyśmy znali się całe życie, przegadali niezliczone godziny i wciąż mieli sobie wiele do powiedzenia, jakby był moją pokrewną duszą, drugą połówką i tak dalej. Choć przespałam się z nim tego samego dnia, kiedy go poznałam, wcale nie wydawało mi się, że zachowuję się jak dziwka — tak właśnie miało być: byliśmy sobie przeznaczeni. Spędziliśmy ze sobą raptem pół nocy, a ja czułam się z nim jak z nikim przed nim ani po nim. Seks był bajeczny i co ważniejsze — to nie był tylko seks. Po wszystkim leżałam wtulona w jego ciało, rozkoszując się bardzo wspólnie niedocenianym uczuciem bliskości, nie mającym nic wspólnego ze spółkowaniem. Czułam się tak, jakbym słuchała piosenki miłosnej napisanej specjalnie o mnie. Przemknęła mi nawet myśl, że musieliśmy być kochankami w poprzednim życiu, i dałabym sobie głowę uciąć, że Ronan czuł kropka w kropkę to samo.

A potem nawet nie zadzwonił i zaczął umawiać się z jakąś modelką — o czym było głośno w branży — tak że nie miałam innego wyjścia, jak tylko postawić na nim krzyżyk. „Arogancka świnia”, taką łatkę mu przyklepiłam i nie zaszczyciłam jedną myślą. Pokrewieństwo dusz poszło w odstawkę, wróciło ulubione powiedzonko, że wszyscy faceci to dranie.

No a teraz znowu się spotkaliśmy. Siedział tuż obok mnie, ubrany w niebieską koszulę — pod kolor oczu, tak się składa — i z wypielegnowanymi rękoma kucharza, zaciśniętymi teraz w pięści.

— Nawet nie zadzwoniłaś!

O n miał czelność robić wymówki mnie! Niewiarygodne!

— To ty nie zadzwoniłaś! — sprostowałam.

— Tressa, naprawdę muszę ci przypominać, że wychodząc zapowiedziałaś, żebym do ciebie nie dzwonił, że sama się odezwiesz? Czułem się jak na rozmowie kwalifikacyjnej: „Skontaktujemy się z panem”...

— Ależ skąd! — zaprzeczyłam. — Wyraźnie pamiętam, jak ty obiecywałaś, że do mnie zadzwonisz...

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

— To t y obiecywałaś, Tressa — powtórzył i nagle się roześmiał. Oczy miał błyszczące, na twarzy uśmiech sześć na dziewięć i w ogóle całego go przepelniało światło. Serce we mnie urosło, ponieważ wiedziałam, że ta zmiana dokonała się za moją sprawą.

— O co w tym wszystkim chodzi? Zachowujemy się jak...

— ...para smarkaczy? — wpadłam mu w słowo.

Oparł łokieć o podpórkę na drzwiach, twarz ukrył w dłoni i raz po raz potrząsał głową. Wreszcie rozczapierzył palce, zza których błysnęły jego rozbawione oczy.

— Gorzej... Znacznie gorzej. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje, ale czuję się jak... Sam nie wiem — powtórzył bezradnie.

Ja też nie wiedziałam. To znaczy oczywiście wiedziałam, tylko nie mogłam tego przyznać, nawet sama przed sobą. Było nie było, miałam męża.

— Naprawdę muszę się napić — wypaliłam.

Gdy dojechaliśmy do centrum, kazaliśmy taksówkarzowi stanąć przy najbliższym barze. Roilo się w nim od turystów, głowa pękała od hałasu, na dodatek żadne z nas nigdy tam nie było. Zaraz po wejściu zamówiłam nam po tequili, chociaż sama rzadko pijam czysty alkohol — być może w ten sposób udawałam, że to nie ja, tylko inna kobieta znalazła się w barze z Ronanem. Taka, która jest stuprocentowo wolna i ma prawo się zakochać. A może alkohol był mi potrzebny do tej mieszanki emocji i adrenaliny, której doświadczałam, odkąd moje oczy spoczęły dziś na Ronanie. Albo też zwyczajnie chciałam się upić, aby zapomnieć o przysiędze małżeńskiej...

Godzinę zajęło nam uaktualnienie wiadomości. Ronan poinformował mnie, że modelk ma po dziurki w nosie — był w tym tak przekonujący, że z mety mu uwierzyłam (inna sprawa, że nietrudno wmówić lekko wstawionej trzydziestoośmiolatce, iż to ona jest kobietą marzeń faceta, na którego leci). Zdawał się szczerze zmartwiony komedią pomyłek, w której wyniku czekał na mój telefon, podczas gdy ja obraziłam się na niego i wyszłam za mąż.

— Zatem jesteś mężatką — skwitował z rezygnacją.

— Tak — przyznałam rozpromieniona, bardziej z powodu komplementów, które mi prawił, aniżeli z racji swego stanu cywilnego. Szłam jednak za ciosem. — I to szczęśliwą mężatką.

E tam, pomyślałam. Nie mogę być szczęśliwa z Danem, skoro siedzę w barze z praktycznie obcym mężczyzną... Nim jednak zdążyłam się nad tym

zastanowić, Ronan spojrzał mi głęboko w oczy (tak jak to tylko on potrafi) i wymruczał:

— Wiele o tobie myślałem...

Zawiesił głos, jak gdyby miał coś więcej do powiedzenia, ale nie był w stanie się przemóc, by to wyartykułować. Rozumiałam to. Sama chciałam mu wykrzyczeć, że go kocham i że jesteśmy sobie pisani, ale hamował mnie strach, że jest już za późno na takie wyznania. Wiadomo, mężczyźnie jest jeszcze trudniej. Nagle przyszło otrzeźwienie: nie, właściwie najtrudniej jest zameężnej kobiecie. Przecież ja mam Dana...

Nic wszakże nie uczyniłam, aby zapobiec nieuniknionemu.

Nachyliliśmy się ku sobie i się pocałowali. Nie był to szybki, skradziony całus, który ewentualnie można by wytłumaczyć, lecz powolny, długi, miękki i słodki pocałunek, który wydawał mi się niemal doskonały. Tak doskonały, że w okamgnieniu wytrzeźwiałam. To co zaszło w łazience między mną i Angelem, było niezmiernie silne, ale złe, tymczasem ja i Ronan zdawaliśmy się dla siebie stworzeni i cokolwiek byśmy zrobili, nie mogło być niewłaściwe. Uprzytomniłam sobie, że choć z Danem jest mi dobrze, nigdy nie będę z nim szczęśliwa, gdyż tylko z jednym człowiekiem na ziemi będzie mi dane doświadczyć pełnego szczęścia. Z Ronanem. Wraz ze zrozumieniem przyszła ulga.

I rozpacz. Ponieważ poślubiłam kogo innego.

Było to tak smutne, że natychmiast zamówiłam następną tequile, którą wypić musiałam duszkiem, nie zważając, że pali mi język i gardło. Chwilę potem ponownie machałam na barmana, lecz zanim zdążył znów mi dolać, wybełkotałam:

— Czy macie wolne pokoje? Ronan poderwał się ze stołka.

— Nie, Tressa, nie... Tak nie można. Przecież jesteś mężatką i...

Jego oczy mówiły zupełnie co innego. Musieliśmy jednak powiedzieć napisane dla nas kwestie. Jak w filmie.

— ...i co? — zapytałam schrypniętym głosem, czując rumieniec na twarzy i zastanawiając się, czy wyglądam równie dobrze, jak się czuję.

Przynajmniej w oczach Ronana musiałam wyglądać pięknie, gdyż machnął ręką na skrupuły i wydusił:

— I cię pragnę. Tylko tyle. Aż tyle.

Pokój, do którego klucz dostaliśmy (nad barem był mały hotel), poraził nas kolorem i przestrzenią, szybko jednak zapomnieliśmy o tych nieistotnych szczegółach. Rzuciliśmy się na siebie w gorączce, zdzierając sobie

nawzajem ubrania i rozłączając się tylko po to, by ściągnąć trudniejsze części garderoby. Kiedy Ronan mocował się z guzikami koszuli, moje spojrzenie padło na wielkie lustro, którego z początku nie zauważyłam. Odbijała się w nim moja twarz — z rozmazanym makijażem, świecąca od potu i z czerwonymi plackami po alkoholu — tak niepodobna do twarzy starej dobrej Tressy, że przez ułamek sekundy sądziłam, iż patrzę na zupełnie obcą kobietę przez szybę dzielącą dwa pokoje.

To mam być ja? myślałam. Na skraju cudzołóstwa w podłym hotelu? Popatrz na to z innej strony, powiedział jakiś głosik w mojej głowie. Nie robisz nic złego, po prostu podążasz za głosem serca. Przecież serce nie kłamie, nie można go ignorować, zwłaszcza jeśli to co czujesz, jest tak silne. Nie na darmo miłość od pierwszego wejrzenia i przemożna namiętność od zarania są tematami piosenek i filmów. Grzechem byłoby nie posłuchać zewu miłości. Dan z pewnością by to zrozumiał...

Wystarczyła nanosekunda, w czasie której przed oczami pojawiła mi się uśmiechnięta uczciwa twarz mojego męża, żeby podniecenie opuściło mnie całkowicie. Musiałam zachować się tak, jak mężatce przystało. Oparłam się Angelowi, który chciał przy mojej pomocy zaspokoić swoje chucie, a teraz proszę — sama postępuję podobnie. Tyle że w tym wypadku nie byłby to niewinny numerek, od którego nikomu nie stałaby się krzywda; seks z Ronanem był zbyt na miejscu, upragniony i właściwy, żeby skończyło się na jednym razie.

— Muszę już iść — rzuciłam, zapinając w pośpiechu bluzkę i łapiąc torebkę. — Po drodze zapłacę za pokój.

— Tressa! Nie możesz tak sobie wyjść. Nie możesz mnie tak zostawić...

Zerknęłam na niego, starając się krótkim spojrzeniem wyrazić swoje przeprosiny; bałam się dłużej zawiesić na nim wzrok, na wypadek gdybym miała znów zmienić zdanie.

— Ronan, po prostu nie potrafię.

— Ale Tressa, ja nawet nie mam twojego numeru telefonu... Proszę, nie odchodź...

Czekając na windę pomyślałam, że nie zaszkodzi, jeśli zostawię mu ten nieszczęsny numer. Wróciłam się więc do pokoju, lecz nim otworzyłam drzwi, usłyszałam, jak Ronan usiłuje kogoś przekonać, by w środku nocy przyjechał do nie znanego sobie baru. Wrzuciłam wizytówkę z powrotem do torebki i pobiegłam łapać windę.

Rozdział dwudziesty szósty

Irlandia, 1964

Gdy życie przynosi wielkie zmiany, rozpaczliwie czepiamy się drobiazgów, tego, co utrzymuje nas w przekonaniu, że wszystko pozostaje po starym.

Moje ciało zawiodło mnie stosunkowo wcześniej. Jeszcze przed pięćdziesiątką zaczęło wariować i zachowywać się niczym zbuntowany nastolatek; uderzenia gorąca przychodziły i odchodziły, kiedy chciały, dłonie miałam nieustannie spocone, na twarz występowały mi plamy i krosty. Rozpierała mnie jakaś niezdrowa energia, szukająca ujścia przez koniuszki palców u rąk i nóg, tak że nie przestawałam szyć i robić na drutach, i biegać pod domu jak kot z pęcherzem przez cały Boży dzień, aż w końcu padałam na nos, niewiele zdziaławszy. Bez przerwy chciało mi się płakać, zupełnie bez powodu, i to było mi chyba znieść najciężej, gdyż całe życie byłam osobą zrównoważoną i nie lubiłam okazywać emocji. Kiedy już płakałam, musiał być po temu ważny powód, toteż tym bardziej irytowała mnie słabość starzejącej się kobiety, którą się stawałam wbrew własnej woli.

Ratunek przyniosły mi prace domowe, mała wyspa pewności na oceanie niepokoju.

Jako że zawsze byłam skrzętną gospodynią i dom właściwie prowadził się sam, musiałam wymyślać sobie nowe zajęcia. Wyszukiwałam stare i nieużywane wełniane rzeczy, od dziurawych skarpetek począwszy, a na poprzecieranych na łokciach swetrach skończywszy, pruć je i przerabiałam na ohydne melanże, z których dziergałam równie ohydne kardigany (James nosił je później bez słowa sprzeciwu). Na szydełku robiłam pokrowce i zagłówki na meble i szyłam ozdobne serwetki tak długo, aż każda nadająca się po temu powierzchnia zakryta była koronką. Wtedy przerzucałam się na inne rękodzieło. Sprokurowałam dziesiątki ściereczek i wyściółek, najbardziej zaś wyszukane moje produkty, a zarazem najmniej praktyczne, to okładka na codzienną gazetę Jamesa — uszyta z delikatnego płótna i opatrzona haftowanym monogramem, a także zbiór oryginalnych pudełek do przechowywania jego kapelusza, rękawiczek i fularów. Wszystko co nadawało się do przerobienia, zostało przeze mnie przerobione: ze starych płaszczy przeciwdeszczowych powstały fartuchy do pracy w ogrodzie, nie noszone od dawna filcowe kapelusze zamieniły się w praktyczne rękawice do rondli. Jednego popołudnia, kiedy dolegliwości wyjątkowo dawały mi się

we znaki, przypuściłam atak na dziecięce łauszki, dotąd pieczołowicie przeze mnie hołubione, i pocięłam je na szmatki, którymi powypychałam ozdobne poduszki na sofę. Na widok kupki kolorowych gałganków popłakałam się rzewnie za utraconą młodością i marzeniami.

Wtedy także po raz pierwszy zaczęłam używać różnych rodzajów ścierek do czyszczenia różnych powierzchni, co Niamh przezwiała moim szmatkowym nałogiem, który nawiasem mówiąc pozostał mi po dziś dzień. (Wieloletnie doświadczenie nauczyło mnie, że bawełna jest najlepsza do mycia, a jedwab i nylon do polerowania.) W domu pojawiły się specjalne szmatki do mycia porcelany, inne znów do jej wycierania i nadawania połysku; czym innym szorowało się rondle, czym innym myło zwykłe naczynia; do podłogi oprócz szczotek miałam cały zestaw szmat. Jeśli przez przypadek schwytałam niewłaściwą i w ferworze porządków nie zorientowałam się na czas, dodawałam sobie roboty, gdyż nieprawidłowo wyczyszczona powierzchnia się nie liczyła i trzeba było wszystko zaczynać od nowa.

Można zatem powiedzieć, że wraz z dezintegracją mojego starzejącego się ciała następowała dezintegracja osobowości, którą dopadały rozmaite neurozy. Ze smutkiem żegnałam płodne lata, starając się zapełnić powstałą pustkę czymkolwiek. Niestety wraz z utratą jedyne prawdziwego celu w życiu i pomimo rozpaczliwych poszukiwań nowego coraz mniej sensu widziałam w swej marnej egzystencji.

Gdybym urodziła się parędziesiąt lat później, mogłabym ten okres życia spożytkować, na przykład podejmując studia — a tak do dziś' znajduję w szafach paskudne kardigany, w szufladach poskładane w kostkę serwetki, a w sieni kupy szmat.

Jednym słowem, był to najgorszy okres w moim życiu. Spodziewałam się mądrości, która miała na mnie spłynąć wraz z wiekiem, a tymczasem natura spletała mi figla, przyśpieszając bieg czasu, jeśli chodzi o ciało, a cofając, gdy idzie o umysł.

Lata średnie kobiety to niespokojny czas, kiedy robi się rzeczy, o jakich normalnie nigdy by się nie pomyślało.

No bo kto przy zdrowych zmysłach obraża księdza biskupa?

Proboszcz — jako przewodniczący rady szkolnej — był przełożonym Jamesa, przełożonym proboszcza zaś był oczywiście biskup. Jeden i drugi czuł się niezmiernie ważny i wymagał niemal czołobitności. W obecności tego ostatniego właściwie nie wypadało robić nic poza — w zależności od

nastroju jego ekscelencji — pocałowaniem powietrza nad biskupim pierścieniem bądź poruszaniem się na klęczkach z głupawym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Krótko mówiąc, o ile akurat nie było się wyżej w hierarchii (to znaczy ani kardynałem, ani papieżem, na co nawet największa irlandzka dewotka nie ma większych szans), praktycznie nie powinno się w obecności biskupa oddychać. Pasterz diecezji był dla nas Bogiem i basta, chyba że chcieliśmy wypić wino z tym prawdziwym — ale cóż, wtedy należałoby umrzeć.

James, będąc człowiekiem wykształconym i uświadomionym politycznie, w duchu naśmiewał się z ich pompatyczności i przestarzałych o co najmniej jedno millenium rytuałów, jednakże musiał je akceptować, gdyż jako nauczyciel był na nie skazany — wówczas każda szkoła w Irlandii była prowadzona przez Kościół katolicki.

Raz w miesiącu, po mszy, proboszcz odczytywał z ambony wkład parafian w życie parafii — czytaj: jego własne. Zaszczytne pierwsze miejsce zajmował bogaty sklepikarz ze swoimi dziesięcioma szylingami, a haniebne ostatnie ten czy inny biedak, który ledwie wiązał koniec z końcem i nie mógł ofiarować na tacę więcej niż pół pensa. Oboje z Jamesem uważaliśmy tę praktykę za oburzającą, chociaż nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. James czerwienia! na twarzy ze złości, ilekroć z ambony padały liczby, ja zaś udawałam, że tego nie dostrzegam. Gdybym rzekła choć słówko, podałamby w wątpliwość konsekwencję zasad moralnych Jamesa, a tego zrobić nie mogłam, jako że wiedziałam, iż priorytetem dla niego jest edukacja miejscowych dzieci i zapewnienie godziwego utrzymania swej żonie i córce. - W ciągu czterdziestu lat, które James przepracował w szkolnictwie, a co za tym idzie dla Kościoła, ani razu na głos nie wyraził swoich obiekcji, nie zażartował z hierarchów ani nie powążył się oceniać ich postępowania. Z drugiej strony wszakże daleko mu było do czołobitności. Jego wykształcenie, reputacja i pozycja w lokalnej społeczności czyniły go równym duchownym, których traktował z szacunkiem, a że był to taki sam szacunek, jaki okazywał każdej żywej istocie, to już inna sprawa.

Naturalnie nie muszę dodawać, że od żony nauczyciela wymagano równie nieskazitelnej postawy.

Raz do roku biskup Dunne zaszczycał swą obecnością uroczystość bierzmowania w Kilkelly. Do moich obowiązków należało podawanie przekąsek i napojów podczas małego przyjęcia, które zawsze odbywało się po zakończonej uroczystości. Jednego roku, kiedy dolegliwości kobiece

wyjątkowo dawały mi się we znaki, postanowiłam przejść samą siebie i z małego przyjęcia uczynić istny bankiet po to tylko, by mieć czym zająć niespokojne ręce. Stoły z nieoheblowanych desek nakryte zostały moimi przednimi obrusami, skromną parafialną zastawę zastąpiła moja własna, na którą przez cały rok dmuchałam i chuchałam, na niej zaś pyszniły się kulinarne cuda i cudeńka. Wcześniej na kolanach wyszorowałam podłogi, usuwając spomiędzy desek zastarzały brud i śmieci, własnoręcznie doprowadziłam do porządku toalety, wypolerowałam kurki z wodą i zamiotłam schody frontowe, tak że w końcu miejsce naprawdę było godne biskupa. Okupiłam to wielkim zmęczeniem, a James nie mógł pojąć, po co zadałam sobie cały ten trud, miał jednak na tyle taktu, że o nic nie pytał. I dobrze, gdyż prawdę powiedziawszy, sama nie wiedziałam. W głębi duszy zaczynałam się o siebie martwić, podejrzewając, że tracę zmysły.

W dzień wizyty biskupa wystroiłam się tak, jakbym miała audiencję u królowej. Chociaż bardzo rzadko nakładałam makijaż, i to na ogół tylko odrobinę szminki przy niedzieli, tamtego dnia, z powodów będących dla mnie tajemnicą po dziś dzień, użyłam hojnie różu i niebieskiego cienia do powiek. Po długiej deliberacji przed garderobą zdecydowałam się nałożyć purpurowy dwuczęściowy kostium, nieco na mnie przyciasny.

Kiedy pojawiłam się na miejscu przyjęcia, aby dokończyć przygotowania, pozostałe kobiety popatrywały na mnie z ukosa, lecz nie zważałam na nie. Dopiero zaszedłszy do toalety zorientowałam się, że róż spłynął mi po twarzy wraz z potem, tak że wyglądałam niczym Indianin wymalowany w barwy wojenne. Chciało mi się płakać, ostatek woli wzięłam się jednak w garść. Przez całe popołudnie byłam zła jak osa. Złościłam się, że tyle się napracowałam na darmo, wściekałam, że parafianki wykluczają mnie ze swojego kręgu, złorzeczyłam na kiepskiej jakości kosmetyki, nieuchronny koniec mojej kobiecości, a nade wszystko na targające mną wbrew mej woli emocje.

No i jeszcze na księdza biskupa.

Każdego roku wpływał do tej sali w paradnych szatach, wyglądając niczym średniowieczna panna młoda z królewskiego rodu. Nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem rodziców bierzmowanych uczniów, nie zniżał się do tego, by podziękować nadskakującym mu parafiankom. Właśnie przyjęte na łono Kościoła dzieci schodziły na plan dalszy — w przenośni i dosłownie — podczas gdy jego ekscelencja sunął w stronę stołu z przekąskami, po drodze kiwając mi głową na znak, że jest gotów spożyć dary Boże.

Co za okropny człowiek, myślałam, krojąc dla niego gruby plaster ciasta porterowego, normalnie zarezerwowanego na święta Bożego Narodzenia. Wcale nie zasługuje, by je jeść, marudziłam dalej w duchu, mimo wszystko podając mu usłużnie talerzyk. Nawet się nie pozna na smaku...

Zmierzył mnie wzrokiem, jak zwykle pełnym pogardy, po czym ujął ciasto i odgryzł potężny kęs.

— Ergh — wykrztusił z pełnymi ustami — z tym ciastem jest coś nie tak.

Biskup Dunne był znany ze swych okrutnych, niegrzecznych odzywek — krążyły plotki, że żadna gospodyni nie zagrzała u niego miejsca. Wszelako ja nie byłam jego gospodynią ani tym bardziej jego sługą — podobnie jak on, ta pokraczna karykatura człowieka, nie był prawdziwą sługą Bożym. A przede wszystkim: moje ciasto było jak najbardziej „tak”!

— Ojczy, a może z ojcem coś jest nie tak?...

Jego ekscelencja wyglądał, jakby uderzył w niego piorun. Jak przypuszczam dlatego, że zasugerowałam, jaki z niego podły skurczybyk, a także z tego powodu, że nie użyłam właściwego tytułu. Odłożył talerzyk i bez słowa, acz w bardzo malowniczej aurze gniewu, wyparował na zewnątrz.

W tej samej chwili gdy zobaczyłam jego plecy znikające za drzwiami, ogarnęła mnie istna panika. Co ja najlepszego zrobiłam?! Moment później jednak, gdy ostatnia furkocząca poła jego stroju dogoniła go na dworze, poczułam, jak atmosfera na sali staje się zdecydowanie lżejsza. Nieomal oczekiwałam, że rozlegną się oklaski. Bridie Malone podeszła do mnie i szepnęła:

— Od dawna mu się należało! Brawo, Bernadine!

Przez krótką chwilę czułam się dumna i już miałam się uśmiechnąć, kiedy w drzwiach stanął James. Nie wyglądał na zadowolonego.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nowy Jork, 2004

— Dan, muszę ci o czymś powiedzieć.

Nawet jeśli go to stwierdzenie przstraszyło, było to niczym w porównaniu z przerażeniem, które ja czułam.

— Chcesz ode mnie odejść. Zdębiałam. Czyżby coś podejrzewał?

— Nie, nie chcę od ciebie odejść...

— W takim razie to może poczekać — roześmiał się radośnie. — No, nie rób takiej ponurej miny. Lepiej powiedz, która godzina... Gerry obiecał, że przyjdzie na drugą, żeby mi pomóc z motorem.

Zdaje się, że to miało być jeszcze trudniejsze, niż przypuszczałam.

Minęła doba od niefortunnego tête-à-tête z Ronanem Robertsonem, alkohol i hormony wywietrzały, a ja powoli nabierałam przekonania, że jednak nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Kiedy późno wieczorem wróciłam do domu, mimo szczerych chęci nie udało mi się zasnąć i snułam się po holu jak potępiona dusza, przywołując w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół naszego spotkania — wzajemne zauroczenie, narastające podniecenie, które doprowadziło nas do pokoju hotelowego, jego wzrok na mnie, moje napięcie... Wtedy w dalszym ciągu wydawało mi się, że ja i Ronan to te słynne dwie połówki pomarańczy. Jednakże gdy wreszcie wsunęłam się do łóżka i przytuliłam do śpiącego smacznie Dana, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Cały następny dzień próbowałam je bagatelizować, przydając wydarzeniu znamion romantyczności, podczas gdy rozsądek nie dawał za wygraną i nazywał rzecz po imieniu. Przez bite dwanaście godzin dwie Tressy prowadziły dialog, który równie dobrze mógł być monologiem — żadna nie dawała się przekonać. Moja artystyczna dusza krzyczała, że namiętność nie da się ubrać w ramy i nie można jej tłamsić; ta druga, bardziej pragmatyczna, patrzyła na artystkę z politowaniem i mówiła tylko: „Jesteś teraz mężatką, a mężatki się nie puszczają. To co chciałaś zrobić, byłoby niewybaczalne!” Gdyby ta „rozmowa” nie odbywała się w mojej głowie, w którymś momencie interlokutorki jak nic skoczyłyby sobie do oczu, a tak tylko dostałam okropnej migreny i nosiło mnie od nadmiaru adrenaliny. Wieczorem byłam wykończona i musiałam się poddać. Zresztą od samego początku chciałam to z siebie wyrzucić.

— Dan, ja nie żartuję. Musimy porozmawiać.

Kiedy do niego mówiłam, babrał się w jakichś drobnych, umazanych olejem silnikowym częściach do harleya. Wyglądał jak przerośnięty chłopiec, który nie potrafi oderwać się od swoich zabawek.

— Obiecuję, że wszystko posprzątam... potem. Niedługo przychodzi Gerry i...

— Prawie miałam romans — wypaliłam, patrząc Danowi prosto w oczy.

Chłopiec gdzieś zniknął, pojawił się dorosły mężczyzna. Kiedy przygotowywałam się do tego wyznania, spodziewałam się, że reakcją Dana będzie szok, ból, może nawet łzy, tymczasem ogarnął go gniew. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam i chyba trochę się wystraszyłam.

— Jak to: prawie miałaś romans? — zapytał martwym głosem.

— No... ja...

— Co rozumiesz przez „prawie”? — Dan nie zamierzał dać za wygraną, domagał się konkretnej odpowiedzi.

— No więc... W studiu telewizyjnym wpadłam na faceta, z którym się kiedyś spotykałam, no i po zdjęciach wyskoczyliśmy na drinka i...

— Poszłaś z nim do łóżka?

— Nie.

— Chciałaś się z nim przespać?

— Tak... nie... tak... To znaczy nie wiem.

— Całowaliście się?

— Chyba tak... Nie pamiętam zbyt dobrze.

— Nie wciskaj mi tu kitu, Tressa! Całowałaś się z nim czy nie?

— T... tak! — Był to na poły krzyk, na poły szloch. Nawet nie wiedziałam, że tak potrafię. Czułam się tak, jakbym odgrywała tę scenę, i ani trochę mi się to nie podobało.

— Podobało ci się to? — Kolejne pytanie Dana wdarło się w moje przemyślenia. Zadał je tak zimnym i pogardliwym tonem, że niemal nie poznałam jego głosu. Kiedy nie odpowiedziałam od razu, zarzucił mnie pytaniami pomocniczymi: — No, jak było? Czułaś się podniecona, sprawiało ci to przyjemność?...

Naprawdę zaczynałam się bać. Tego obcego człowieka w Danie i tego, że Dan, którego znałam, był na mnie coraz bardziej zły.

— Dan, ty nic nie rozumiesz...

— Czego konkretnie nie rozumiem twoim zdaniem, co? Moja żona wyszła do pracy i niemal przespała się z jakimś pajacem. Co tu jest do rozumienia?

— Przestań! Przestań tak mówić i tak się zachowywać! Bądź sobą!

— To znaczy tym sentymentalnym głupkiem, który świata poza tobą nie widzi i który wybaczy ci wszystko?

— Proszę, przestań...

— Czego ty ode mnie właściwie chcesz, Tressa, co? Żebym błagał cię na kolanach, abyś ze mną została?

— Ale ja wcale nie mam zamiaru cię rzucić!

— No to w takim razie może ja powinienem rzucić ciebie! — Wydarł się i złapawszy brudną ręką stojącą nieopodal filiżankę, cisnął nią przez całą kuchnię. Wrzasnęłam, co nieco go ostudziło; stał naprzeciwko mnie dysząc, usta miał wygięte w paskudnym grymasie, oczy wielkie i przepełnione smutkiem i... tak, to chyba był strach. Czy mi się wydawało, czy rzeczywiście dostrzegłam w nich prośbę? Jeśli nawet, jej miejsce szybko zajęła złość. — Bo od samego początku wydajesz się ze mną nieszczęśliwa i wiesz co? Ja też zaczynam być przy tobie nieszczęśliwy! Może najlepiej będzie się rozstać. Zresztą nieważne. I tak wychodzę.

Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Dana już nie było. W uszach wciąż dźwięczał mi huk zatraskiwanych tylnych drzwi.

Drżałam na całym ciele. Z szoku, ponieważ Dan napędził mi niezłego strachu, a także dlatego że miał rację. Ja faktycznie uważałam go za wielkiego łagodnego misia, który przełknie wszystko. Do tego doszła jeszcze obawa, że Dan rzeczywiście mnie opuści. Tyle miesięcy niepewności, bicia się z własnymi myślami i uczuciami, a tu proszę — znowu Dan ma w ręku wszystkie atuty.

Jakieś dziesięć minut później ktoś zapukał do drzwi. Gerry. Nie było sensu się przed nim ukrywać: zapowiedział się na drugą, więc skoro już przyszedł, to choćby się waliło i paliło, i tak wszedłby do środka. Wpuścił się sam, od razu wkroczył do kuchni i nie zobaczywszy Dana, skierował się do tylnego wyjścia.

— Pewnie jest w garażu? — rzucił w charakterze przywitania.

— Nie ma go w domu.

— Aha... — skonstatował i jał porządkować części harleya.

— Gotujesz coś, Tressa? — zapytał z nadzieją. Ilekroć wchodził do mojej kuchni, miał nadzieję na ekstra wyżerkę. Ja jednak nie byłam w nastroju do gotowania ani tym bardziej do karmienia wszystkich przybłądów z okolicy.

— Pokłóciliśmy się — wyjaśniłam. — Chyba mnie rzucił.

— O kur...! — Odłożył trzymaną właśnie w ręku rurę wydechową czy też coś, co ją bardzo przypominało, i niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Zdaje

się, że nie uśmiechała mu się rola powiernika. — Napiłbym się kawy — bąknął widząc, że się nie wymiga, i marszcząc czoło, zapytał ogólnikowo: — Co się stało?

Do tej pory nawet nie wiedziałam, że rozpaczliwie potrzebuję się komuś wygadać, nawet jeśli tym kimś miałby być jaskiniowiec Gerry.

— Przyznałam mu się, że prawie miałam romans.

— O kur...! — Na moje wyznanie aż się cofnął i machając rękoma jak rozbitek na bezludnej wyspie do przelatującego samolotu, zaczął się cofać w stronę wyjścia. — To naprawdę nie moja sprawa.

Owszem, Gerry, twoja, pomyślałam. Jesteś najlepszym kumplem Dana, z tego co mi wiadomo, i skoro on nie raczył mnie wysłuchać do końca, ty to zrobisz.

— Wczoraj w pracy spotkałam faceta, z którym kręciłam, zanim poznałam Dana, i przez moment znów wydawało mi się, że to on jest tym jedynym, a z Danem to pomyłka, ale w końcu uświadomiłam sobie, że nawet się do niego nie umywa. Moja miłość do Dana została wystawiona na próbę, ale przetrwała ją... Wybrałam Dana — zakończyłam z tryumfem w głosie. No, wreszcie to sobie poukładałam. Problem rozwiązany, ofiar brak. Dobra robota, Tressa, pochwaliłam się w duchu.

Gerry parsknął i przewrócił oczyma, po czym spojrzał na mnie na poły ze współczuciem, na poły z rozbawieniem.

— Ale Tressa, ty przecież dokonałaś wyboru już wcześniej, wychodząc za Dana. Małżeństwo jest na zawsze, wiesz?

Wziął ze stołu najbliższej leżącej część, zdaje się gaźnik, i zostawiając mnie samą w kuchni, wyszedł do ogrodu, by tam zaczekać na zdradzonego przyjaciela.

Niektórzy mówią, że jeden Bóg zna całą prawdę, a my, śmiertelnicy, możemy tylko dokonywać nieudolnych prób jej interpretacji.

No dobrze... Niech pomyślę...

Według interpretacji numer jeden, Ronan Robertson i ja mieliśmy się ku sobie, ale wskutek niesprzyjających okoliczności, nieporozumienia i ostatecznie mojego wyjścia za mąż straciliśmy swoją szansę. Za sprawą opatrności spotkaliśmy się ponownie i wykorzystaliśmy tę okazję, by otworzyć przed sobą swoje dusze. Utwierdziliśmy się w przekonaniu o wzajemnej oddanej miłości, lecz do spełnienia nie doszło, ponieważ uniemożliwił to mój stan cywilny, co Ronan w pełni rozumiał i uszanował.

Po moim raptownym wyjściu resztę wieczoru spędził rozmawiając ze swym psychoterapeutą.

Według interpretacji numer dwa, Ronan Robertson zrobił sobie jednodniowy urlop od mieszkającej z nim modelki, a że przypadkiem wpadł na swoją eks, która przechodziła akurat kryzys małżeński, i chwilowo mając serdecznie dość gładkich na ciele i umyśle dwudziestolatek, postanowił skorzystać z okazji i się zabawić. Jest mężczyzną zdolnym do powiedzenia każdego kłamstwa, byle zaciągnąć kobietę do łóżka, a do tego niezłym znawcą kobiecej psychiki — stąd ta gadka szmatka o pokrewieństwie dusz, która była balsamem na moje serce. Kiedy plan A nie wypalił, postanowił wdrożyć plan B (zwłaszcza że eks zapłaciła za pokój) i zorganizował sobie zastępstwo. Według interpretacji numer trzy...

Pal licha interpretacje! Jakkolwiek wiele bym ich sprokurowała, i tak nigdy nie poznam prawdy. Muszę natomiast żyć ze świadomością, że zraniłam Dana w sposób najgorszy z możliwych. Można bowiem kogoś zranić, pozostając wiernym samemu sobie, co jest złe, ale wybacalne, gdyż na dłuższą metę wychodzi obojgu na zdrowie. Można też przysporzyć komuś bólu tylko dlatego, że jest się samolubną suką, i na to nie ma wytłumaczenia. Niestety czasem trudno jest rozróżnić, z którym przypadkiem ma się do czynienia... Ha! Następnym razem gdy nie będę pewna, czy poddam się władzy Serca czy Hormonów, nim popełnię głupstwo, skonsultuję się z Sumieniem. Prawdopodobnie nie spodoba mi się to, co usłyszę, ale przynajmniej zachowam się jak porządny człowiek.

Wygląda na to, że miłość przypomina pieczenie ciasta. Nie wolno jej traktować jak czegoś danego raz na zawsze i lepiej wątpić w swoje umiejętności, niż zadufaniem w sobie spowodować katastrofę. I w jednym, i w drugim wypadku raz czy dwa może się upiec, ale na ogół trzeba się mieć na baczności. W przeciwnym razie przyjdzie ponieść konsekwencje...

Rozdział dwudziesty ósmy

Irlandia, 1964

James nie okazał mi gniewu nigdy przedtem, a dwadzieścia lat małżeństwa to okres wystarczająco długi, by przyzwyczać się do tego, że ma się w domu łagodnego, dobrze usposobionego mężczyznę. W ciągu całej naszej znajomości ani razu nie podniósł głosu na zwierzę, dziecko czy człowieka, chociaż służąc w IRA doszedł do stopnia kapitana i czymś musiał na to zasłużyć — ja jednak wolałam nie wiedzieć o tej stronie jego osobowości i nigdy nie podnosiłam tego tematu, w obawie że na nieskazitelnym wizerunku pojawi się rysa. Dla mnie to, że James nawet muchy by nie skrzywdził, było oczywiste jak powietrze i woda i nie wymagało deliberacji. Rzecz jasna byłam świadoma, że inne kobiety cierpią z rąk mężów, ale choć szczerze im współczułam, nie znajdowałam w ich niedoli jeszcze jednego dowodu na to, jak bardzo mnie powiodło się w życiu. Cóż, może tak to już jest z tymi kobietami, którym nie dane było wybrać sobie małżonka — nie potrafią przyznać, że wygrały los na loterii, ponieważ wciąż są rozgoryczone, że to nie one miały decydujący wpływ na własną egzystencję... Niewykluczone, że te, które dokonały świadomego wyboru i miały szczęście wprowadzić go w życie, z większą wyrazistością dostrzegają męzkowskie zalety, a i są skłonniejsze przymykać oko na wady — chociaż z drugiej strony w ciągu dwu dekad wszystko może spowszednieć, a nawet zamienić się w przeciwieństwo: zalety w wady, a wady w cechy niedające się zdzierżyć na co dzień. Tak czy siak nie mnie o tym mówić.

Wraz z wiekiem przyszła konstatacja, że miejsce prawdziwej miłości jest we wspomnieniach. Należy trzymać ją ukrytą w zakamarkach pamięci, niczym cenny klejnot w skrzyni na strychu, do której zagląda się od czasu do czasu, by nacieszyć oczy jego blaskiem, lecz pod żadnym pozorem nie używa się go na co dzień. Prawdziwa miłość jest zbyt delikatna, zbyt krucha i zbyt piękna, aby pozostać sobą w obliczu szarej rzeczywistości.

Kiedy wróciliśmy z Kilkelly do domu, James nadal był sobą

— zwykłym dobrodusznym człowiekiem, którego znałam — jednakże malujące się w jego oczach rozczarowanie było dla mnie czymś nowym.

— Biskup bardzo się zdenerwował, Bernadine.

Nie musiał mi tego mówić — sama przecież wiedziałam, że postąpiłam źle, narażając na szwank reputację Jamesa, a nawet wystawiając na niebezpieczeństwo naszą spokojną dotąd egzystencję. Wiedziałam także, iż

gdybym była w pełni sobą, nigdy nie pozwoliłabym sobie na tak karygodną uwagę; obrażona przez jego ekscelencję, ugryzłabym się w język, uśmiechnęła poddańczo i poleciała moje cierpienie jakiemuś dobremu świętemu, który już by dopilnował, żeby ten napuszony szczur szczeł w piekle. Jednym słowem, wina leżała wyłącznie po mojej stronie, co tylko czyniło sprawy gorszymi. Całe życie uważałam, że James przymusił mnie do małżeństwa, i nie ustawałam w wysiłkach, by na każdym kroku dać mu odczuć, że z moralnego punktu widzenia było to zachowanie naganne i że to ja jestem górą. Nie potrafiłam się zmusić, by być czułą żoną, lecz skrupulatnie wypełniałam swoje obowiązki i okazywałam należny mu szacunek. Nie kochałam go — przynajmniej nie tak, jak tego pragnął — lecz nigdy dotąd go nie zawiodłam.

„Biskup bardzo się zdenerwował, Bernadine.” James wypowiedział te słowa tak, jakbym była jego uczennicą, którą musi skarcić i przywołać do porządku, co mnie zirytowało, chociaż w głębi duszy wiedziałam, że irytuję się nie na niego, lecz na siebie — za to, że jednak nie spisałam się jako żona. Do tego, z racji kłopotów kobiecych, byłam przewrażliwiona i nie reagowałam racjonalnie, a przy tym do głowy mi nie przyszło, by obawiać się gniewu Jamesa. Nawet jeśli głos mu niebezpiecznie drżał, nie uznałam za stosowne zastanowić się nad tym i dać sobie spokój. Dwadzieścia lat to kawał czasu, a że zawsze wszystko uchodziło mi na sucho, teraz także nie widziałam powodu, by się pohamować.

— Jak śmiesz do mnie mówić takim tonem?! Od dwudziestu lat masz we mnie posłuszną służącą!... — Wciąż jeszcze był czas, by się wycofać, lecz nie: gdy się raz rozpędziłam, nie było sposobu, by mnie zatrzymać; dokończyłam więc jadownicę: — Oboje wiemy, że mogłam dostać od życia znacznie więcej!

— Więcej?! — Oczy Jamesa miały błyskawice w moim kierunku.

Nie dostrzegłam wysyłanych przezeń sygnałów, nie dosłyszałam ostrzegawczych nutek w jego głosie. Zadarłam wysoko brodę, by pokryć zakradającą się niepewność, i rzuciłam bez zastanowienia:

— Tak. Mogłam mieć Michaela Tuffy'ego, który ubiegał się o moją rękę. Ja i on... byliśmy sobie przeznaczeni.

— Ach tak... A czemuż to nie doszło do małżeństwa? Brzydki, zacięty wyraz jego twarzy, bardziej pasujący starej kobiecie niż mężczyźnie w sile wieku, uzmysłowił mi, że za moją sprawą James przedzierzgnął się w potwora. Zbyt daleko się jednak posunęłam, by teraz oddać pole.

— Och, przestań mnie zadreczać! Dobrze wiesz, że mojej rodziny nie było stać na posag. Gdybyśmy byli zamożniejsi, nigdy bym nie skończyła jako żona wiejskiego nauczyciela!

— Ale przecież twoja ciotka miała pieniądze... — Przed oczyma pojawiła mi się czerwona mgła. Muszę mu przerwać, nim powie coś, czego będę żałować do końca życia, pomyślałam. James jednak wpatrywał się we mnie nieubłaganym wzrokiem i ciągnął kpiącym tonem:

— Nieprawdaż, Bernadine?

W obronie, a może w ataku, wykrzyczałam mu prosto w twarz:

— Nie dorastasz do pięt Michaelowi! — Nie zważając na ciekące mi po policzkach łzy i na krew pulsującą w skroniach, postanowiłam wyrzucić z siebie wszelkie żale. — Michael był dla mnie wszystkim, i nadal jest...

Być może, gdybym nie zraniła Jamesa do głębi tym ostatnim stwierdzeniem, zlitowałby się nade mną, gdyż wszystkim dla niego byłam ja. Oczywiście wiedział, że kochałam Michaela i że to on był moim pierwszym mężczyzną, lecz nauczył się z tym żyć.

Wiedzieć w głębi duszy, a usłyszeć okrutną prawdę wykrzychaną prosto w twarz to jednak dwie różne rzeczy. Tego ostatniego James nie umiał znieść.

Ukarał mnie, mówiąc mi, jak to naprawdę było z Tuffymi.

Maureen Tuffy faktycznie była wdową po Michaelu Tuffym seniorze pochodzącym z Achadh Mor, lecz cała reszta wyglądała zgoła inaczej, niż to przedstawiała. Rozповідаła, że nie występuje o spadek po mężu, gdyż te parę akrów ziemi to przy jej bogactwie zbędny balast, podczas gdy w rzeczywistości nie miała do tej ziemi żadnych praw, gdyż legalnie należała ona do brata zmarłego, który w dobrym zdrowiu mieszkał w Chicago. Nawet gdyby się dowiedział, że szwagierka zamierza go oszukać, sprawa zapewne nie zyskałaby takiego rozgłosu, gdyż spory o ziemię były w tamtych czasach na porządku dziennym, wszakże bigamia jej syna nie mogła przejść bez echa.

Młody Tuffy ożenił się z bogatą katoliczką z Nowego Orleanu, która jako osiemnastoletnia panna uciekła z domu do Nowego Jorku w poszukiwaniu przygód, a ledwie wysiadła z pociągu na stacji Grand Central, wpadła nie na kogo innego, tylko na Michaela i bez pamięci się w nim zakochała. Młodzieniec przyprowadził dziewczę do domu, gdzie Maureen zwęszyła pismo nosem i czym prędzej skontaktowała się z wpływowymi rodzicami, którzy wdzięczni niebiosom, że ich córka jest cała i zdrowa, przesłali dystyngowanej pani Tuffy sowitą sumkę z prośbą, by miała na nią oko. Nie

minęło parę miesięcy, a dziewczyna już była brzemienna, tak że szybko zaaranżowano małżeństwo, wcześniej oczywiście uzgodniwszy wysokość posagu. Czas mijał, a dziewczyna coraz bardziej tęskniła za rodziną i życiem, jakie prowadziła na zachodzie; na kilka tygodni przed narodzinami dziecka próbowała nawet przekonać Michaela, by zabrał ją do domu rodzinnego, lecz ten znużony kapryсами bogaczki oświadczył matce, że nie zamierza ruszyć się z Nowego Jorku. Jak zwykle przedsiębiorcza Maureen zapakowała dziewczynę do pociągu, w jednej kiece i z jedną walizką, całą resztę posagu zostawiając dla siebie i syna. O rozwodzie nie było mowy. Cywilny i tak by się nie liczył w oczach katolickiej społeczności, a Kościół katolicki w tamtych czasach nie szermował anulowaniem małżeństwa, tak jak to czyni współcześnie.

Kiedy Maureen Tuffy z synem przyjechali do Achadh Mor, żeby przejąć ziemię szwagra, szczwana lisica szybko się zorientowała, że znacznie łatwiej — i opłacalniej — będzie złović w sieci ciotkę Ann z jej gotówką, i postanowiła dokonać tego przy mojej, nieświadomej rzecz jasna, pomocy.

Ciotka Ann, podejrzliwa z natury, od pierwszego wejrzenia zapałała do Maureen niechęcią. Dzięki znajomym z Nowego Jorku zasięgnęła na jej temat języka, a to czego się dowiedziała, wcale jej się nie spodobało. Rada nierada, mając na uwadze dobro rodziny i moje, ostrzegła moich rodziców, którzy w podzięcie zerwali z nią wszelkie kontakty. Taka to wówczas panowała katolicka moralność: karało się tego, kto przynosił złe wieści, a nawet samego siebie — za to, że się ich wysłuchało. Stosunki w rodzinie nigdy nie wróciły do normy; obie strony do końca swych dni czuły się urażone i skrzywdzone. Szczerze powiedziawszy nie jestem pewna, czy nawet znając prawdziwą przyczynę odmowy ciotki, byłabym się z nią przeprosiła. Utraciwszy Michaela cierpiałam jak nigdy przedtem i po prostu musiałam znaleźć sobie kozła ofiarnego. Rodzice chcąc mnie chronić zatrzymali bolesną prawdę dla siebie, za co chyba jestem im wdzięczna, jednakże nie mogli jej zataić przed moim przyszłym mężem, gdyż ten — gdyby się o wszystkim dowiedział po ślubie — miałby pełne prawo wycofać się z umowy i wystąpić o anulowanie małżeństwa (zwłaszcza że zgodził się mnie poślubić, nie żądając posagu). To że aż do tej pory milczał na ten temat, świadczyło tylko o jego wyrozumiałości i wielkoduszności, chociaż bezpośrednio po zasłyszaniu rewelacji wcale tak nie uważałam.

Sama nie wiem, co zaboląło mnie wtedy bardziej: zdrada Michaela czy Jamesa.

Kiedy w końcu tama puściła, powiedział mi o wszystkim głosem pełnym pogardy. O tym, jak moi rodzice niemal go błagali, by mnie poślubił, i jak bardzo byli mu wdzięczni, że nie zważa na moją haniebną przeszłość. Poinformował mnie, że zostałam mu wciśnięta jak wybrakowany towar, który można jeszcze naprawić i mieć z niego użytek. Choć go sprowokowałam i chciał mnie ukarać, głos mu się zauważalnie załamał, kiedy dostrzegł, jak silnie mnie rani. Aby zatrzeć wrażenie ostatnich okrutnych słów, łagodniej już dodał:

— Nigdy tak o tobie nie myślałem.

Potem złość Jamesa wyparowała. Mój ból pozostał, choć nie pozwoliłam sobie na płacz. Jakby nigdy nic zajęłam się zwykłymi domowymi sprawami.

Późno wieczorem, kiedy James już spał, wyszłam do ogródka i patrząc w niebo, próbowałam sobie wmówić, że wszystko co wcześniej usłyszałam, jest niczym więcej jak tylko podłym kłamstwem. Nie potrafiłam jednak uwierzyć, by mój mąż mnie okłamał — zbyt dobrze go znałam. Jakże pragnęłam go wtedy znienawidzić! Na to wszakże nie potrafiłam się zdobyć w świetle dobroci, jaką mi okazywał od czasu, gdy się poznaliśmy.

Tęskniłam za Michaeliem. Nie za człowiekiem — ten nagle stał mi się tak obcy i odległy, że równie dobrze mógł być martwy — lecz za wspomnieniem o młodym, czarnowłosym i niebieskookim kochanku, pełnym pasji i namiętności, przy którym czułam, że żyję. Zacisnęłam powieki chcąc przywołać w pamięci siebie, w lawendowej sukni rozpostartej na soczyście zielonej trawie, i jego, jak wyciąga ku mnie ramiona, miotając z oczu szafirowe błyski, zdolne złamać dziewczynskie serce. Tęskniłam nie tyle za utraconą miłością, ile za młodością, z jej żywymi barwami i targającymi duszą przeżyciami.

Moje życie dobiegało końca i wszystko wydawało się takie szare...

Akceptacja

Akceptacja stanowi podstawę prawdziwej miłości.

Placki Świętej Brygidy

Obierz kartofle i zetrzyj je na drobnej tarce. Otrzymaną masę wyłóż do sita i odciśnij z niej większość wody, uważając jednak, by nie przesadzić. Na każdą filiżankę kartoflanej masy dodaj jedną płaską łyżeczkę soli i pomiędzy ćwiartką a połówką filiżanki mąki (sama dodaję nawet mniej niż ćwiartkę, gdyż nie lubię, kiedy placki są zbyt ciastowate, ale mąka ma to do siebie, że wiąże pozostałe składniki, toteż im jest jej więcej, tym łatwiej poradzić sobie z zarabianym ciastem, które ma tendencję do klejenia się). Do tak wyrobionej masy dolej trochę mleka, żeby uzyskać konsystencję gęstej śmietany (aby sprawdzić, czy konsystencja jest właściwa, nabierz trochę ciasta na łyżkę i pozwól mu spaść—jeśli raczej odpadnie, aniżeli spłynie, wszystko jest w porządku; w przeciwnym razie musisz dopóty eksperymentować metodą prób i błędów, dopóki nie otrzymasz właściwej konsystencji).

Na patelni dobrze rozgrzej smalec, wykładaj ciasto i smaż placki na ciemnobrązowy kolor z obu stron.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nowy Jork, 2004

Wczorajszego wieczoru nieomal spowodowałam pożar, smażąc placki Świętej Brygidy. To bardzo niebezpieczne połączenie: na patelni rozgrzany, pryskający na wszystkie strony tłuszcz, przy kuchence zaś kobieta będąca na skraju załamania nerwowego. Tyle że w stanie, w jakim się znalazłam, stanowiłam zagrożenie nawet gotując głupią wodę na herbatę, a czym jak czym, ale herbatą raczej nie miałam szans przebłągać Dana.

Oczywiście zabierając się do pracy, wmawiałam sobie, że wypróbuję kolejny Babciny przepis, który może mi pomóc w karierze, lecz w głębi duszy liczyłam, że zapach smażących się placków wywabi Dana z sypialni. Dotychczas ilekroć zasiedziałam się w kuchni do późna, zbiegał na parter w samych bokserkach, kiedy poczuł coś smakowitego, i niczym niesforny chłopiec łapał to coś jeszcze gorące i wpychał sobie do ust. Jak każdy uważał, że stoję przy garach dla jego przyjemności, co wcześniej zawsze niezmiernie mnie irytowało. Aż do teraz, kiedy pojawiła się groźba, że mój małżonek porzuci mnie po zaledwie ośmiu miesiącach pożycia.

Cała sytuacja przypomniała mi o pewnym wydarzeniu. Gdy jeszcze mieszkałam na Manhattanie, wracając późno do domu znalazłam na ulicy zabłąkanego kociaka. W apartamentowcu nie wolno było trzymać zwierząt, toteż powiadomiłam odpowiednie służby. Przyjechali i zabrali — jak się okazało — młodą kotkę, obiecując się nią dobrze zaopiekować. Choć postąpiłam tak, jak należało, stosując się do przepisów, a równocześnie zapewniając zwierzakowi dach nad głową i pełną miseczkę, miesiącami czułam się winna. Aż w końcu zrozumiałam, że to nie poczucie winy mnie dręczy, ale zwykła samotność. Miałam okazję dzielić z kimś życie i ją zaprzepaciłam — z głupoty, ze strachu, z wygody...

Och, wiem, że nie można porównywać męża z kotem, ale dlaczego w obu wypadkach zdają się iść po rozum do głowy, gdy jest już za późno? Albo prawie za późno...

Wiem, że zależy mi na małżeństwie z Danem — paradoksalnie rozumiałam to także dzięki Ronanowi. Dreszczyk podniecenia, krew żywiej krążąca w żyłach, gęsia skórka i takie tam to fajna sprawa, ale chyba jednak nie dla mnie. Przeżyłam to wiele razy i co? Każdy tego typu związek był krótkotrwały i w ostatecznym rozrachunku niewiele wart, choć nie da się ukryć, że szalenie emocjonujący. Namiętność rzucała mi się na mózg,

wywoływała przyjemne uczucie euforii, które brałam za miłość. A tymczasem to był tylko seks. Tak to już bywa, że nasze zwierzęce instynkty potrafią nas zwieść, udając coś więcej, ale w istocie rzecz sprowadza się do hormonów, wymiany płynów fizjologicznych i — gdy coś pójdzie nie tak — przedłużenia gatunku.

Czy to nie żałosne, że zrozumiałam to wszystko dopiero w wieku trzydziestu ośmiu lat? Dlaczego nikt wcześniej nie uświadomił mi, że barbara zda się psu na budę, jeśli brak uczucia? (I odwrotnie też, rzecz jasna.) A może ktoś tam, na górze, zwyczajnie się na mnie wziął? Podsunął mi Dana — uczciwego, wiernego, godnego zaufania Dana, przy którym po raz pierwszy w życiu czułam się naprawdę dobrze, przed którym nie musiałam udawać, bo akceptował mnie taką, jaką byłam, który sprawił, że byłam... szczęśliwa...

A kiedy zaczęłam się do niego przyzwyczajać i jego rodzina nie była mi już straszna, zabrał mi go sprzed nosa, ot tak. Czy może raczej pozwolił, bym zachowała się jak kompletna idiotka...

Tamtej nocy nie poszłam na górę do sypialni. Długo gotowałam, a potem po prostu położyłam się na kanapie w salonie, nie licząc, że w ogóle zmrużę oczy. Musiałam jednak przysnąć, gdyż obudziłam się, kiedy było już jasno, a w kuchni urzędował Dan. Mimo że wielki z niego chłop, zazwyczaj porusza się z gracją; tym razem wszakże miotał się od szafki do szafki, trząskając drzwiczkami i ostentacyjnie przygotowywał sobie śniadanie — na ciepło, chociaż nie podejrzewam, żeby naprawdę miał apetyt. Poza tym nie potrafi zrobić nic poza jajecznicą, no i nie ma pojęcia, gdzie się co znajduje w — było nie było — mojej kuchni. Na widok tego rozspanego niedźwiedzia grasującego po moim sanktuarium uśmiechnęłam się i poczułam, jak wstąpiła we mnie nadzieja. Może jeszcze nie wszystko stracone, pomyślałam. Może uda nam się zażegnać katastrofę, pod warunkiem że okażemy sobie trochę miłości.

Jakiej miłości, Tressa? zapytał głosik w mojej głowie. No dobrze, przyznałam mu niechętnie rację. Wystarczy, że się nie pozabijamy.

Kiedy przyłapałam Dana na tym, że chce podkraść jednego placka, rzuciłam wesoło:

— Hej, ręce przy sobie, rozbójniku! — W odpowiedzi otrzymałam spojrzenie, które dobitnie mówiło, że do przeszłości należą czasy porannych przekomarzanek. Jak również przyjazny małżonek. Ten sam, którego z premedytacją nie pokochałam, sądząc, że jego miłość do mnie zupełnie

wystarczy. Że będzie mi wszystko w nieskończoność wybaczał, bo to ja jestem tą wysublimowaną, godną adoracji istotą, podczas gdy on to zwykły... No właśnie, kto? Czy naprawdę byłam aż taką idiotką? Naprawdę uważałam go za rozlazłego głupca, który da sobą pomiatać? Wzdrygnęłam się na samą myśl, że mogłam mieć o nim tak niskie zdanie. Chyba żeby mnie dobić, w tej samej chwili Dan popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby wiedział, co dzieje się w mojej głowie. Ze zranioną miną odłożył placek i podszedł do kuchenki. — Mógłbyś się nie zachowywać jak udzielny książe — powiedziałam. Patrzcie państwo, jeszcze znalazłam w sobie siłę, by zgrywać urażoną dumę.

Spojrzał na mnie bykiem, spod strzechy stojących na wszystkie strony włosów, które aż prosiły się, by je przygładzić ręką, co niegdyś każdego ranka odruchowo robiłam. Oczy miał zimne, wyrachowane i nieprzeniknione zarazem. Prawdę powiedziawszy, wyglądał tak, jakby nie spał całą noc, co mnie i zmartwiło, i ucieszyło.

— Mógłbym się nie zachowywać jak c o?

Oho, był także rozjuszony jak byk. Na nic mój szczebioczący głosik: Dan był na mnie zły jak diabli. Ani to z jego strony ładne, ani dojrzałe. Postanowiłam, że nie podejmę tej gry.

— Nieważne...

— Co jest nieważne, Tressa? Twój romans czy nasze małżeństwo? To, że się przespałaś z jakimś facetem, czy to, że coś sobie przysięgaliśmy?

No, tego już było za wiele. Chce ze mnie zrobić dziwkę, pomyślałam wściekła.

— Wcale się z nim nie przespałam!

— Całowanie, spanie, co za różnica? Zresztą nie o tym rozmawiamy.

— A właśnie że o tym! — wrzasnęłam. Nie chcąc zniżyć się do jego poziomu, ściszyłam głos i dodałam: — Mogłam się z nim przespać, ale tego nie zrobiłam. Wybrałam ciebie. — W głowie czułam zamęt; euforię z jednej strony i paraliżujący strach z drugiej.

— Wybrałaś mnie?! — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak... — W swojej naiwności albo głupocie wierząc, że Dan czuje się mile połączony moim wyznaniem, oraz wbrew radzie Gerry'ego i wewnętrznego głosu, próbującego mi coś doradzić na chybcika, potwierdziłam pewnie: — Tak. Wybrałam ciebie.

— Wal się, Tressa — odparł Dan i wyszedł z kuchni.

Na gazie zostawił patelnię, toteż pierwsze co zrobiłam, to zdjęłam ją z palnika, po raz drugi w ciągu dwunastu godzin cudem nie dopuszczając do pożaru.

Czułam się jak po maratonie. W ustach miałam zdechłą mysz, w oczach piasek, dosłownie ślaniałam się na nogach. Prawdopodobnie wyglądałam jeszcze gorzej. Stara a głupia, pomyślałam smętnie. Niemal puściłam się z jakimś pajacem, i to jeszcze przed pierwszą rocznicą ślubu, i miałam czelność oświadczyć? mężowi, że jednak, po długim zastanowieniu, doszłam do wniosku, iż jest coś wart. Szczęściarz z tego Dana, nie ma co...

Na kuchence dostrzegłam wczorajszą plamę tłuszczu i chcąc ją zmyć, sięgnęłam po szmatkę leżącą na kurkach przy zlewie. Zanim jednak zdążyłam ją namoczyć, uprzytomniłam sobie, że moim problemem nie jest jakaś tam plama, tylko rozpadające się małżeństwo. Z oczu trysnęły mi łzy. Użalałam się nad sobą w najlepsze, kiedy jak obuchem uderzyła mnie myśl, że ani wczoraj, ani dzisiaj nie powiedziałam Danowi „przepraszam”...

Rozdział trzydziesty

Irlandia, 1965

Z wielkim trudem przyszło mi pogodzić się z odejściem Niamh z domu.

W 1965, kiedy miała siedemnaście lat, oznajmiła, że wyjeżdża do Ameryki. Ot, tak — bez uprzedzenia, słowa wyjaśnienia czy choćby cienia żalu, jakbyśmy byli zupełnie obcymi jej ludźmi. Jakby nie zdawała sobie sprawy, że jej decyzja rani nas do głębi. Daliśmy jej wszystko, co byliśmy w stanie dać: spokojny dom, w którym dorastała szczęśliwie, bezwarunkową miłość, którą i James, i ja okazywaliśmy jej na każdym kroku, dobre wykształcenie i niezliczone przedmioty uprzyjemniające życie — od ubrań począwszy, na samochodzie skończywszy, a ona to wszystko wzięła, jak gdyby należało jej się z prawa urodzenia, i postanowiła nas opuścić. Wprost nie mogłam uwierzyć, że jest aż taką egoistką. Płonąc słusznym gniewem nie omieszkałam jej o tym powiedzieć. W głębi ducha jednak wiedziałam, że wyolbrzymiam jej grzech, że niesłusznie obawiam się, iż jej wyjazd za ocean rozluźni łączące nas więzi, gdyż zbliżyłyśmy się do siebie dopiero po tym, jak wyjechała do college'u do Dublina. Wcześniej, kiedy była dzieckiem i podlotkiem, byłam wobec niej zbyt zaborcza i często się kłóciłyśmy — obie mamy temperament nie lada. Chciałam chronić ją przed popełnionymi przez siebie błędami, oczywiście na próżno, a czyniałam to z pasją neofity, tak że gdyby nie wyjechała do Dublina, chyba byśmy się pozabijały. Miałam jej za złe dosłownie wszystko: to, jak się ubiera, jak się czesze, z kim chodzi do kina. Ilekroć wybierała się na randkę, nie zasnęłam, dopóki z powrotem nie zjawiała się w domu cała i zdrowa. James śmiał się z moich strachów, tłumaczył, że to duża i mądra dziewczynka, która świetnie daje sobie radę w życiu, co tylko bardziej mnie rozwścieczało. Żałowałam, że i wobec niej był łagodny, zamiast trzymać Niamh krótko jak inni ojcowie, pobłazał jej i nigdy nawet porządnie nie skrzyczał. Gdyby choć raz stracił swoją anielską cierpliwość, Niamh przyszłaby do mnie z płaczem i mogłabym ją utulić w żalu, a może nawet zawiązałybyśmy koalicję przeciwko Jamesowi — tymczasem było dokładnie na odwrót. To oni trzymali sztamię przeciwko mnie.

Niamh przypominała nas oboje: była drobnej budowy ciała, po Jamesie, ale zarazem bardzo kobieca (już w wieku trzynastu lat zwracała uwagę mężczyzn); miała mocne kręcone włosy po mnie, delikatne rysy twarzy Jamesa i moje niebieskie oczy, z których wзираła młodzieńcza niewinność.

Jak to mówią, oczy były zwierciadłem jej duszy — odbijało się w nich wszystko, co przeżywała: czy to strach, czy radość, czy olśnienie, i czasem wprost bałam się w nie spojrzeć... Od małego miała artystyczną duszę; była nieporządna i wrażliwa, jednym gestem potrafiła wyrazić całą gamę uczuć. Uważałam ją za piękność (i była nią w istocie), ale zupełnie nie przejmowała się tym, jak wygląda. Ba, z niedowierzaniem przyjmowała wszelkie oznaki zachwyty czy uwielbienia (tę cechę charakteru musiała odziedziczyć po ojcu). Nie wstydziła się swego ciała, nawet w okresie dorastania, nigdy nie stroniła od kontaktu fizycznego, wszem wobec wysyłając sygnały o przyjaźni, często się także śmiała. Mówiła głośno i pewnie i nieraz przyglądając się jej myślałam, że taka bym była, gdybym wychowywała się w domu, jaki stworzyliśmy dla niej z Jamesem. Co oczywiście nie przeszkadzało mi złościć się na nią i ją strofować z najbliższego powodu. Im bardziej mi przypominała mnie samą, tym częściej walczyłyśmy.

Na ogół jednak miałam ją za chodzący ideał i wręcz trudno mi było uwierzyć, że to ja ją stworzyłam. Drżałam na samą myśl, że ktoś może mi ją zabrać albo co gorsza skrzywdzić, podczas gdy ja nie będę w stanie nic zrobić, by temu zapobiec.

W rzadkich momentach zazdrościłam jej tej radości życia i niefrasobliwości, które nigdy nie stały się moim udziałem, wszakże moje serce biło tylko dla niej. Także wtedy gdy mieszkała w Dublinie, nie przestałam się o nią martwić. Uważałam za nienaturalne, że nie wiem, gdzie dokładnie przebywa i co robi. Pamiętam, że któregoś' razu tarłam kartofle na placki Świętej Brygidy i wyobrażałam sobie, co się może przytrafić mojej małej dziewczynce z dala ode mnie — efekt był taki, że razem z kartoflami starłam sobie pół kciuka. Tego samego wieczoru zatelefonowała do nas i James napomknął jej o moim „wypadku”.

— Musisz na siebie uważać, mamó — zbeształa mnie łagodnie.

Na końcu języka miałam szereg pytań: co robi, z kim się zadaje, gdzie chadza, ale w porę się w niego ugryzłam. Przekonałam się już, że moja nadopiekuńczość sprawia tylko, iż Niamh pragnie uciec ode mnie gdzie pieprz rośnie. Zatem zamiast pytać, cierpliwie czekałam, aż sama zacznie opowiadać mi o swoim życiu; chwytalam się każdego detalu, który mi zdradziła, dopasowywałam go do już poznanych i w ten sposób budowałam sobie obraz życia mojej prawie już dorosłej córki. Dzięki temu wydawało mi się, że wciąż jest blisko mnie. To wtedy nauczyłam się udawać, że jej w pełni ufam, że mam ją za osobę dorosłą, która wie, co robi. W rzeczywistości

nigdy tak nie myślałam. Dla mnie pozostała dzieckiem niezdolnym do samodzielnego życia. Choć oczy próbowały mnie przekonać, że Niamh jest już duża i silna, inne zmysły mówiły mi to, co chciałam usłyszeć: że to małeństwo ledwie odstawione od piersi, dla którego zagrożeniem jest świat rozpościerający się poza matczynymi ramionami.

Choć nieładnie jest udawać, ja zostałam wynagrodzona za tę umiejętność, i to nie czymś innym, tylko jakże cenną przyjaźnią okazywaną mi przez córkę. W trakcie nauki w college'u Niamh odbywała w Galway krótką praktykę. Do domu przyjeżdżała co drugi weekend — nie dlatego że ją zmuszałam, lecz dlatego że sama chciała — i ten czas był chyba najlepszym w naszych wzajemnych kontaktach. Stałyśmy się wtedy sobie naprawdę bliskie; Niamh wtajemniczała mnie w swoje życie, choć z pewnością nie mówiła mi o wszystkim, jako że ona także chciała mnie chronić... Na moich oczach stawała się dojrzałą kobietą i obserwowanie tego procesu dało mi jeszcze więcej radości aniżeli wprowadzanie jej w dorosłość. Szybkość, z jaką dziecko przeistacza się w osobę dorosłą, jest zatrważająca — ledwie rodzic zdąży opłakać jeden zakończony etap życia, nadchodzi drugi, który także rychło się kończy, tak że proces wychowania dziecka jest raczej pasmem żalu za tym, co odeszło, niż radości z tego, co trwa. Na szczęście Niamh, wcześniej bardzo trudna w pożyciu, zmądrzała i zamieniła się w naprawdę dojrzałą osobę.

Mniej więcej wtedy zaczęła malować. Jej prace nieodmiennie mnie zdumiewały; choć były to ot, takie machnięcia pędzla, byłam nimi zachwycona, i powiedziałam jej o tym. Być może z wdzięczności zaczęła przyprowadzać do domu przyjaciół, radosnych młodych ludzi, którzy chwalili moje wypieki i często pytali mnie o zdanie na jakiś temat. Dobrze pamiętam dwoje z nich: Anglika z włosami do ramion, studenta prawa, który powiedział, że jego matka nigdy nic nie ugotowała, i dublińską koleżankę Niamh, zawsze wyglądającą tak, jakby się czegoś bała, która miała piękny głos i często nam śpiewała po kolacji. Zawsze byli u nas mile widziani, za co Niamh czuła do nas wdzięczność, lecz chyba jeszcze bardziej cieszyło ją to, że jej znajomi akceptują jej rodziców.

Kręciło mi się w głowie na samą myśl, że Niamh ceni mnie tak wysoko, że chce, by poznali mnie także jej przyjaciele. Do uczucia miłości pomiędzy matką i córką doszedł po drodze obustronny szacunek, którym zaczęłyśmy się darzyć. Dla mnie było to coś zupełnie nowego, nie doświadczyłam tego bowiem w relacjach z własną matką. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że

między dziećmi i rodzicami może istnieć nie tylko miłość, ale także zwykła — czy raczej niezwykła — przyjaźń. Kiedy James zauważył, że Niamh zaczyna poważniej myśleć o malowaniu, zrobił porządek w jednej z obórek, wstawił okno dachowe, zamieniając ją w pracownię. Korzystała z niej przez pół roku, gdy nagle obwieściła, że wyjeżdża do Nowego Jorku.

Nie chciałam tego, i jej to powiedziałam, choć oczywiście w końcu i tak postawiła na swoim.

Na krótko przed tym, zanim nas opuściła na dobre, wynajęliśmy domek w Enniscrone i wszyscy troje spędziliśmy tam tydzień. Przesiadywałam na wydmach, obserwując, jak James i Niamh spacerują ramię w ramię niczym para zakochanych. Zdołała jakoś namówić ojca, by zdjął buty i podwinął nogawki spodni, tak że wkrótce razem dokazywali na płyciźnie, a mnie ścisnęło się serce na myśl, że ten rozdział naszego życia niebawem skończy się na zawsze. W głębi duszy żałowałam, że była nas tylko trójka i że teraz kiedy Niamh postanowiła wyjechać, nigdy już nie spełni się moje marzenie o domu pełnym jej dzieci, a moich wnuków. Niesprawiedliwością wydało mi się, że na stare lata czeka nas samotność.

Łagodny powiew wiatru ożywił stojące, duszne powietrze i przyniósł od strony oceanu szum, od którego zakręciło mi się w głowie. Wpatrywałam się w linię horyzontu, próbując przeniknąć wzrokiem ścianę szarości powstałą na styku fal i nieba, nadaremno jednak. Może Ameryki w ogóle nie ma, myślałam, a Michael, który twierdził, że tam właśnie się udaje, zwyczajnie wypadł poza krawędź świata, Niamh zaś podąży jego śladem i już nigdy do mnie nie wróci... Świat był tutaj, wokół mnie, poza nim rozpościerała się pustka.

Któregoś dnia po powrocie do wynajętego domku, mimo że byłam zmęczona przebywaniem na świeżym powietrzu i natłokiem niewesołych myśli, postanowiłam zrobić obojgu frajdę i usmażyć placki Świętej Brygidy. Niamh przyglądała mi się spod oka i w pewnej chwili podeszła do mnie i delikatnie wyjęła mi z rąk tarkę. Gdyby tego nie zrobiła, prawdopodobnie znów starłabym sobie kciuk do krwi. Pozostało nam raptem parę dni, a ja miałam tak wiele do powiedzenia swojej córce. O tym, że wyrosła dokładnie na taką osobę, na jaką zawsze chciałam ją wychować, a równocześnie jest kimś wyjątkowym i nawet dla mnie, jej własnej matki, cudownym. O tym, że będę za nią tęsknić każdego dnia, żałując poniewczasie, iż gdy jeszcze miałam ją przy sobie, nie poświęcałam jej należytej uwagi. Pragnęłam ją przygarnąć i wyznać jej do ucha, że jest mi przykro z powodu każdej kary,

jaką jej wymierzyłam, oraz że nie mogę sobie wybaczyć, iż kochałam ją zbyt słabo i zbyt mocno zarazem...

Nim zdążyłam cokolwiek wydusić przez ściśnięte gardło, Niamh odłożyła tarkę i ujęła moją dłoń.

— Mamo, przecież Ameryka nie jest na końcu świata... — Gdyby tylko wiedziała! Wszakże musiała wyczuć moją żalność, bo oplotła mnie ramionami i tak kołysała niczym dziecko wymagające pocieszenia. W końcu wzięłam się jakoś w garść, wytarłam załzawione oczy rąbkami fartucha, myśląc przy tym, że zachowuję się jak typowa matka. — Dziękuję, mamo — usłyszałam jeszcze.

— Za co? — zdziwiłam się, gdyż to ona dodała otuchy mnie, a nie odwrotnie.

Przyjrzała mi się uważnie i rzekła:

— Za to, że nie prosisz mnie, bym z wami została.

Parę dni później już jej nie było. Wyjechała w poniedziałek wczesnym rankiem, jak to miała w zwyczaju, gdy wracała do Dublina po weekendzie spędzonym w domu. Wcześniej nalegała, byśmy nie odwozili jej na lotnisko, ponieważ w ten sposób pożegnanie będzie mniej bolesne dla wszystkich. Pozostanie ułuda, że opuszcza nas tylko na trochę i że niebawem znów się zobaczymy. Ja jednak nie dałam się na to nabrać i kiedy odprowadzałam ją wzrokiem, jak z nonszalancko zarzuconą na ramię torbą maszeruje pewnym krokiem w stronę swej przyszłości, znów poczułam gniew. Przez resztę dnia nie mogłam sobie znaleźć miejsca, James na każdym kroku irytował mnie swym zachowaniem — a to położył coś nie tam, gdzie trzeba, a to znów naniósł do domu błota. Gdy przygotowywałam kolację, nagle postanowił sięgnąć po coś do picia, a że ja w tej samej chwili odwróciłam się z nożem w rękę, doszło do nieuniknionego wypadku. Ostrze zagłębiło się w jego ramieniu.

— ...aul ludarman!... — wykrzyknęłam ze strachu, że niechcący uczyniłam mu krzywdę.

Posadziłam go na wyłożonej poduchami ławie, w biegu sięgając po apteczkę. Odwinełam przesiąknięty krwią rękaw i dezynfekowałam nie tak znów groźną ranę. James pobladł przy tym jak płótno i wpatrywał się we mnie oczyma okrągłymi z szoku i bólu. Czy mi się wydawało, czy rzeczywiście wyzierał z nich także bezbrzeżny smutek?

Czas, jaki ze sobą spędziliśmy, i zażyłość, którą wymusiło na nas małżeństwo, sprawiły, że potrafiliśmy porozumiewać się bez słów. W tamtej

chwili równocześnie zrozumieliśmy, że wszystko co nam pozostało, to my sami. James był skazany na humorzastą kobietę, która wciąż ledwie go tolerowała; ja byłam na łasce daleko posuniętego w latach mężczyzny, którego nie kochałam.

Łączyła nas tylko Niamh, nasza miłość do niej i nasz żal po jej odejściu. Smutek w oczach Jamesa był wyrazem rozpacz, że zostaliśmy sami, ale wynikał także z obawy, iż teraz, gdy nasze dziecko poszło własną drogą, przestanę go potrzebować i cokolwiek do niego czuć. Nie mógł wiedzieć, że nigdy nie przestanę go potrzebować, gdyż — na dobre i na złe — staliśmy się nierozłączną jednością na podobieństwo dwóch drzew, osobnych, lecz zarazem splecionych gmatwaną korzeni i gałęzi. Nie miałam wyboru: musiałam przy nim trwać do końca swoich dni i nie pozostało mi .nic innego, jak się z tym wreszcie pogodzić.

RS

Rozdział trzydziesty pierwszy

Nowy Jork, 2004

W napięciu czekałam, aż Dan się przebierze i znów zejdzie na parter. Kiedy wreszcie to zrobi, myślałam, osaczę go, złożę przeprosiny i wszystko wróci do normy...

— Dan, jest mi bardzo, naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się stało.

Minął mnie nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem, po czym w drzwiach rzucił:

— Nie wiem, o której będę z powrotem. Możesz dać sobie spokój z gotowaniem obiadu.

Och, jakże go nienawidziłam! Co za nadęta świnia z niego! złorzeczyłam w duchu. Jak mógł zignorować moje szczere, acz przyznaję — nieco spóźnione, „przepraszam”? No i przede wszystkim, czy nie przesadza z tym świętym oburzeniem? W końcu tylko pocałowałam Ronana (co w obecnych czasach odpowiada mniej więcej uściskowi dłoni w czasach wiktoriańskich) i miałam na tyle przyzwoitości, by się do tego przyznać! A on co? Może zeniąc się ze mną sądził, że jestem dziewicą? Na litość boską, Ronan był moim byłym. Stara miłość nie rdzewieje i takie tam... W małżeństwie powinno być miejsce na wybaczenie, prawda? W przeciwnym razie to nie małżeństwo, lecz...

Tok moich myśli przerwało wspomnienie jego ostatnich słów. „Możesz dać sobie spokój z gotowaniem obiadu.” Jak on śmiał?! Gotowałam draniowi codziennie, odkąd się poznaliśmy, bo chciałam, a on uważał to za coś oczywistego, jak gdybyśmy żyli w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to jedynym zajęciem żony, ratującym ją przed zanudzeniem się na śmierć, było skakanie wokół mężusia! Co za zepsuty do szpiku kości, rozwydrzony maminsynek!... zmełam w ustach dosadniejsze określenie. I pomyśleć, że błagałam go o wybaczenie. Ja — jego! To o n powinien mnie przeproszać i błagać, żebym z nim została! O, właśnie — jak wróci do domu, mnie tu już dawno nie będzie. Zabiorę swoje manatki i przeprowadzę się do swojego mieszkania... to znaczy do kogoś z moich licznych przyjaciół, do czasu kiedy podnajemca zechce rozwiązać umowę... Niech wraca do pustego domu i pustego stołu! myślałam mściwie. Wspaniale urządzona kuchnia będzie świecić pustkami, nieużywana, niekochana...

Myśli znów zrobiły woltę w mojej głowie. Gniew powoli mi przechodził, a wraz z jego ustępowaniem wracała okropność tego, co się stało. Przecież to wszystko moja wina! Zdradziłam i zraniłam Dana i tylko święty by się nie zrewanżował.

Zamiast narzekać i udawać niewiniątko, uznałam, muszę wziąć się w garść i obmyślić jakiś plan. Znaleźć rozwiązanie. Sposób, by pokazać Danowi, że wiem, jak bardzo źle postąpiłam, i uzmysłowić mu, jak bardzo jest mi przykro. Żadnych wymówek, żadnych „tak, ale” — należą mu się przeprosiny w czystej postaci, i to najlepiej nie ubrane w słowa, lecz w czyny. Tylko wtedy Dan mi przebaczy. Sytuacja wróci do normy, z tą różnicą że oboje będziemy się bardziej szanować, a ja wreszcie zacznę Dana doceniać tak, jak na to zasługuje, ponieważ dostałam nauczkę i poznałam istotną prawdę na temat tego, czym jest związek, wierność, małżeństwo...

Ciągnęło mnie najpierw do Angela, potem do Ronana, gdyż czułam się w nowej roli niepewnie i szukałam odpowiedzi na dręczące mnie pytanie. Dzięki nim, a może pomimo nich, znalazłam nie tylko odpowiedź, ale przede wszystkim mądrość.

Dostrzegłszy światło w tunelu, wybiegłam z domu na zakupy. Postanowiłam przyrządzić ulubioną zapiekankę Dana i na wszelki wypadek usmażyłam też świeże placki Świętej Brygidy. Przecież widziałam rano, jak wielką miał na nie chętkę — dlatego właśnie tak bardzo mnie zabolalo, kiedy żartobliwie skarcony, z lekkim sercem z nich zrezygnował.

Uwijałam się jak fryga, nie mogąc się doczekać jego powrotu. Kiedy placki piętrzyły się dumnie na talerzu, a zapiekanka bezpiecznie tkwiła w piekarniku, zabrałam się do pielenia zarośniętej chwastami grządki z sałatą, której do tej pory świadomie unikałam. Teraz rozpierała mnie energia: gdy zabrakło chwastów, schroniłam się w szopie i pomalowałam kilka doniczek, a potem jeszcze zasadziłam parę roślinek, zrobiłam prasowanie i powyścielałam kuchenne szuflady za pomocą kraciastej ceraty. Wreszcie czułam się jak wzorowa żona. W tym samym nastroju nakryłam do stołu: jego środek zwieńczył bukiet polnych kwiatków, przy nakryciach leżały sztucce w stylu retro, z miętowozielonymi plastikowymi uchwytami. Placki miały posłużyć za przekąskę, gdyż cheddar na zapiekance chciałam położyć w ostatniej chwili, a nim się ładnie zrumieni, upłynie trochę czasu; przy wyborze deseru postąpiłam wbrew sobie: normalnie po sutym posiłku preferuję coś lekkiego, ale tym razem chciałam wyjść naprzeciw gustowi

Dana, toteż upiekłam jeszcze szarlotkę, a w lodówce czekały jego ulubione lody „Ben & Jerry's”.

Rzadko kiedy chce mi się zarówno zrobić sobie fryzurę, jak i pełny makijaż, lecz tamtego dnia uznałam, że tak właśnie trzeba, do tego włożyłam sukienkę, w której wystąpiłam w pierwszym dniu miesiąca miodowego, i dla wzmocnienia efektu dekolt i ramiona przyprószyłam migoczącym pudrem, ofiarowanym mi przez jedną z przyjaciółek. A później czekałam.

Zrobiła się siódma, potem ósma. Uspokajałam się w duchu, że to nic, że przecież kiedyś musi wrócić do domu, a ja będę na niego wytrwale czekać, nieważne jak długo.

Wkroczył o wpół do dziewiątej.

Serce mi waliło, w skroniach huczało. Byłam wstrząśnięta i podniecona równocześnie — uczucie podobne do tego, którego człowiek doświadcza, kiedy wydaje mu się, że się zakochuje; potężne paskudne uczucie, gdy nie wiadomo, czy śmiać się czy płakać. Przypuszczam, że w moim wypadku wynikało bardziej z tego, że nie wiedziałam, czego mam się spodziewać. Wóz albo przewóz, pomyślałam.

Dan popatrzył na mnie przelotnie, po czym skierował się do tylnego wyjścia, wiodącego do jego ukochanego garażu.

— Przecież ci mówiłem, żebyś sobie dała spokój z gotowaniem.

Zamarłam. Oczyma wyobraźni — albo Dana — zobaczyłam, jak głupio wyglądam. Niczym fotka reklamowa rodem z lat pięćdziesiątych XX wieku: doskonała żona w kwiecistej sukience i pełnym makijażu, udekorowany jak choinka stół i tak dalej... Albo jeszcze gorzej: jak humorystyczna pocztówka. Zerknęłam na swoje ramiona — połyskiwały idiotycznie, jakbym pochodziła z obcej planety. I wtedy przyszła ta myśl. Ze faktycznie zachowuję się jak skończona idiotka. Za co ja chcę go w ogóle przeproszać? Przecież nie zrobiłam nic złego. Życie przynosi niespodzianki, płata figle, wystawia nas na próbę — i małżeństwo niczym się tutaj nie różni. Moje ścieżki przecięły się znów ze ścieżkami Ronana — zdarza się! — i Dan będzie musiał to przeboleć. Zostawiłam w kuchni wszystko włączone i wybiegłam za Danem.

— Nie waż się mnie tak traktować! — krzyknęłam.

— Przecież mówiłem ci wcześniej, żebyś nie gotowała, obiadu.

Stał nad rozbabranym silnikiem, jednakże nie miał zamiaru pracować. Wciąż był w wyjściowych ciuchach i garaż i swoje cacko na dwóch kółkach traktował jako wymówkę, by nie usiąść do stołu.

— I myślisz, że ja jak głupia nie odchodziłam od garów przez cały dzień, żeby naprawić sprawy między nami, po to, żebyś ty mógł mnie sobie olać?

Wzrok miał nadal wbity w metalowe kółka i śrubki.

— Wychodząc powiedziałem, że masz nie go... Frustracja z ostatnich dni, zmęczenie i rozczarowanie wzięły nade mną górę. Nie wytrzymałam.

— Ugotowałam ci ten cholerny obiad, bo cię kocham!

Wreszcie na mnie spojrzął i już myślałam, że najgorsze minęło, że zaraz się obejmiemy i będziemy nawzajem przepraszać, kiedy dostrzegłam, że coś jest nie tak.

— Nie, Tressa — Dan pokręcił smutno głową — ugotowałam obiad dlatego, że to jest to, czym się zajmujesz. Ja nie mam z tym nic wspólnego...

W prawej dłoni obracał jakąś Bogu ducha winną część silnika, mięśnie szczęki mu drgały. Poczułam, jak ogarnia mnie strach, i zaczęłam niekontrolowanie się trząść.

— J... jak mo-możesz w ogóle t... tak m-mówić? — łkałam.

— Cz-czemu jesteś d... dla mnie t... taki ok-okrutny?

Nawet gdy mówiłam te słowa, wiedziałam, że Dan ma rację. Gotowanie to był mój sposób na przetrwanie. W kuchni przeżyłam niejedną życiową kryzys i miałam nadzieję przetrwać tam i ten. Myślałam, że tuzin placków i szarlotka załatwią sprawę. Że superkucharka załagodzi za mnie to, co namieszała nieudacznica, do tego zdrażliwa.

Jak mogłam nie rozumieć, wyrzucałam sobie, że Dan nie życzył sobie, bym dla niego gotowała, właśnie dlatego, że chciał być przeproszony przez prawdziwą Tressę, a nie jej wcielenie zawodowe.

Zatem nadszedł czas błagania.

— Dan, proszę... — Jakimś cudem się opanowałam. — To jest nie do zniesienia. Tak bardzo, bardzo żałuję... Proszę, powiedz, że mi wybaczasz. Spójrz na mnie...

Odłożył zmaltretowaną część, ale nie podniósł wzroku. Zaciskał powieki, jakby za wszelką cenę chcąc zatamować łzy. Ramiona mu drżały.

Rozwarł powieki na ułamek sekundy, obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i już, już myślałam, że wygrałam, kiedy usłyszałam:

— Nie, Tressa... Nie potrafię na ciebie patrzeć.

Dotarło do mnie, co zrobiłam. Przyznając się Danowi do mojej prawie zdrady, posiałam w nim niepewność. W miejscu swojej wiernej żony zaczął widzieć zdrajczynię obściskującą się z obcymi facetami i to doprowadzało go do szaleństwa. Myliłam się sądząc, że Dan mnie znienawidził. On nadal

mnie kochał, ale nie mógł znieść myśli o postępku, którego się dopuściłam, a do tego przez swoje wyznanie sprawiłam, że przestałam mu się kojarzyć z czymkolwiek innym. Ilekroć na mnie popatrzył, widział mnie w łóżku z obcym mężczyzną.

— Dan, ja z nim nie spałam...

— Ale całowaliście się.

— Tak — przyznałam zebrawszy się na odwagę. — Ale nie uprawialiśmy seksu. Przysięgam. — Wpatrywałam się w czubek jego opuszczonej głowy, błagając go w duchu, by na mnie popatrzył. Zrobił to, ale znów tylko na ułamek sekundy. — Dan, musisz mi uwierzyć. — Nie kochałam się z Ronanem.

Wzdrygnął się, jakby dotknęło go coś oślizgłego.

— Chryste, Tressa...

No tak... Wcześniej to był tylko jakiś tam obcy facet, teraz miał już imię. Nie mogłam się jednak wycofać. Choć szło mi jak po grudzie, musiałam przeć naprzód, aż Dan mi uwierzy i wybaczy.

— Dan, musimy sobie z tym jakoś poradzić...

Potrząsnął głową i po raz pierwszy od dawna zawiesił na mnie wzrok na dłużej. Oczy miał wypełnione łzami.

— Nie wiem, czy potrafię, Tressa — rzekł ze smutkiem.

— Ale na Boga, to był tylko pocałunek! — raczej zawylałam, niż wypowiedziałam te słowa. Sama już nie wiedziałam, czy jestem bardziej zła czy zrozpaczona.

Dan ponownie potrząsnął głową i aby dać mi do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona, odwrócił się i pochylił nad motorem.

Kwadrans potem wyszedł. Nie powiedział dokąd, ale przypuszczam, że udał się do domu swojej matki. A ja zostałam w kuchni, którą razem urządzaliśmy, tak dobrze się przy tym bawiąc, i zastanawiałam się, czy przez własną głupotę zniszczyłam swoje małżeństwo. Czy to nie dziwne, że wtedy gdy mnie nie zależało, Dan za mną szalał i był w stanie mi wiele wybaczyć, a teraz kiedy zależać zaczęło mnie, odwraca się ode mnie i odchodzi? Dlaczego nigdy nie dostajemy tego, czego chcemy, wtedy, kiedy chcemy?

Na takie i podobne pytania nie ma łatwych odpowiedzi — być może nie ma na nie w ogóle odpowiedzi. Nieważne, ile bym nad tym rozmyślała, i tak nic mądrego bym nie wymyśliła, pozostało mi więc czekanie. A czekanie w niepewności to najgorsza z możliwych kar. Zwłaszcza dla mnie, gdyż oczekiwanie oznacza marazm, a ja jestem człowiekiem czynu. Chciałam

zrobić coś, co by przywróciło dawny porządek, zasypało tę ziejącą przepaść między nami. Bardzo tego chciałam, ale wiecie co? Nie miało to żadnego znaczenia, gdyż mogłam to zrobić jedynie wspólnie z Danem. Gdyż do tanga trzeba dwojga...

Mogłam więc tylko czekać. Z bólem serca musiałam pogodzić się z tym, że zraniłam Dana do głębi i że nic, ale to nic, co bym uczyniła, tego nie wymaże. Potrafiłam go skrzywdzić, lecz nie umiałam tego w żaden sposób naprawić — tak długo, jak długo on zechce rozpamiętywać swoją krzywdę i nie zdecyduje, by dać mi drugą szansę.

Moja metoda na przetrwanie tym razem zawiodła, ofiarny obiad nie zaleczył ran, lecz to nie oznacza, że mam zaprzestać gotowania. Właściwie tylko to potrafię robić dobrze, a żeby utrzymać się na powierzchni, muszę się czymś zająć. Zaakceptować rzeczywistość, przestać walczyć i po prostu płynąć z prądem, czekając, co przyniesie życie.

Babcia Bernadine postępowała podobnie: gdy ją coś gnębiło, rzucała się w wir pracy i tworzyła istne kulinarne cuda, które docenić potrafił często sam Pan Bóg.

RS

Lojalność

Najcenniejszy dar, jaki kobieta może otrzymać od mężczyzny, to jego duma.

Szynka czosnkowa

Niełatwo jest usunąć z szynki nadmiar soli i nadać jej delikatny smak, wymaga to czasu i cierpliwości, ale efekt jest wart wysiłku.

Wybierz półtora- lub dwukilową szynkę i zalej ją zimną wodą. (Jeśli chcesz podać szynkę na niedzielny obiad, zalej ją jeszcze w sobotnie przedpołudnie i nie zapomnij zmieniać wody co parę godzin.)

Po jakichś dwudziestu godzinach przełóż szynkę do rondla i zalej ją świeżą wodą, postaw wszystko na ogniu i doprowadź do wrzenia. Ponownie zmień wodę, dodaj liść laurowy i odrobinę cebulki i gotuj na wolnym ogniu przez jakieś trzy kwadransy. W tym czasie przygotuj formę do pieczenia; wyłóż ją folią aluminiową. W filiżance wymieszaj dwie łyżeczki zgniecionego czosnku, dwie łyżeczki miodu i szczyptę brązowego cukru, po czym dolej do powstałej masy wrzątku, tak by filiżanka była pełna. Mieszaj tak długo, aż otrzymasz jednolity płyn. Ugotowaną szynkę wyłóż do przygotowanej formy i jeszcze gorącą posmaruj najlepszą musztardą, jaką masz w domu. Potem równomiernie pokryj płynem z filiżanki, uważając, by za wiele nie ściekło na spód, i wykorzystaj boki folii, tak by cała szynka była pod nią schowana. Wstaw do średnio nagrzanego piekarnika i piecz tak długo, jak to konieczne. Pod koniec rozwiń folię i podlej szynkę własnym sosem, nakłuj w parunastu miejscach i w dołki powtykaj całe ząbki czosnku, po czym na powrót wstaw do piekarnika i pozwól się skórcie zrumienić. Podawaj na gorąco z gotowanymi kartoflami i kapustą na ciepło, a resztę wykorzystaj do kanapek. Powinno starczyć na kilka dni.

Rozdział trzydziesty drugi

Irlandia, 1979

Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku znów zobaczyłam Michaela Tuffy'ego. Zobaczyłam również papieża.

Kiedy w 1879 roku w nieodległym Knock ukazała się Matka Boska, nie wywołało to aż takiego rezonansu jak wizyta Jego Świątobliwości na naszej ziemi. Cały kraj, ba, cały świat spoglądał na nas z zazdrością. Emigranci pielgrzymi tysiącami ściągali do Irlandii, Amerykanie z dziada pradziada nagle przypominali sobie o irlandzkich korzeniach i rozpaczliwie poszukiwali bliższych lub dalszych krewnych, u których mogliby się zatrzymać. Leżąca na uboczu spokojna parafia Achadh Mor nagle stała się centrum wszechświata. To były niezapomniane dni.

Najazd, jaki wówczas przeżyliśmy, nie miał precedensu. Normalnie pies z kulawą nogą do nas nie zaglądał — brakowało nam atrakcji turystycznych, chyba że za taką poczytać panującą u nas atmosferę skansenu. Ci nieliczni, którzy zbłądzili do Achadh Mor, a do Fal Iochtar w szczególności, odnosili wrażenie, że za czyjąś sprawką zostali przeniesieni w czasie. Z rzadka rozrzucone małe farmy wyglądały tak samo jak w czasach, kiedy je zakładano, wpisane w krajobraz i ledwie się od niego odcinające. Tu i ówdzie, jakby na przekór wygwizdowiu i zajmującym coraz większe połacie terenu wrzosowiskom i torfowiskom, wyrosły nowoczesne domki kłujące w oczy radosnymi barwami. Większość domostw stanowiły jednak chylące się ku ziemi kamienne chaty, w najlepszym razie murowane, z których wiele miało ziejące pustymi oczodołami okna i drzwi zabite na krzyż sklejką. W tych ostatnich jeszcze niedawno mieszkali starzy kawalerowie, którzy dopuścili do ruiny ojcowizny. Tylko latem, kiedy w przydrożnych rowach całą gamą kolorów rozkwitwały fuksje, irysy i malwy, ta ponura okolica nabierała wyrazu i nie mógł się z nią równać żaden inny zakątek na świecie. Oczywiście i do nas dotarła cywilizacja, wszakże udogodnienia takie, jak pralki i telewizory, nie wyplenili ducha pionierstwa. W wiosce wciąż były kobiety, i to nie takie stare, bo należące do pokolenia pomiędzy moją matką i mną, które twierdziły, że elektryczność to wymysł szatana, i odmawiały korzystania z urządzeń napędzanych inaczej niż siłą mięśni. W położonych w istnej dziczy chatach mężczyźni egzystowali bez wody i kanalizacji i nie krzywdowali siebie. Stanowiliśmy leśny lud; nie domagaliśmy się uwagi i po prawdzie niewiele jej otrzymywaliśmy.

Jak już wspomniałam, w 1879 roku ukazała się miejscowym Matka Boska. Piętnaścioro wieśniaków ujrzało ją na tle ściany kościoła Świętego Jana i od tego czasu świątynia stała się celem pielgrzymek. Ludzie przybywali zewsząd jak kraj długi i szeroki i nierzadko słyszało się o cudach. „Przywieźli go furmanką, a do domu wrócił o własnych siłach!”, szeptano. Albo: „Kaleka, ledwie dowlóknął się do ściany kościoła, a kiedy już ucałował mur, wstał i wierzgał jak źrebiec...” Cóż, może i to wszystko prawda, ale my, miejscowi, niewiele z tego mieliśmy. Ot, tyle, że było o czym gadać podczas spraoi.

Aż pojawił się u nas ojciec Horan. Był to zażywny księżulo, co to już się zdążył wykazać w sąsiedniej parafii, gdzie wybudował przy plebanii wielką salę, w której urządzano tańce i wyprawiano huczne weseliska. Niejedna para przyjechała z najodleglejszego zakątka hrabstwa Mayo, żeby wziąć ślub w kościele pod wezwaniem Najświętszej Pani, a potem szaleć do białego rana na swoim weselu. W Knock ojciec Horan zastał przy kościele niewielką kapliczkę, z paroma zaledwie figurami, przed którą cudownie ozdrowieni składali w podzięce niepotrzebne już kule czy laski. W ciągu dziesięciu lat proboszczowania zebrał niewiarygodną sumę pieniędzy, za które rozbudował kościół, tak by mógł pomieścić tysiące wiernych, a kapliczka w miejscu objawienia przerodziła się w przybytek z gigantycznymi marmurowymi posągami świętych i freskiem przedstawiającym scenę z 1879 roku. Inna sprawa, że nowoczesne zarówno kościół, jak i kaplica były paskudne i jak wół do karety pasowały do sielankowej wiejskiej okolicy. Ja nieco cynicznie powątpiewałam w autentyczność tych wszystkich cudów, o których się słyszało, jako że moi ziomkowie skłonni są do przesady i im bardziej czują się grzeszni, tym w większą histerię religijną popadają, niemniej nie mogłam negować dokonań ojca Horana. W setną rocznicę objawienia, w przededniu wizyty papieża, szacunek miejscowemu księdzu okazywali nawet ateści.

Aine Grealy, kobieta, której „sprzątnęłam” Jamesa sprzed nosa, wróciła na stare śmiecie jeszcze w 1972 roku, porzucając posadę nauczycielki w Dublinie, by zaopiekować się chorą matką. Mimo całego swego wykształcenia nigdy nie wyszła za mąż, nad czym bardzo ubolewała. Wiem to stąd, że wbijała mi szpilę, ilekroć mogła.

Kiedy wszyscyśmy oczekiwali Ojca Świętego, Aine Grealy rzuciła mimochodem:

— Michael Tuffy też tu będzie. Na pewno chętnie się z nim spotkasz.

Pochodzę ze wsi, plotkarstwo mam we krwi. Posunęłabym się wręcz do stwierdzenia, że nie sposób przetrwać w małej, zamkniętej społeczności, jeśli nie lubi się obgadywać sąsiadów i nie pozwala im się na to samo. Obowiązuje jednak pewna etykieta. Porządna plotka wymaga subtelności. Informacje są cedzone stopniowo, jak gdyby ujawniane niechętnie, dzięki czemu nabierają dodatkowego znaczenia. No i powinny być wymieniane za czyimiś plecami. W rzadkich wypadkach gdy plotka dotyczy rozmówcy, nie wolno uciekać się do półśrodków: wyklada się kawa na ławę i odchodzi, nie czekając na reakcję. Cóż, Aine Grealy była może wykształcona i światowa, ale z kontaktów międzyludzkich nieodmiennie zasługiwała na dwóję.

Na kilka dni przed wizytą papieża kościół pękał w szwach — ci, co na ogół omijali go szerokim łukiem, teraz tłoczyli się pragnąc usłyszeć o wszystkim z pierwszej ręki. Trzydziestego września od samego rana miały kursować autokary dowożące wiernych pod samą bazylikę (ksiądz z ambony zapewniał, że kursów będzie tak wiele jak chętnych, i prosił, by nie wyczekiwać całą noc na pierwszy poranny kurs); dla starszych przygotowano wygodne miejsca siedzące w słynnej sali Seamusa Horana, gdzie mogli uczestniczyć we mszy, nie narażając się na niewygody związane z kapryśną aurą.

Aine Grealy uraczyła mnie swoją informacją zaraz po mszy, nie odczekawszy, aż zrobi się wokół nas luźniej, tak że jej rewelację usłyszała połowa parafii, po czym chciwie wpatrzyła się w moją twarz. Rozczarowałam ją, nie reagując w żaden sposób, na co już chciała powtórzyć swą kwestię głośniej, lecz przeszkodził jej w tym James, wypychając mnie z kościoła. Sam chyba niczego nie dosłyszał, gdyż nie padł z jego ust komentarz, chociaż kiedy wracaliśmy samochodem do domu, był dziwnie rozdrażniony. Ja przeciwnie — nadal pozostawałam w stanie szoku (jak się łatwo domyślić, nie zignorowałam Aine celowo, lecz zwyczajnie zaniemówiłam z wrażenia).

— Bernadine, do licha, czy ty mnie w ogóle słuchasz? — pieklił się James. — Mówię ci właśnie, że zgłosiłem się na ochotnika do pomocy przy starszych osobach. Na zobaczenie papieża z bliska i tak nie ma co liczyć, a tam przynajmniej na coś się przydam. Ojciec Kenny poprosił mnie, bym wygłosił parę zdań na temat wydarzeń sprzed stu lat... — Słuchałam go jednym uchem, pogrążona we własnych myślach. Z bocznego lusterka spoglądała na mnie smutna twarz starej kobiety. Życie przeleciało jak z bicza strzelił, zabierając mi urodę i obdarzając zmarszczkami sugerującymi

mądrość, lecz ja nie byłam ani o krztynę mądrzejsza niż przed paroma dziesiątkami lat. Wystarczył dźwięk jego imienia, cień nadziei, że znów go ujrzę, a zachowywałam się i czułam jak podfruwajka. — ...że pewnie będziesz chciała mi pomóc. Zaproponowałam, że podasz lekkie przekąski między jedenastą a drugą.

— Nie.

Tak bardzo go kochałam. Zniosłam to, że mnie porzucił i wystawił na pośmiewisko, jakoś przeżyłam rzuconą mi w oczy przez Jamesa prawdę, choć utraciłam wtedy część samej siebie. Aine Grealy z pewnością nie sądziła, że swą jadowitą uwagą rozbudzi we mnie dawno zagasłe uczucie...

Michael miał przyjechać do Knock, żeby zobaczyć papieża. A ja jeśli chciałam zobaczyć Michaela, nie mogłam dać się zamknąć w sali ze starszankami popijającymi jabłecznik.

— Chcę pojechać do Knock — oświadczyłam twardo.

— Ale Bernadine... — James próbował mi przemówić do rozsądku — tłumy będą niemiłosierne, a jak ci właśnie wspomniałem, podjąłem zobowiązanie, że...

— W takim razie pojedę sama.

— No, skoro ci tak bardzo zależy, to jakoś się wykręcę...

— Pojadę autokarem — przerwałam mu. Nie wyobrażałam sobie w takiej chwili mieć przy sobie męża. — Mae też się wybiera, więc pojedę z nią.

James zmarszczył czoło.

— Uważam, że lepiej by było, gdybyśmy w taki dzień trzymali się razem. Jestem pewien, że ojciec Kenny zrozumie...

— Nie, James — popatrzyłam na niego łagodnie. — Ty będziesz potrzebny na miejscu. Nie martw się, Mae i ja damy sobie radę.

Wiedziałam, że James jest niepokieszony. Biedak chyba naprawdę nie rozumiał, dlaczego tak bardzo mi zależy, by zobaczyć papieża z bliska, i to samej. Prawdopodobnie czuł się nawet urażony, lecz ja o to nie dbałam. Serce nie sługa — nie miałam wyboru.

Rozdział trzydziesty trzeci

Nowy Jork, 2004

Najlepszym lekarstwem na kłopoty życiowe jest stary wypróbowany przepis. Na przykład szynka czosnkowa Babci Bernadine. Olbrzymi kawał miecha, najpierw długo gotowany na wolnym ogniu, potem namaszczonego miodem z czosnkiem i wreszcie upieczony... mmm... palce lizać. Nie jest to danie szybkie, podawane w sytuacjach awaryjnych, gdy powiedzmy, zwali nam się na kark nie zapowiedziana rodzina, ale na pewno warte zachodu. Dwie osoby mają zapewnioną wyzerkę na sutą kolację jednego dnia, porządny obiad następnego i mnóstwo kanapek przez tydzień. Co tylko udowadnia, że czas dobrze zainwestowany to nie czas stracony.

Z Doreen znamy się od piętnastu lat. To nic, że odkąd wyszłam za mąż, widziałyśmy się dwa razy na krzyż, i tak wiem, że wciąż jest moją najlepszą przyjaciółką. Doreen Franke, redaktorka magazynu mody i wieczna czterdziestka; chuda jak patyk, a przy tym niewysłowienie szykowna, o języku i piórze równie ostrych jak jej paznokcie. Gdyby przed szesnastu laty ktoś mi powiedział, że się z nią zaprzyjaźnię, postukałabym się w czoło, a tymczasem to nikt inny, tylko właśnie Doreen wprowadziła mnie do branży. Miałam ledwie dwadzieścia parę lat i unosząc się na fali młodości i powodzenia w college'u, próbowałam gdzieś zacumować na dłużej. Wtedy akurat próbowałam swoich sił w modnej restauracji. Ona, jako się rzekło w wieku czterdziestu lat, miała ugruntowaną pozycję i jedynym jej zmartwieniem było, jak nie przytyć. Ku rozpaczy swojej dietetyczki zaszła do „mojej” knajpy i skosztowała „mojej” szynki. Później wielokrotnie jadła u nas lunch, aż pewnego razu pożałowała mi się przy bufecie:

— Przez ciebie przytyłam dwa kilo!

To wtedy po raz pierwszy zwróciłam na nią uwagę, chociaż właściwie należałoby powiedzieć, że to ona wyłowiła mnie z tłumu i zaszczyciła swym zainteresowaniem. W końcu nie co dzień człowiek ma okazję rozmawiać z gwiazdą ekskluzywnych magazynów dla kobiet. Nie chcąc przegapić swojej szansy, zapewniłam ją szybko, że w każdej chwili mogę rzucić gotowanie tutaj — na czym zyska jej figura — i podjąć się bardziej bezpiecznego dla osób postronnych pisania o jedzeniu. Wkrótce byłam umówiona na rozmowę z naczelnym... W następnych latach przyczyniłam się do tego, że Doreen zyskała w pasie pięć centymetrów, co biorąc pod uwagę jej pierwotne wymiary, nie było specjalną tragedią. Ceniłam sobie to, że mi zaufała, i

korzystając z okazji chroniłam ją przed śmiercią głodową, gdyż jadała tylko to, co ja upichciłam, plus miniaturowe koktajlowe kanapeczki.

Mało kto dawał wiarę, że naprawdę się przyjaźnimy. Doreen była niemal dwukrotnie ode mnie starsza, no i miała opinię wyjątkowej jędry. Ja jednak nigdy na sobie nie odczułam ani dzielącej nas różnicy wieku, ani jej rzekomo straszego charakteru. Owszem, była ostra jak brzytwa, ale ja poznałam ją raczej od tej lepszej strony i chociaż czasami trudno było dotrzymać jej kroku, taka była bystra i malownicza, ja zawsze się przy niej doskonale bawiłam. Z czasem zrozumiałam, że zgrywa tylko Królową Śniegu, skrzętnie ukrywając przed większością ludzi swoje dobre serce. W rzeczywistości wiele nas łączyło. I ona, i ja byłyśmy snobkami, tyle że w różnych dziedzinach — jej domeną była moda, moją kulinaria.

— Kochanie, naprawdę nie pojmuję, jak można odróżnić jeden makaron od drugiego — mówiła pół żartem, pół serio.

— To dlatego — odpowiadałam — że nie jadasz makaronu wystarczająco często.

— Często? — powtarzała ze zgrozą. — Kochanie, ja nie miałam makaronu w ustach od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego!

Miała swoje wady i przyzwyczajenia, które podchwytowała połowa nowojorczyków — z wyjątkiem mnie. Ja nadal chodziłam w zwykłych dżinsach i sweterkach sprowadzanych z Anglii. Na ich widok Doreen łapała się za głowę i wołała:

— Kochanie, zróbże coś' ze sobą, bo ja już patrzeć nie mogę na te... jak im tam?

— Kardigany — podpowiadałam.

— No właśnie — wzdychała teatralnie i przewracała oczyma. — Ten jest nowy, prawda? A jakiego on jest właściwie koloru? Przypomina wydzielinę z nosa dziecka...

— Groszkowy — podpowiadałam cierpliwie.

— Też coś! — prychała. — Groszek to się j e, kochanie, a nie nosi.

— Ale ja jestem z Irlandii — droczyłam się dalej.

— No właśnie. Groszek się jada zwłaszcza w Irlandii... Czy oni już niczego nie uczą w tych college'ach?

Odplącałam jej pięknym za nadobne mówiąc, że jak stoi do mnie bokiem, to jej nie widzę, i „oskarżając” o spowodowanie wśród młodych dziewcząt mody na anoreksję.

Doreen dostawała wysypki na samo słowo „związek”. Wyszła za mąż w stosunkowo młodym wieku i na stosunkowo krótko, po czym powzięła przekonanie, że koncept dzielenia z kimś życia jest przereklamowany.

— Kochanie — mówiła — mnie z trudem przychodzi podzielić się z kimś porcją sushi, a co dopiero łazienką! — Zaraz jednak się reflektowała, gdyż nie chciała, bym zaczęła myśleć tak jak ona. — No ale ty... Ty nie masz wystarczającej klasy, by być starą i samotną, i dobrze z tym wyglądać. A poza tym potrafisz gotować. Po prostu musimy cię wydać!

To Doreen mnie motywowała i recenzowała moich partnerów. Kiedy poznała Dana, była załamana.

— Poszłaś do łóżka z fachowcem?! Korby dostałaś czy co? To Doreen opracowała trzy złote zasady dotyczące udanego życia seksualnego na Manhattanie. Po pierwsze: depiluj regularnie nogi, po drugie: nie szcędź na napiwkach, po trzecie: nigdy nie idź do łóżka z fachowcem.

— Och, po prostu za długo już byłam sama...

— No wiesz, nigdy cię nie posądzałam o promiskuityzm!

— Sama nie wiem, co mnie naszło — tłumaczyłam się niezadarnie.

— Tressa, spójrz prawdzie w oczy: był mężczyzną i był pod ręką.

Zastanowiłam się nad jej słowami.

— Hmm... właściwie to ja go chyba lubię.

— Boże, więc to nie był tylko jeden raz! — załamała nade mną ręce.

— Zeszłej nocy...

— I do tego w nocy!!

— Lub'ię go... Jest taki... taki... — zabrakło mi słowa.

— Jest fachowcem, Tressa! Z fachowcem pozostaje się na przyjacielskiej stopie, bo może być użyteczny, ale się z nim nie sypia!... Twoja manikiurzystka mogłaby z nim pójść do łóżka... A jeśli już cię przycisnęło, powinnaś była to z nim zrobić raz, i to po południu, w biały dzień!

— Ale... mnie jest z nim dobrze!

— Po prostu byłaś zdesperowana, to jedyne wytłumaczenie. Fakt, dość długo jesteś sama... Nieważne, co było, to było. Natychmiast musisz z nim zerwać. Pociągnij to jeszcze trochę, a pożałujesz. Wspomnisz moje słowa...

No i pożałowałam.

Doreen nie uważała, by Dan był dla mnie wystarczająco dobry. Co gorsza, ja też się tego obawiałam. Gdyby było inaczej, nigdy nie wzięłabym całej tej gadaniny serio. A najśmieszniejsze jest to, że wyszłam za Dana ponieważ dlatego, że chciałam zrobić na złość swojej przyjaciółce. Albo przynajmniej

przekonać ją — i samą siebie — że to ja mam rację. Bo choć nie byłam na sto procent przekonana, że ślub z Danem to dobry pomysł, nie sądziłam także, by był to pomysł zupełnie zły. Zresztą Doreen sama kiedyś powiedziała, że lepiej wyjść za mąż i się sparzyć, niż nigdy nie wyjść za mąż. Permanentny stan wolny grozi tym, że gloryfikuje się instytucję małżeństwa, a tak, jak przeżyło się i ślub, i rozwód, przynajmniej wiadomo, że to nic wielkiego.

W obawie, by nie odwiodła mnie od raz powziętego zamiaru, oznajmiłam buńczucznie:

— Ja go kocham, Doreen. — No, tego argumentu nie da rady zbić. Nie wolno stawać na drodze prawdziwej miłości! Furda wątpliwości, różnica charakterów i wykształcenia. Uczucie ma pierwszeństwo. — Tak, kocham go i dlatego za niego wyjdę.

Gdybym tylko sama w to wierzyła...

Doreen oczywiście nie dała się nabrać. Niemniej stanęła na wysokości zadania i uśmiechnąwszy się szeroko, zapytała:

— Zatem pewnie chcesz, bym została twoją druhną?

Pomogła mi wszystko załatwić, a potem przetrwać najważniejszy dzień mego życia. Znalazła nawet sposób, by być miłą dla Dana — po prostu skupiła się na tym, jak wygląda, co powodowało u niego ciągły rumieniec zawstydzenia, a mnie utwierdziło w przekonaniu, że wychodzę za jednego z Chippendale'ow. Nie miałam jej tego za złe; nie od dziś znałam jej cięty humor, a że nieraz pysznie się przy niej bawiłam cudzym kosztem, nie mogłam zbytnio protestować, kiedy wreszcie postanowiła zabawić się moim.

Od mojej przeprowadzki do Yonkers nie widziałyśmy się ani razu, zaabsorbowane zmianami w naszym życiu, lecz podejrzewam, że Doreen czuła do mnie żal: w końcu to ja opuściłam Manhattan — i ją. Być może nie potrzebowała mężczyzny, ale w pewnym sensie uzależniła się ode mnie... Z tego co się zorientowałam, moje miejsce zajęli koledzy geje z pracy; ilekroć do niej telefonowałam, zawsze zastawałam ją w drodze: albo wracała z jakiegoś przyjęcia, albo jechała na kolejne. Sztucznie ożywionym głosem próbowała mnie przekonać, jakie wspaniałe jest jej życie, ale i tak wiedziałam, że za mną tęskni.

Ja zatęskniłam za Doreen dopiero wtedy, gdy sprawy w domu wzięły w łeb.

Było nie było, znałyśmy się od piętnastu lat; w tym czasie nastąpiło i odeszło w niepamięć paru prezydentów, weszła i przeminęła moda na

sztuczną biżuterię, wywatowane ramiona, nouvelle cuisine, papierosy stały się démodées, przez nasze łóżka przewinęło się trochę mężczyzn... Razem szwendałyśmy się po restauracjach, zwiedziłyśmy Florencję, urządzałyśmy sobie przyjęcia urodzinowe i ułagadzały wzajem matki, zniechęcałyśmy namolnych podrywaczy, a którejś wyjątkowo pijanej nocy nawet wydepilowałyśmy sobie pachy.

Przy Doreen śmiałam się jak przy nikim innym, a kiedy zabrakło Dana, właśnie śmiechu potrzebowałam najbardziej — żeby przegonić z domu złą atmosferę. Skoro już o zaklęciach i czarach mowa, Doreen była czarownicą pierwszej wody i choćbym nawet chciała, przy niej nie umiałam udawać. Potrzebowałam jej, by stanąć twarzą w twarz z tym, co się stało.

Tego samego popołudnia wysłałam do niej maila z zaproszeniem.

OD: Tressa Mullins née Nolan DO: Doreen Frankę TEMAT: Weekend w Yonkers

TREŚĆ: Jeśli niestraszne Ci slumsy, przyjedź wspominać stare dobre czasy!

RS

Rozdział trzydziesty czwarty

Irlandia, 1979

— Wychodzę, Bernadine! — James krzyknął od drzwi. — Jeśli jednak zechcesz pojawić się wśród staruszków przykutych do wózków inwalidzkich, słyszałem, że jeden autokar odjedzie spod bazyliki o piątej... — Nie doczekawszy się mojej odpowiedzi powtórzył: — Bernadine?... — Na schodach rozległy się kroki i James stanął w drzwiach sypialni. Właśnie przetrząsałam garderobę w poszukiwaniu płaszcza. — Co ty wyprawiasz? Mae będzie tu za parę minut.

Mimo że była już dwunasta, Jamesa wciąż rozpieierała energia. Cały ranek spędził przed telewizorem, śledząc relacje z wizyty papieża.

— Bernadine! — wołał mnie z salonu. — Chodź zobaczyć biskupa Eamona Casey'a. Ależ się chłop trzyma... Skąd on bierze tyle pewności siebie?... No chodźże, Bernadine, nie chcesz przecież tego przegapić!

Nie potrafiłam się zmusić, by udawać entuzjazm. Poprzedniego dnia zerknęłam na ekran i przeraził mnie kłębiący się na nim tłum. Dublin, Drogheda — nieważne, gdzie pojawił się papież, ciżba ludzka wszędzie była nieprzenikniona. Dziesiątki tysięcy ludzi rozrzuconych na wielkiej przestrzeni, wiwatujących, rozśpiewanych albo rozmodlonych, wypatrujących następcy świętego Piotra, jak wyłania się z chmur w swym helikopterze przypominającym olbrzymiego pomarańczowego orła. Kamery telewizyjne pokazywały go w zbliżeniu, można było dojrzeć jego uśmiech i delikatną siateczkę zmarszczek wokół oczu, dłoń uniesioną w geście pozdrowienia i błogosławieństwa, lecz zaraz pałeczkę przejmowały inne, ukazujące ludzkie zgromadzenie z lotu ptaka, i w tej samej chwili nadzieja mnie opuściła. Skoro nawet papież jawił się jako biała kropka na tle tłumu, jakąż miałam szansę na odnalezienie wśród tysięcy jednego Michaela?

Godzinami próbowałam wybić sobie z głowy dziecięcą fantazję, że wizyta Jana Pawła II to zrzącenie losu, dzięki któremu Michael i ja znów się odnajdziemy, wbrew wszystkiemu i wszystkim, wbrew przeciwnościom i upływowi lat. Mimo że większą część życia spędziliśmy oddzielnie i w oddaleniu, nie przestałam się zastanawiać, czy jednak nie byliśmy sobie przeznaczeni? Mieliliśmy spotkać się w obecności papieża, a za jego sprawą także Boga, a czymże innym zajmuje się Bóg, jak nie prostowaniem ścieżek losu?...

— Który powinnam włożyć? — zapytałam Jamesa, w jednej ręce prezentując znoszony granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, w drugiej zaś jasny prochowiec otrzymany w prezencie od Niamh.

Jak zwykle praktyczny James odparł:

— Włóż ten stary. Zdaje się, że zanosi się na deszcz.

Jak zwykle miał rację. Ja jednak wybrałam nowojorski prezent od córki. Na szczęście.

Dokładnie o trzeciej po południu papieski helikopter wylądował w cieniu bazyliki, a oczekujący go tłum wydał radosny pomruk. Czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzkich ciał stopiło się w jedno, czterysta pięćdziesiąt tysięcy gardeł przemówiło jednym głosem, wyrażając radość, zachwyty, uwielbienie.

Czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi i ja. Nigdy w życiu nie czułam się tak samotna i bezbronna.

Pomimo scen obejrzanych w telewizji, nie zdając sobie sprawy z wielkości zaimprovizowanego kościoła na wolnym powietrzu ani z gęstości tłumu, zostawiłam Mae i naszą grupkę na parkingu z zamiarem odszukania Michaela. Dostyc wcześnie uświadomiłam sobie, że to bezcelowe, a jednak dalej parłam naprzód, wypatrując oczy. Tłum, zamiast rzednąć, gęstniał, zostałam przezeń wessana i wkrótce znalazłam się w kotle napierających ciał. Straciłam orientację, ledwie potrafiłam odróżnić górę od dołu. Dobrze znajomy krajobraz Knock zniknął, przed oczyma miałam czyjeś plecy, pogrążoną w ekstazie twarz, pod stopami skrawek trawy, nad głową zaś ciemniejące z chwili na chwilę niebo. Dzień należał do pochmurnych i choć był to dopiero koniec września, świt poniósł klęskę w walce z mrokiem, już wczesnym popołudniem dając za wygraną i przechodząc bezpośrednio w zmierzch. Prochowiec na-wilgł i ciążył ku ziemi, w kolanach odezwał się artretyzm, który jako oznakę starości na co dzień starałam się ignorować. Marzyłam tylko o tym, żeby gdzieś usiąść. Nagle, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, nad naszymi głowami rozległ się łopot wirnika. Na moment zaległa cisza, każdy nasłuchiwał, czy to aby na pewno helikopter, po czym wybuchł nieopisany harmider. Niemal pół miliona wiernych witało swego pasterza, swą nadzieję w życiu przyszłym i doczesnym, ciesząc się zarazem na to wywyższenie naszego kraju, hrabstwa, miasta...

Zaczęłam przepychać się z powrotem. Brnęłam i brnęłam niczym w gęstej ludzkiej zupie, zalewana przez siąpiący uporczywie deszcz, utrudniający mi oddychanie, lecz wciąż znajdowałam się w samym środku tłumu. Bliska paniki, z frustracji i strachu ucapiłam się czyjegoś rękawa i wysapałam:

— Gdzie jest wyjście?

Nijaki, solidnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku kazał mi się go mocno trzymać, po czym torując sobie drogę niczym bezlitosny taran, wyprowadził mnie na wolną przestrzeń. Za mną tysiące szyj wyciągało się ku niebu, by nie uronić niczego z rozgrywającego się tam spektaklu, przede mną zaś stał ciasny kordon ochotników. Musiałam wyglądać strasznie, gdyż jeden z nich zaraz do mnie podbiegł, odciągnął na bok, a wreszcie odprowadził pod bazylikę, gdzie posadził mnie na składanym zydelku. Najbliższy autokar miał odjechać dopiero za cztery godziny.

Powiadają: stary, a głupi. W ciągu tych czterech godzin czułam się zarówno bardzo stara, jak i bardzo głupia. Przemoknięta do suchej nitki, z rwącymi kolanami i trzeszczącymi przy najlżejszym ruchu kośćmi zlorzeczyłam miłości, która potrafi pozbawić człowieka zdrowego rozsądku, odrzeć go z godności, zabawić się jego kosztem. Tkwi przyczajona w głębi duszy, czekając na właściwy moment, kiedy będzie mogła uderzyć z pełną siłą, a wystarczy zaledwie ulotny zapach, jedno słowo, wspomnienie czy imię dawnego kochanka, by ją obudzić. A wtedy, szarpie człowieka niczym głodna bestia... Pomyślałam o paczuszce z kanapkami z szynką, które przygotowałam na drogę, a potem wetknęłam zdziwionej Mae, aby kiedy już znajdę Michaela Tuffy'ego, nie trzymać w ręku czegoś tak prozaicznego jak plastikowa torba z drugim śniadaniem. Zapewne teraz błogosławi mnie ze swymi najbliższymi sąsiadami, racząc się pożywnymi kanapkami i popijając gorącą herbatę, nic sobie nie robiąc z chłodu i deszczu, niegroźnych, jeśli na grzbiecie ma się solidny płaszcz, a na nogach porządne buty. A jeszcze lepiej, myślałam, zrobiły te starsze panie, które w ogóle się nie ruszyły z domu i teraz w zaciszu własnego salonu oglądają relację z pielgrzymki; albo choćby James, który znajduje się bezpiecznie pod dachem. Ale nie, ja musiałam wystroić się w cienki płaszcz, bardziej pasujący młodej kobiecie, i w lekkie eleganckie buty, nie dające żadnej ochrony stopom, i udać się na poszukiwanie utraconej miłości — tak jakby, było możliwe znalezienie kogokolwiek w półmilionowym tłumie.

Autokar w końcu podjechał i zziębnięty tłum rzucił się do środka.

— Był wspaniały, powiadam!...

— Tak o nas powiedział: „Jesteście celem mojej podróży”...

— Powiedział też, że jest pielgrzymem, jak my wszyscy.

— Papież, a taki skromny...

Przekrzykiwali się podekscytowani, a ja siedziałam cicho i tylko uśmiechałam się niepewnie, kiedy w szczegółach przeżywali raz jeszcze całą uroczystość.

Mój cel podróży był inny. I go nie osiągnęłam.

Usiadłam przy oknie i niewidzącym wzrokiem błądziłam po zalanej deszczem szybie i rozciągającej się wzdłuż drogi ulicy. Małe, byle jakie sklepiki, stoiska z widokówkami, hoteliki oferujące nocleg i skromny lunch za niecałego funta... Nie czułam już głodu. Wciąż jednak targał mną ból po złożonej i złamanej przed laty obietnicy. Czy kiedykolwiek uda mi się z tym pogodzić?

RS

Rozdział trzydziesty piąty

Nowy Jork, 2004

Czekanie, aż ktoś człowiekowi przebaczy, to powolna, wyjątkowo okrutna tortura. Mimo że upłynęły już trzy tygodnie od „Ronangate”, jak to ochrzciłam w duchu, sprawy między mną a Danem nadal stoją w martwym punkcie. Wprawdzie śpimy w tym samym łóżku, ale równie dobrze moglibyśmy znajdować się na osobnych kontynentach: Dan leży sztywno niczym wystraszona panna młoda, a ja boję się go dotknąć po tym, jak raz czy dwa odrzucił moje zaloty. Naprawdę próbowałam zachować cierpliwość, lecz kilka dni odgrywania nawróconej Marii Magdaleny nadwreżyło moje możliwości.

— Chryste, Dan — wybuchnęłam w końcu — przecież cię przeprosiłam.

Popatrzył na mnie zranionym wzrokiem, zapewne mającym sugerować głębię jego cierpienia i to, że nigdy, ale to nigdy nie pojmem, jak wielką uczyniłam mu krzywdę.

Zaczynałam się zastanawiać, co ja jeszcze z nim robię.

No właśnie, co ja jeszcze z nim robię?

Istnieją dwa sposoby usunięcia nadmiaru soli z szynki. Pierwszy, Babci Bernadine, polega na moczeniu jej, płukaniu i ponownym moczeniu tak często i tak długo, jak tylko się da; sól opuszcza ją stopniowo i całkowicie. Drugi sposób, mój, sprowadza się do zagotowania inkryminowanej szynki w coca-coli.

Oba są w efekcie równie skuteczne, lecz z jakiegoś powodu szynka przyrządzana pierwszym sposobem smakuje lepiej. Być może dlatego, że trzeba dłużej czekać, zanim można ją skosztować. Czy to zatem nie dziwne, że wiedząc to, co wiem o usuwaniu soli z szynki, potrafię wziąć na wstrzymanie gotując i nie przeszkadza mi, że w kuchni muszę się porządnie napracować, lecz jeśli w grę wchodzi stosunki męsko-damskie, zawsze idę na łatwiznę? Tym razem postanowiłam zastosować się do Babcinych rad. Obrałam wobec Dana inną taktykę i chyba zauważyłam jakieś postępy. A może tylko przyzwyczaiłam się do panującej między nami zimnej wojny?

Istnieje jeszcze możliwość, że jestem wstrętą żoną, która chce tylko to, czego nie może dostać. Kiedy Dan mnie kochał, było mi to obojętne; teraz gdy odmawia mi swego uczucia, pragnę go jak nigdy przedtem. Szkoda tylko, że przejrzałam na oczy i zaczęłam go doceniać dopiero wtedy, gdy

udało mi się zamienić najłagodniejszego, najmilszego faceta na Manhattanie w zatwardziałego cynika.

Ku mojemu zdumieniu Dan nie protestował, kiedy oznajmiłam, że Doreen przyjedzie do nas na weekend.

— Fajnie — mruknął. — Lubię Doreen.

Dan często mówi, że kogoś lubi, choć w rzeczywistości jest dokładnie na odwrót. Na przykład przy Doreen czuje się niepewnie; można by pomyśleć, że pochodzą z planet, przy których Mars i Wenus to bliscy sąsiedzi. Oboje są wyjątkowymi ludźmi, ale tak różnymi, że nie sposób pogodzić ich obecności w jednym pokoju. Na cóż mi więc Doreen, kiedy jestem w samym środku kryzysu małżeńskiego?

Z drugiej strony musiała nas prędzej czy później odwiedzić — było nie było jest moją przyjaciółką, a Dan — jakkolwiek na to patrzeć — moim mężem. Jeśli nawet spotkanie nie będzie się zaliczać do najbardziej udanych, zawsze da mnie i Danowi chwilę oddechu w naszych przepychankach. Obecność Gerry'ego wpłynęła na nas oboje kojąco przy urządzaniu kuchni, toteż niewykluczone, że Doreen także odegra rolę mediatora, jeśli już nie dobrej wróżki.

Nasz dom nabiera coraz wyrazistszych kształtów, podczas gdy nasze małżeństwo się rozpada, zauważyłam smutno, robiąc ostateczne porządki przed przyjazdem Doreen. Zajęcie było o tyle emocjonujące, że musiałam przewidzieć każdą najdrobniejszą uwagę mojej stylowej przyjaciółki, uprzedzić ją i jakoś zapobiec katastrofie. Nie miałam jednak nic przeciwko takiemu wyzwaniu — lubię wyzwania, którym potrafię sprostać, na przykład takie: czy zapachowa świeczka w sypialni gościnnej koresponduje z mydłem w gościnnej łazience? Nie miałam pojęcia, jak poradzić sobie z burzą uczuć dręczących Dana, a czymś musiałam się zająć, żeby nie zwariować. Pozostawały więc tylko bzdury: układanie serwetek, polerowanie kieliszków i dekorowanie kuchni wiązkami ziół w nadziei, że czujne oko Doreen nie wychwyci braków w umeblowaniu. Po namyśle podobną taktykę zastosowałam na bardziej prywatnym polu, licząc na to, że wykonywanie bez słowa protestu drobnych nużących żoninych obowiązków, takich jak zmienianie żyłki w jego maszynie do golenia czy prasowanie i składanie w kostkę jego bokserek, w końcu przeważy szalę na moją korzyść. W efekcie poczułam się tylko bardziej sfrustrowana, gdyż Dan uznał wyprasowane gatki za coś oczywistego. Nie dziwota, że na gwałt potrzebny mi był kozioł ofiarny, na którym mogłabym wyładować swój gniew i wstyd.

Po przyjeździe Doreen spodziewałam się wszystkiego tylko nie tego, że my dwie będziemy się źle czuły w swoim towarzystwie. Jednakże postanowiłam się tym nie przejmować, składając niejaką sztywność naszych zachowań na karb tego, że nie widziałyśmy się od wielu miesięcy.

— Urocze to — oznajmiła wkraczając do kuchni i sięgając po porcelanowy dzbanuszek w kwiaty, który ocaliłam spośród koszmarnej kolekcji Eileen.

— Masz na myśli dzbanuszek czy całą kuchnię? — spytałam odruchowo, choć wolałabym się nie dowiedzieć.

— A która odpowiedź jest prawidłowa? Wyszczrzyłyśmy się do siebie — ja udawałam, ona także.

Kiedyś takie okrutne żarciki były w naszych stosunkach normą, co tylko świadczyło o tym, jak bliskie byłyśmy sobie i jak pewnie się czułyśmy w swoim towarzystwie. Teraz uderzyło mnie, że z żartów nie pozostał nawet ślad, zostało tylko okrucieństwo. Przechodziłam kryzys osobowości czy co? Gdzie się podziała moja pewność siebie? Powinnam była powiedzieć jej, że dom wcale nie jest uroczy, tylko dokładnie taki, jaki ma być, ale zapomniałam języka w gębie, jak gdybym nagle zaczęła się bać słynnej strasznej Doreen.

Udałam, że temat jest zamknięty, i zajęłam się przygotowaniem kolacji. Spaghetti carbonara z czosnkiem i szynką parmeńską — niezwykle tuczące! — a do tego sałatka z warzyw prosto z ogródka. Dan kręcił się po domu, niby że taki zajęty, i w którymś momencie rzucił pochwałę pod moim adresem:

— Smakowicie pachnie, skarbie.

Doreen wzniosła oczy do nieba, a mnie uderzyła myśl, że musimy się jej jawić jak para buraków, i pożałowałam, że Dan w ogóle się odezwał — chociaż był to nie lada przełom w naszych wzajemnych, napiętych jak postronki stosunkach. Na szczęście później gdzieś się zaszył, tak że Doreen i ja mogłyśmy plotkować do woli o wspólnych znajomych. Jeszcze przy deserze uraczyła nas kilkoma pikantnymi anegdotkami, które w jej zamierzeniu miały Dana wprawić w zażenowanie i odwołać do ważniejszych spraw, co faktycznie się stało.

— W domciu wszystko okay? — zapytała, kiedy Dan zniknął nam z oczu, za powód podając umówione spotkanie z Gerrym. Tak jakby z Gerrym w ogóle można się było umówić!

Do tego momentu nie uświadamiałam sobie, jak bardzo przepelnia mnie potrzeba podzielenia się z kimś swoimi problemami. Mając przed sobą starą wypróbowaną przyjaciółkę, machnęłam ręką na pozory i wyrzuciłam z siebie wszystko. To, że od samego początku nie jestem pewna swoich uczuć do Dana, że niemal przespałam się z Angelem i Ronanem, że wszystko to moja wina i że tak bardzo chcę, by wszystko znów się między nami ułożyło. Nie przejmowałam się składnią ani tym, że się powtarzam, słowa wyciekały ze mnie, podobnie jak łzy, i z wolna ogarniała mnie ulga. Nikt nie powinien dusić czegoś takiego w sobie! Doreen tylko przytakiwała, pozwalając mi się wygadać, miała przy tym szczerą i zafrasowaną minę. Mniej więcej w połowie moich wynurzeń otworzyła drugą butelkę wina i pilnowała, by nasze kieliszki ani przez chwilę nie były puste. Było tak jak kiedyś: ja organizowałam żarcie, ona picie, mogłyśmy powiedzieć sobie wszystko bez obawy, że zostaniemy ocenione czy skarcone, wiedząc, że jedna drugiej w miarę możliwości pomoże. Czułam się przy niej bezpiecznie.

Kiedy skończyłam mówić, Doreen sięgnęła przez stół i ujęła moją dłoń. W jej smukłych wymanikiurowanych palcach wydawała się ciastowata i nieelegancka.

— Chcesz znać moje zdanie, Tressa? — spytała niewyraźnie. Dopiero oprzytomniawszy po swej spowiedzi zauważyłam, że

Doreen jest nieźle wstawiona. Drugą butelkę wina wypijała praktycznie sama. Ja nie miałam czasu wziąć nawet małego łyeczka, przecież z ust wylewał mi się nieprzerwany potok żalów. Instynktownie wiedziałam, że nie chcę usłyszeć tego, co ma mi do powiedzenia. Zanim jednak zdążyłam to wyartykułować, ona już mi radziła:

— Musisz go zostawić, ot co!

Wzdrygnęłam się, ale nie wyrwałam dłoni z jej uścisku. Wpijała mi w ciało szponiaste paznokcie i mówiła wszystko to, co dusiła w sobie od dnia, kiedy jej powiedziałam, że wychodzę za Dana. Było to zarazem wszystko to, czego się sama obawiałam. Usłyszałam więc, że Dan nie jest dla mnie wystarczająco dobry, że nie jest tym jedynym. Gdyby był, nigdy bym nie miała wątpliwości! Że najgorsze co może zrobić kobieta, to wyjść za mąż bez miłości. Nie powinnam była się poddawać, tylko dalej czekać i mieć nadzieję. Kompromis jest zły! Zresztą miałam jeszcze mnóstwo czasu — w końcu wciąż byłam przed czterdziestką. Że lepiej słuchać intuicji i podążać za głosem serca niż rozsądku. Powinnam natychmiast od niego odejść! To nic, że Ronan okazał się draniem, świat jest pełen Ronanów. Zasługuję na

coś lepszego: zasługuję, by budzić się co rano obok ukochanego mężczyzny, na którego widok serce będzie chciało mi wyskoczyć z piersi, a żołądek będzie fikał koziołki. Jestem wyjątkową, pełną seksapilu kobietą... ple... ple... ple... nie mogę obniżyć poprzeczki... ple... ple... ple... gdzieś w świecie jest ten jedyny, moja druga połówka, który na mnie z utęsknieniem czeka... ple... ple... ple... Chyba nie chcę unieszczęśliwić trojga ludzi?... I tak dalej w ten deseń.

Kiedy zaczynała mówić, bałam się. Wiedziałam, co chce powiedzieć, i bałam się, że to dokładnie to, co od dawna czuję. Jednakże dobrze, że pozwoliłam jej gadać, gdyż im dłużej mówiła, tym bardziej byłam pewna, że nie ma w jej słowach cienia prawdy. W pewnym momencie pomyślałam: Wiesz co, Doreen? Pieprzysz od rzeczy! Właśnie że Dan jest tym człowiekiem, którego pragnę, potrzebuję i na którego zasługuję. Bo małżeństwo to coś więcej niż szczeniackie podążanie za głosem „serca” — czytaj: hormonów — maskowane gładzeniem o księciu z bajki. Pragnę i potrzebuję miłości, zasługuję na to, by być kochaną, zresztą jak każdy, czyż nie? A Dan mnie kocha, czego jak czego, ale tego jestem pewna! I zasługuje na moją miłość, wreszcie to zrozumiałam i wreszcie — lepiej późno niż wcale (mam nadzieję) — zamierzam mu tę miłość dać. Początki nie były łatwe, gdyż z jakiegoś powodu ciągnie mnie do pajaców, i tak będących poza moim zasięgiem, ale teraz wszystko obróci się na lepsze. Miłość dobrego mężczyzny i strach przed jej utratą wyleczyły mnie z chorych skłonności. Czyż miłość nie ma na nas zbawiennego wpływu? Jakaż bym była idiotką, gdybym z Dana zrezygnowała i wróciła na barowy stółek w daremnym oczekiwaniu na strzałę amora?

Przecież nieraz się przekonałam, że rzadko który amor ma celne oko. A ten „jedyny” wydaje się jedyny, dopóki się nie pozna drugiego...

Pozwoliłam Doreen dokończyć bełkotliwą tyradę, po czym rozczarowałam ją potężnie, gdyż ani nie wybuchnęłam płaczem, ani nie pobiegłam pakować walizek, tylko spokojnie oświadczyłam, że padam z nóg i że czas na sen. Patrząc smutno w kieliszek wysączyła ostatnie kropelki wina, poklepała mnie po ramieniu i mruknęła:

— Masz rację, lepiej się przespać przed taką decyzją.

Dan wrócił późno i ledwie doczołgał się do łóżka. Był tak pijany, że nie pamiętał, iż jest na mnie zły, mogliśmy się więc kochać — zwyczajnie, jak to w małżeństwie. Po wszystkim stoczył się ze mnie i przewróciwszy się na

wznak wyciągnął odruchowo ramię, by mnie przytulić, a ja położyłam mu głowę na piersi, a potem długo mu się przyglądałam, jak zapada w sen.

— Kocham cię — wymruczał, nim zasnął.

— Ja też cię kocham.

Jak zwykle powiedział to pierwszy.

Miłość można okazywać na różne sposoby. Robiąc coś, mówiąc albo właśnie nie mówiąc. Dan potrafił milczeć.

— To nie do wiary, że nigdy nie czytałeś Faulknera! — Było sobotnie południe; siedzieliśmy w ogrodzie sącząc drinki i leniwie sobie gawędząc. Przygrzewało słońce, toteż Dan zdjął koszulę, my z Doreen zaś wygrzewałyśmy się jak kotki. Kiedy moja przyjaciółka i powiernica zorientowała się, że nie zamierzam pójść za jej radą, wzruszyła ramionami na mą niereformowalność i znów zaczęła traktować Dana jak uroczonego mięśniaka. — No tak, ale kto z takim wyglądem potrzebuje słowa pisanego? — nachyliła się i uszczypnęła Danowy biceps. Widziałam, że wewnątrz cały aż się zjeżył, ale nic nie powiedział. Normalnie na lojalność trzeba sobie zapracować i Bóg mi świadkiem, że moje uczucie lojalności do Doreen wynikało z wieloletniej, nie raz wystawianej na próbę przyjaźni. Z kolei małżeństwo rządzi się swoimi prawami, a jedną z ważniejszych zasad jest ta, że małżonek czy małżonka otrzymuje kredyt zaufania na wyrost, bez żadnych warunków wstępnych. Staje się rodziną i dwoje niedawno obcych sobie ludzi tkwi odtąd po tej samej stronie barykady. Właściwie żadne z nich nie musi się wysilać. Tyle że Danowi nie mogłam odmówić wysiłku. — O tak, Tressa, trafił ci się istny Hemingway... — Doreen zaśmiała się perliście, poklepała Dana po policzku, drugą ręką sięgając po papierosa.

Cały ranek tak się zachowywała. Przypuszczam, że to dlatego, iż czuła się niepewnie — pomimo tego wszystkiego, co jej wczoraj naopowiadałam, i mimo jej dobrych rad ja i Dan mieliśmy pozostać małżeństwem. Z jakiegoś powodu jej to nie leżało, co było tym dziwniejsze, że w dawnych czasach zawsze zapewniała mnie, że jestem stworzona do roli żony. Dlaczego więc nie potrafiła się z tym pogodzić, kiedy przyszło co do czego?

Byłam po uszy w kłopotach; cudem sobie radziłam, trzymając na wodzy własne emocje i przewidując ze sporym wyprzedzeniem reakcje Dana na wszystko, co powiem i zrobię. Z pewnością nie potrzebowałam jeszcze szamotać się z wredną— i czyżby zazdrosną? — przyjaciółką, która nagle jak gdyby przestała mieć moje dobro na uwadze.

Czy Doreen starała się pomóc mi załagodzić sytuację? Zdecydowanie nie.

Czy była skłonna zmienić się na tyle, by dopasować się do roli przyjaciółki zamężnej kobiety? Prawie na pewno nie.

Czy bawiły mnie jej żarty? Ani trochę!

— Wiesz co, Doreen? Zmień ton, kiedy odzywasz się do mojego męża.

Uniosła brwi — niby że taka zdziwiona i zraniona w swej niewinności.

— Co masz na myśli?

— To że traktujesz go jak przygłupie dziecko, którym nie jest.

Dan próbował się wtrącić ze swoim:

— Nie przesadzaj, skarbie, to naprawdę nic takiego... — co mnie trochę zirytowało.

Usłyszałam jednak w jego głosie dawną miękkość i wiedziałam, że dokonałam właściwego wyboru. Nie, to nie kwestia wyboru. Po prostu wreszcie zaczynałam postępować właściwie.

— Mylisz się, Dan — oznajmiłam łagodnie.

Mój mąż wykazał się niewiarygodnym wyczuciem.

— To ja sobie zrobię kawę... — rzucił i już go nie było. Ja zaś kontynuowałam, patrząc Doreen prosto w oczy.

— Wiem, co ci chodzi po głowie, i wcale mi się to nie podoba!

— Robisz błąd, Tressa — oznajmiła Doreen wstając. — Nie pozwolę się tak traktować! — W drzwiach obróciła się jeszcze na moment, by dodać: — Przyślę kogoś po swoje rzeczy.

Do samego końca zachowała klasę. Będzie mi jej brakować, pomyślałam. Piętnaście lat przyjaźni to nie byle co, a jednak przegrywa, gdy w grę wchodzi dobro małżeństwa. Choćby nawet było tak kruche i niepewne jak moje...

Rozdział trzydziesty szósty

Irlandia, 1979

Nie sądziłam, że James będzie na mnie czekał przy drzwiach sali, kiedy wreszcie wytoczyłam się z autokaru i przemknęłam do środka. Wnętrze zostało zmienione nie do poznania: na parkiecie rozstawiono liczne stoliki, krzesła normalnie stojące pod ścianami zgrupowano w równe rzędkę, tak że każdy zainteresowany miał dobry widok na jeden z czterech dużych telewizorów ustawionych na podwyższeniu z przodu. Samych zainteresowanych nie było znów tak wielu — ot, staruszkowie i co bardziej leniwi parafianie; pewnie dlatego James był mniej zabiegany, niż się obawiałam.

Rozejrzałam się po sali, zastanawiając się, do kogo by się przy-siąść czy raczej (biorąc pod uwagę nastrój, w jakim się znajdowałam) kogo za wszelką cenę unikać. Pierwsza rzuciła mi się w oczy Aine Grealy. Nim zdążyłam uciec wzrokiem, zamachała do mnie entuzjastycznie, a ja pomyślałam, że na pewno szykuje następny kąśliwy komentarz. Ułamek sekundy później dostrzegłam siedzącego koło niej mężczyznę.

Zachwiałam się, tak że James musiał mnie złapać za łokieć i podtrzymać.

— Napijesz się herbaty, kochanie? — Głos Jamesa wyłowiłam z ogólnego szmeru. Utraciwszy zainteresowanie transmisją, obecni poszeptywali, popatrując na mnie mniej lub bardziej otwarcie. W pomieszczeniu nie było człowieka, który by nie wiedział o tym, co niegdyś połączyło mnie i Michaela. Zresztą nawet gdyby ktoś taki się znalazł, Aine Grealy z pewnością by dopilnowała, by ten stan rzeczy naprawić. Uczepiłam się Jamesa, jakby od tego zależało moje życie. Mimo że musiał czuć, iż cała się trzęsę, nie podprowadził mnie do pierwszego z brzegu krzesła, lecz sunął ciągnąc mnie za sobą, aż stanęliśmy przy jego odwiecznym rywalu. — Aine, chciałbym cię prosić o pomoc... Nie jestem pewien kilku cytatów w moim przemówieniu, a twoja rozległa wiedza...

Nie miała innego wyjścia, jak oderwać się wreszcie od Tuffy'ego, czego niewątpliwie bardzo żałowała, gdyż ominął ją — jej zdaniem — spektakl roku. (Nagrodą pocieszenia był czas spędzony z Jamesem sam na sam.)

Michael wstał z miejsca i wyciągnął rękę na przywitanie. Potem usiedliśmy naprzeciwko siebie, a ja przez cały ten czas zmuszałam się, by oddychać równo i swobodnie, przez nos, nie usta, gdyż najdrobniejszy ruch warg, nie mówiąc o choćby lekkim uśmiechu, spowodowałby, że z gardła

wydobyłby mi się szloch. A wtedy wszyscy by się dowiedzieli... nawet on. Zwłaszcza on.

Przez te wszystkie lata niezliczone razy rozmyślałam o Michaelu, nigdy wszakże nie wyobrażałam go sobie jako człowieka w podeszłym wieku. Gdy widzieliśmy się ostatnio, oboje byliśmy młodzi i przepęniała nas energia. Z trudem, bo z trudem, ale pogodziłam się z własną starością, nie dopuściłam jednak, by w jakikolwiek sposób odcisnęła swoje piętno na moich wspomnieniach o Michaelu. Pozostał młody i pełen wigoru, tak jak to często dzieje się ze zmarłymi, którzy nie mieli szansy posunąć się w latach. Z czasem stał się ledwie zamglonym obrazem...

A teraz był tutaj. Z krwi i kości, we własnej osobie. Nosił brązowy niemodny garnitur i koszulę, która gryzła się z kolorem marynarki. Czoło miał wysokie, bardzo wysokie... Prawdę powiedziawszy był prawie zupełnie łysy, a jego twarz pokrywała sieć zmarszczek. Tylko oczy pozostały te same. Kiedy nimi na mnie patrzył, zmieniał się w tamtego Michaela, którego poznałam u Kitty Conlan i który był mi przeznaczony na dobre i na złe. Dziękując nas od wtedy lata skurczyły się do krótkiej chwili, jak gdyby odwrócił się, by zerwać dla mnie polny kwiat, a ja w tym czasie zamieniłam się w sześćdziesięcioletnią staruszkę. Wszelako on o to nie dbał, widział we mnie tę samą młodą dziewczynę, którą niegdyś pokochał. Zestarzeliśmy się, to prawda, lecz zawsze ceniliśmy w sobie wewnętrzne piękno, które wraz z upływem czasu tylko wyszlachetniało, jak to się dzieje z dobrym winem.

Po długiej chwili milczenia odważyłam się wreszcie przemówić.

— Michael Tuffy — powiedziała z westchnieniem. Uśmiechnął się szeroko, tym samym zawadiackim uśmiechem, który tak dobrze pamiętałam.

— Nic się nie zmieniłaś — odparł.

Poruszyłam się niespokojnie i wbiłam wzrok w ziemię. Bałam się patrzeć w te przepastne chabrowe oczy zbyt długo. Siedzieliśmy tak bez słowa, bez ruchu, zatopieni we własnych wspomnieniach. Chciałam mu zadać tyle pytań, ale wiedziałam, że na to zawsze będzie pora. Nagle Michael nachylił się do mojego ucha i ledwie słyszalnym szeptem zapytał:

— Pamiętasz, Bernadine? Pamiętasz, jacy byliśmy? Owionęło mnie ciepłe powietrze, jak wtedy na plaży w Enniscrone, kiedy wydawało mi się, że go dostrzegłam w oddali. Zaczęłam przymykać oczy, by przywołać z zakamarków pamięci każde nasze spotkanie, każdą chwilę spędzoną razem, jednakże nim zacisnęłam powieki, zobaczyłam Jamesa. Stał po drugiej

stronie sali, z Aine Grealy u boku, i przestępując z nogi na nogę prowadził z nią urywaną konwersację, niespokojnie popatrując w moją stronę. Rzadko widywałam Jamesa podenerwowanego i to wyrwało mnie z mgły wspomnień. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na ułamek sekundy i dojrzałam w jego oczach nie tylko zdenerwowanie, ale i zmęczenie. Nie niebieszczyły się, nie błyskały pożądaniem, nie obiecywały spełnienia wszystkich marzeń, nie igrały z moimi... Były to zwyczajne, umęczone codziennością mężowskie oczy.

W tej samej chwili zrozumiałam, że muszę wstać i do niego podejść. Nieważne, jak bardzo niegdyś kochałam Michaela Tuffy'ego, nieważne, że nigdy nie przestałam go kochać — liczyło się złożone przyrzeczenie. James go dotrzymał i przez dziesiątki lat był dla mnie dobrym mężem. Gdybym przyznała Michaelowi, że pamiętam, jacy byliśmy, zdradziłabym Jamesa, a tego zrobić nie mogłam. James zawsze zasługiwał na moją miłość, a tej mu nie dałam. Byłam mu winna przynajmniej lojalność.

Po raz ostatni przyjrzałam się twarzy mego ukochanego. Błądząc wzrokiem od jego oczu do linii nosa, starając się wryć w pamięć każdą najdrobniejszą zmarszczkę, by tym widokiem sycić niezagasłe marzenia, dłonie zaciskałam do bólu w pięści. Pożegnania są takie trudne.

— Nie, Michaelu — rzekłam w końcu. — Właściwie niewiele pamiętam...

Wstałam i ruszyłam w stronę Jamesa. Odprężył się wyraźnie i gdy podeszłam na tyle blisko, że mógł mnie dosięgnąć, ujął mnie za rękę i praktycznie nie wypuszczał przez resztę popołudnia.

W którymś momencie kątem oka dostrzegłam, że Michael opuszcza salę. Prawdopodobnie wrócił do Ameryki, lecz nie wiem tego na pewno. Nigdy więcej o nim nie usłyszałam.

Zaufanie

Miłość można dawać nawet wówczas, j jej jeszcze nie ma w sercu.

Byblos

Twoja matka była wybrednym dzieckiem i zdarzały się dni, że odmawiała zjedzenia czegokolwiek. Wtedy kruszyłam kromkę chleba, zalewałam ją filiżanką ciepłego mleka i taką „breję” posypywałam kryształkami cukru. Nigdy nie odmówiła tej dziwnej potrawy i nawet wiele lat później często o nią prosiła, jakby ta mieszanka mleka, chleba i cukru miała cudowną moc. Niamh nie nauczyła się gotować, ale byblosa potrafiła zrobić i z tego co wiem, ty sama się na nim wychowałaś, tyle że zamiast praśnego irlandzkiego chleba twoja matka rozmaczała w mleku amerykańskie bajgle. Byblos wychodzi tym lepszy, im lepszego pieczywa użyjesz.

Zdarza się, że człowiek nie ma ochoty na nic wyszukanego. Albo nie jest w stanie przełknąć solidnego kęsa. Wtedy byblos idealnie spełnia swoje zadanie — to coś dla bardzo młodych i bardzo starych. Czasem myślę sobie, że właśnie u zarania i pod koniec życia znamy odpowiedzi na wszelkie pytania, a lata młodości i dojrzałe tylko nas odwodzą od tego co ważne. Być może niepotrzebnie przywiązujemy taką wagę do tego, co jemy. Być może nam wszystkim wystarczyłby byblos...

Rozdział trzydziesty siódmy

Nowy Jork, 2004

Zatrzymałam się w hotelu w Miami, niedaleko South Beach. Wszystko wokół było rozgrzane i cukierkowe, nawet opalające się na pobliskiej plaży kobiety w skąpych bikini. Miałam tam wziąć udział w konferencji i trafił mi się apartament z widokiem na ocean. Gdyby nie harmider dochodzący z balkonu poniżej (dziennikarki „Vogue'a" deliberowały nad tym, co zjeść na śniadanie), być może słyszałabym nawet szum fal.

Bardzo tęskniłam za Danem. Było to o tyle niespodziewane, że nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło i nawet nie potrafiłabym sprecyzować, dlaczego mi go brakuje. Na przestrzeni ostatnich parunastu miesięcy mimochodem przyzwyczałam się do niego. Zaczęłam zauważać, kiedy go przy mnie nie było; brakowało mi jego szurania stopami, używania dziwnych słów i ohydneho zwyczaju picia rozpuszczalnej kawy. W dalszym ciągu nie byłam w nim szaleńczo zakochana, ale dokonał się mały cud: nie denerwował mnie tak bardzo jak przedtem. Może to dobrze, myślałam, a może źle. Jednakże nauczyłam się mniej przejmować i nie zadrećcać wszystkim — umiałam wzruszyć ramionami na coś, o co jeszcze niedawno rozpętałabym dziką awanturę. Tolerancja nie jest w modzie, ale oszczędza wiele wysiłku...

Dan przebolewał jakoś „Ronangate". Przynajmniej mam taką nadzieję.

Nie tańczył z radości, kiedy powiedziałam mu o konferencji w Miami. Właściwie bardziej go zapytałam o pozwolenie, niż powiadomiłam, że wyjeżdżam, mimo iż nie byłam przygotowana na odmowę. No ale Dan nie ma w zwyczaju mi odmawiać. Jak to on, zastrzelił mnie czym innym.

— Ufam ci — oznajmił.

Dawna Tressa nie przepuściłaby takiej okazji.

W zależności od nastroju — „Jak to miło z twojej strony, kochanie, że pozwalasz mi zarabiać na nasze utrzymanie!" albo: „No wiesz! Mógłbyś już nie wracać do tamtej sprawy. W końcu sam uznałeś, że mimo wszystko nie jestem dziwką!" bądź też dobre na każdą okazję: „Błędem było za ciebie wychodzić!" — lub też wszystkie trzy: przystawka, danie główne i deser.

Zaufanie jest takie nudne — zero dramatyczności, zero emocji, zero wspaniałości. Gdy jest, praktycznie się go nie zauważa, podobnie jak chleba i mleka na co dzień, traktując je jak coś oczywistego i przynależnego każdemu bez wyjątku. Wystarczy wszakże je zabrać, a życie zamienia się w

piekło. Wiem, co mówię — większość moich eks kłamała, tak samo jak czyni to większość partnerów czy nawet mężów moich przyjaciółek. I nie chodzi mi o kłamstwa w stylu: „Świetnie w tym wyglądasz!” i „Nie jesteś ani trochę za gruba”, tylko o takie większego kalibru: „Musiałem zostać w pracy” (żeby poobracać nową sekretarkę).

Wcześniej uważałam, że brak zaufania to norma, że nie sposób ufać komuś tak wspaniałemu, że się na jego punkcie szaleje i dostaje pypcia na języku na samą myśl o nim. Tymczasem jest inaczej: nie ufa się komuś, kto na zaufanie nie zasługuje. Komuś, kto jest zdolny podrywać przyjaciółkę żony albo macać przypadkową sąsiadkę przy stole na przyjęciu sylwestrowym. Komuś, kto nigdy pierwszy nie mówi „kocham cię”.

Dan zasługiwał na moje zaufanie, ja na jego — nie. A bardzo bym chciała. Żyłoby mi się wtedy łatwiej i mogłabym uważać się za lepszego człowieka. No ale nie zasługiwałam, poniekąd na własne życzenie. Dan od samego początku wiedział, że kocha mnie bardziej niż ja jego, a moja zdrada jeszcze tę kruchą równowagę naruszyła. Wbrew pozorom na moją niekorzyść.

Zatem to jego „Ufam ci” stanowiło karę za to, co było, i wyzwanie na przyszłość.

Stałam więc na podium, lada moment mając zacząć swoje wystąpienie (tytuł: „Pamięć i jedzenie”), kiedy z tłumu wynurzył się ten drań Angelo Orlandi i z bezczelnym uśmiechem zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Nigdzie nie widziałam Jan, a co gorsza nie widziałam także jego oczu, ponieważ skrywały je ciemne okulary. Podczas gdy wygłaszałam mowę, kręcił się, jakby miał owsiki albo jakbym setnie go nudziła. Oczywiście przejęłam się tą drugą możliwością, w efekcie czego pogubiłam się trochę, a nawet zaczęłam lekko jąkać. Kiedy wreszcie dobiełam do końca, brawa przebrzmiały i słuchacze rzucili się do bufetu, Angelo podszedł do podium. Patrzyłam na niego z góry, żałując (nie po raz pierwszy w życiu), że nie noszę szpilek — taką miałam chęć wbić mu ostry obcas w czubek głowy i boleśnie nim przekreślić.

— Witaj, Tressa... — Jak ja nienawidzę mężczyzn! myślałam. W domu zostawiłam męża, który dał mi kredyt zaufania, a tu znalazłam wstrętnego byłego rozglądającego się za kimś, kogo by można przelecieć. Znając jego finezję, spodziewałam się, że zaraz wywali to kawa na ławę. — Zjesz ze mną obiad? — No proszę, a nie mówiłam!

— A gdzie jest Jan?

— Nie ma jej tutaj — wzruszył ramionami i obdarzył mnie paskudnym, pewnym siebie uśmiechem.

Nie mogłam na niego patrzeć. Samo jego istnienie stanowiło zagrożenie dla instytucji małżeństwa — jego własnego i innych ludzi też. Całe szczęście, że uważałam go za tak obrzydliwego typu, że nie zdołałby mnie uwieść, nawet gdyby stanął na rżęsach i odtańczył kankana.

Spoglądałam na Angela, jednego z najbogatszych, najinteligentniejszych i najbardziej rozchwytywanych mężczyzn w Stanach, a już na pewno numero uno w branży, i zastanawiałam się, skąd u mnie ta nagła niechęć. Co takiego dostrzegłam w nim teraz, czego nie dostrzegałam — na swoje nieszczęście — w przeszłości. I wtem mnie olśniło! Angelo był najbardziej niepokładanym facetem, jakiego znałam! Wcześniej tego nie widziałam, gdyż brakowało mi skali porównawczej — teraz, mając Dana, na miłe potrafiłam rozpoznać popaprańca. A Angelo Orlandi był jednym z większych — pod każdym względem zaliczał się do pierwszej ligi.

Być może Angelo stawiał sobie i innym wysokie wymagania, jeśli szło o uprawy ekologiczne, kuchnię, hodowlę ziół i przyrządzanie sosów, ale nie miał pojęcia, o co chodzi w prawdziwym życiu. A przecież na dłuższą metę tylko ono się liczy, czyż nie? W każdym razie coraz bardziej zaczynało się liczyć dla mnie. Obcy wielcy ludzie, politycy, biznesmeni, humaniści i bohaterowie, mogą sobie kłaść własne gniazdo ile wlezie, wolna wola. Tylko że ja nie chcę mieć z nimi nic do czynienia. I chwała Bogu, nie musiałam mieć.

Dan ostatecznie wygrał. Jeszcze przed pamiętnym weekendem u Orlandich postawiłam go przed głupim testem, którego wynik wreszcie się rozstrzygnął. Oczywiście to żaden powód do dumy, że zabrało mi to tak długo i że dopiero teraz zrozumiałam, iż od samego początku był to test dla mnie. A prawda cały czas była taka prosta. Przyrzeka się komuś i przyrzeczenia dotrzymuje — nie tak długo, jak długo się ma ochotę, ani nie do czasu, gdy się człowiek znudzi albo trafi mu się jakaś okazja, tym bardziej nie dopóty, dopóki nie pozna kogoś ciekawszego i bardziej podniecającego, ale zawsze.

To coś podobnego do stawiania czoła codziennym przeciwnościom albo do robienia czegoś, na co nie ma się specjalnej ochoty, ale wie się, że to konieczne: jak na przykład wstawanie zimowym świtem, kiedy w domu jest jeszcze przejmująco chłodno, czy współpracowanie z kimś, kogo się nie znosi, ale trudna rada, bo trzeba dotrzymać terminu. Na tym właśnie polega

życie z kimś po ślubie, dzień w dzień, aż do samego końca. Czasem może się to nie uśmiechać, ale zaciska się zęby i trwa w złożonym przyrzeczeniu. A nagrodą jest miłość. Ta otrzymywana od samego początku i ta, która rośnie z każdym dniem w zdawałoby się niechętnym człowieku.

— Nie ma jej tutaj? — powtórzyłam. — Więc lepiej jej poszukaj.

Spojrzał na mnie jak na głupią, ja jednak zeskoczyłam lekko z podium i wyminawszy go zręcznie, skierowałam się do swego pokoju. Nie chciałam dzwonić do Dana przy wszystkich, gdyż to co zamierzałam mu powiedzieć, przeznaczone było tylko dla jego uszu. Pragnęłam zapewnić go, że go kocham. Powiedzieć to pierwsza, bez zbędnej analizy i zastanawiania się, czy aby na pewno tak jest. Po prostu chciałam mu to dać.

Tuż za drzwiami na wykładzinie leżała koperta. Rozerwałam ją niecierpliwie, sądząc, że to kolejne zawiadomienie związane z konferencją. Była to jednak prywatna wiadomość, odebrana przez recepcjonistkę i wydrukowana na hotelowym papierze, z dopiskiem: „Pilne”.

ZDARZYŁ SIĘ WYPADEK. ZADZWOŃ DO DOMU. GERRY.

RS

Rozdział trzydziesty ósmy

Irlandia, 1980—1987

O tylu sprawach się nie mówi, ze strachu bądź ze wstydu.

Nieraz zdarzało się, że śmierć pierwszej żony w połogu wychodziła mężczyźnie tylko na dobre. Mógł ponownie się ożenić, i to dosyć szybko, jeśli niemowlę przeżyło i wymagało matczynej opieki, a posag drugiej małżonki przyczyniał się do wydatnego poprawienia jego sytuacji, czasem ustawiając go na całe życie. Również śmierć męża, choć sama w sobie tragiczna, mogła mieć pozytywne skutki. Mało to było małżeństw, w których co rok to prorok, gnieźdzących się z dwanaściorgiem przychówku w dwu izbach, gdzie kobieta nie miała możliwości ucieczki przed rozbuchaną chucią, jakiej zgodnie z prawem kościelnym i ludzkim nie mogła nie ulec? Prawie każda wolała stracić pieniądze, wysyłając jurnego męża do pubu, z nadzieją że tak się opije, iż w drodze powrotnej przewróci się i wpadnie do rowu, uderzając głową o kamień, co pozbawi go chęci do zabaw, a może nawet odbierze mu życie. Czasem tak właśnie ku uldze wszystkich się zdarzało — i dzielna kobieta zawodziła na pogrzebie, być może nawet szczerze wrywając sobie włosy z głowy, lecz gdy na wieko trumny spadała ostatnia łopata ziemi, ona już myślała o wdowiej rencie i o tym, jak wreszcie nakarmi wszystkie dzieci, a te zdolniejsze może nawet wykształci...

Taka niedola nie stała się moim udziałem, a jednak bywało, że życzyłam Jamesowi śmierci. W początkach naszego małżeństwa całkiem często śniłam na jawie o jakimś wypadku, który w cudowny sposób odmieniłby mój los, na powrót wpychając mnie w ramiona Michaela, ten bowiem naturalnie o wszystkim by usłyszał i przybył zza oceanu, by poślubić świeżo owdowiałą ukochaną. Zważywszy, że w młodości nie grzeszyłam rozumem, i wzięwszy pod uwagę okoliczności, w jakich wydano mnie za Jamesa, takie myśli były jeśli nie usprawiedliwione, to przynajmniej zrozumiałe. Później jednak także zdarzało mi się marzyć, by mąż zniknął z mego życia — a to kiedy nie mogłam już słuchać jego pompatycznych komentarzy, a to znów gdy niby niewinnie pytał, po co zmieniałam przepis na jego ulubioną szynkę, skoro stary był sprawdzony i lepszy... Jeszcze jako pięćdziesięciolatka uważałam się za atrakcyjną kobietę, która — gdyby tylko warunki na to pozwoliły — miała szansę na lekko licząc dekadę szczęścia z innym.

Można by pomyśleć, że wraz z wiekiem przychodzi wyciszenie i pogodzenie się z losem, ale to nieprawda. Ani upływ czasu, ani wiek, ani

nawet przyzwyczajenie nie mają tu nic do rzeczy. Owszem, przy odpowiednim charakterze i wskutek szczęśliwego splotu okoliczności można osiągnąć coś na podobieństwo zadowolenia, lecz to tylko złudzenie. Spokój ducha wynika bardziej z modlitwy, wytrwałości i radzenia sobie z nieszczęściami, jakie przynosi życie.

Dla jednych takim nieszczęściem będzie mąż brutal albo utrata dziecka, inni szukają dziury w całym i rozpaczają z powodu deszczu w zapowiadający się ładnie dzień.

Moim zdaniem sztuka odnalezienia szczęścia w życiu sprowadza się do tego, by umieć dostrzec, kiedy jedno nieszczęście się skończyło, a drugie jeszcze nie nadeszło. Jeśli nigdy nie byłam zadowolona z tego, że jestem żoną Jamesa, to dlatego że nie chciałam być zadowolona. Ile razy patrzyłam na swojego męża, tyle samo razy widziałam nie to, kim jest i zawsze był, lecz to, kim nie jest i nigdy nie będzie. Jednym słowem szukałam dziury w całym i niepotrzebnie się umartwiałam.

Gdy doktor oznajmił mi, że James umiera, nie potrafiłam otrząsnąć się z szoku, jakby to była całkowicie moja wina — jakbym to ja żywionymi przez parę dekad pragnieniami wywołała w nim chorobę.

Kiedy ktoś odchodzi, pada bardzo wiele słów, wszakże nie tych istotnych. Do naszego języka wkrada się medyczny żargon, stajemy się ekspertami w zakresie diagnoz i leczenia, do ostatka łudzimy się nadzieją, nie chcąc do siebie dopuścić myśli o nieuchronnym końcu. Mało kto uprzytamnia sobie, jak bardzo ważne jest umieć to przyznać i pogodzić się z nieuniknionym.

James już od jakiegoś czasu miał problemy z sercem; tuż po jego siedemdziesiątych ósmym urodzinach okazało się, że w jelitach rozwinął mu się nowotwór. Zarówno jego lekarz, jak i on sam początkowo mówili tylko o szumach w sercu i narośli w brzuchu, ale choroba nieubłaganie postępowała. W ciągu zaledwie roku James ze zdrowego staruszka przeistoczył się w chorego starca. Dostawał morfinę i początkowo sam robił sobie zastrzyki; później opiekę nad nim przejęłam ja: nie tylko podawałam mu leki, ale także myłam go i karmiłam, jakby był moim dzieckiem. Pod koniec troszczyłam się o niego jak o nowo narodzone niemowlę. Nie było mi łatwo, a jednak nie pozwoliłam, by wyręczała mnie pielęgniarka czy siostra miłosierdzia; nie mogłam pozwolić, by u schyłku życia ten dumny człowiek zaznał upokorzenia w obecności obcej osoby.

Od czasu do czasu przyjeżdżała do domu Niamh, żeby mi pomóc, i wtedy bardzo się kłóciłyśmy. Ona nie tylko chciała mnie odciążyć, ale przede

wszystkim opiekować się ojcem, czemu za wszelką cenę musiałam zapobiec. Córka wyzywała mnie od upartych staruch, a ja zagryzałam wargi, by nie powiedzieć jej, że taka byłaby wola Jamesa, gdyby miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Sądził, że wciąż jest bohaterem dla swej małej córeczki, tak jak to miało miejsce przed laty, i za żadne skarby nie chciał, by zmieniła o nim zdanie, widząc, jakim wrakiem człowieka się stał.

— Posiedź z nim, poczytajcie coś — radziłam jej, by wilk był syty i owca cała.

Powiadają, że dopiero ten, co stracił oboje rodziców, staje się w pełni dorosłym człowiekiem. Ja mogę dodać, że dopiero śmierć współmałżonka uświadamia nam, że my także jesteśmy śmiertelni. Wraz z tą świadomością przychodzą niewesołe myśli i strach. Czy Niamh będzie przy mnie, kiedy nadejdzie moja godzina? rozmyślałam w duchu, nie odważywszy się podjąć tego tematu na głos. A jeśli nie ona, to kto pomoże mi przejść na drugą stronę?

James był świadom, że umiera, i nieraz chciał o tym ze mną porozmawiać, ale ja machałam tylko dłonią i poprawiałam mu poduszki albo przynosiłam cos' do jedzenia, byle odsunąć od siebie i niego takie myśli.

— Nie boję się — powiedział jednego razu. — Przeżyłem życie tak, jak chciałem, umieram pogodzony ze światem. Pragnę tylko mieć pewność, że poradzisz sobie beze mnie...

Do samego końca, nawet w paroksyzmach bólu ledwie stłumionych morfiną, wymawiał moje imię z nabożną czcią. Byłam jego jedyną, prawdziwą miłością...

W tych ostatnich miesiącach byłam z nim tak blisko, że właściwie przestałam go dostrzegać. Koncentrowałam się na szczegółach, takich jak cienkość jego skóry, kiedy robiłam mu zastrzyk, wodnistość oczu, gdy je przemywałam, usta coraz częściej wykrzywione krzykiem... Myłam go, goliłam mu zarost, skracałam włosy i paznokcie; przebierałam w świeżą piżamę każdego dnia, co dwa dni zmieniałam pod nim prześcieradło. Gdy ktoś go odwiedzał, zakładałam mu koszulę i zawiązywałam krawat, a od pasa w dół zakrywałam kolorowymi pledami, żeby wyglądał jak ktoś lekko przeziębiony, a nie człowiek stojący jedną nogą w grobie. W sypialni bez przerwy ścierałam kurze, wietrzyłam i układałam kwiaty, by przegonić czającą się śmierć.

O śmierci można myśleć, można nawet o niej mówić, można poddać się wyrokowi Opatrzności, ale nic nie jest w stanie człowieka przygotować na odejście bliskiej osoby.

Zapamiętując się w zwykłych codziennych czynnościach, w rutynie, która ratuje przed obłędem, nie zwraca się uwagi na to, co później tak rozpaczliwie człowiek chce sobie przypomnieć — i nie potrafi. Jak brzmiał jego szept? Jakie to było uczucie, gdy łąpał mnie za rękę? Co wyrażały jego oczy, którymi wodził za mną w niemej prośbie, a może w niemym zachwycie? Życie składa się z serii drobnych cudów, niedostrzeganych, kiedy wciąż trwa: wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej, świszczący oddech, jęk... Nie zwraca się na nie wystarczającej uwagi, a potem... potem jest za późno.

I do końca swoich dni żałuje się, że straciło się tak wiele czasu, chcąc czegoś więcej.

RS

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Nowy Jork, 2004

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bliskie jest mi Yonkers, do czasu kiedy zostałam odeń oderwana i pozbawiona kontaktu.

Uwielbiam telefony komórkowe: używam ich do wszystkiego, począwszy od prowadzenia pamiętnika, skończywszy na robieniu zdjęć. Dan nieraz się wściekał, że jestem uzależniona od tej bzyczącej zabawki, jak zwykł nazywać ów cud techniki, a ja chcąc go chyba podświadomie zadowolić, upuściłam swoją komórkę w przeddzień wyjazdu do Miami, i to tak niefortunnie, że przestała działać. Nie pognałam do serwisu ani do operatora, gdyż w ramach eksperymentu z rzeczywistością postanowiłam spędzić te parę dni odcięta od świata.

— Telefon komórkowy owszem, jest przydatny, ale wyłącznie w nagłych wypadkach — mawiał Dan.

Stary dobry Dan... No właśnie, teraz on miał jakiś wypadek, a ja nie mogłam się z nim skontaktować. Zaraz po przeczytaniu wiadomości od Gerry'ego rzuciłam się do hotelowego aparatu, ale osiągnęłam tylko tyle, że usłyszałam siebie nagraną na poczcie głosowej. Z rozpaczą przypominałam sobie, że jakiś czas temu kupiłam fikuśny telefon do sypialni; niestety okazało się, że wtyczka nie pasuje do gniazdka (wiem to na pewno, bo sprawdzałam gdzie się dało) — a że przed wyjazdem zapomniałam podłączyć dwa stare aparaty, dom w Yonkers także został odcięty od świata. Ostatnią deską ratunku była komórka Dana, którą za moją namową sobie sprawił i regularnie łądował, ale teraz gdy mnie zabrakło, mało prawdopodobne, by o niej pamiętał. O połączeniu z Gerrym w ogóle nie było co marzyć. Zdesperowana wykręciłam numer

Eileen — przynajmniej ona powinna być osiągalna. Słuchawkę błyskawicznie podniósł któryś z raczkujących siostrzeńców Dana, co poznałam po radosnym bełkocie, po czym rzucił nią o ziemię i popętlął dalej. W tle słyszałam dziecięce wrzaski i szmer rozmowy dorosłych, ale na nic się zdało moje wykrzykiwanie „Halo! Ha-loo?!“ No, teraz naprawdę zrobiło się groźnie... W domu Eileen telefonu używało się od święta, tak regularne były wzajemne wizyty, i istniało ryzyko, że nikt nie zwróci uwagi na poniewierającą się na podłodze słuchawkę. Całą resztę potrzebnych numerów miałam zapisaną w pamięci komórki, adresy również, więc nawet nie mogłam zadzwonić na informację. Mullinsów jest, niestety, jak psów... W

głowie nie przechowywałam tak banalnych danych, nie widziałam takiej potrzeby. Myśląc, że los, opatrność albo sam Bóg się na mnie wziął, w panice połączonej ze wzbierającym rozgoryczeniem zrobiłam jedyne, co w danej sytuacji mogłam zrobić: zarezerwowałam sobie najbliższy lot powrotny do Nowego Jorku.

W samolocie obgryzałam paznokcie, a przed oczyma przesuwały mi się dantejskie sceny. Nie miałam pojęcia, co przydarzyło się Danowi, nie wiedziałam nawet, czy żyje czy jest już martwy. Mógł nie wyrobić na zakręcie tym cholernym motorem albo niepotrzebnie zabrał się do naprawy dachu, albo — rany boskie! — coś poszło nie tak przy zmienianiu instalacji elektrycznej w kuchni! Proszę, proszę, modliłam się bezgłośnie, niech to nie będzie to. Śmierć przez porażenie prądem jest taka straszna!

Co Gerry miał na myśli mówiąc o wypadku? zastanawiałam się. Czy chciał przez to powiedzieć, że Dan jest ranny i leży w szpitalu, czy też był to raczej eufemizm... W filmach tak właśnie mówią: „Przykro nam, ale pani mąż miał wypadek”, a widz już od dawna wie, że to zimny trup. Nie, zaraz. W takich sytuacjach mówią: „Zdarzył się potworny wypadek”. Przecież to niemożliwe, żeby Dan nie żył. Nie było mnie raptem parę dni... Zresztą Gerry powiedziałby prawdę, zamiast głupio owijać w bawełnę. A może nie? Z nim nigdy nic nie wiadomo, a poza tym to jakoś niezręcznie poprosić recepcjonistkę, by przekazała żonie informację o śmierci męża...

Ale gdyby to było coś naprawdę poważnego, Gerry dałby jej przynajmniej do zrozumienia, że musi ze mną mówić natychmiast,! wtedy przerwano by mój występ.

Nie mogąc tego dłużej znieść, wezwałam stewardesę i kazałam sobie podać whisky. A potem jeszcze jedną, i jeszcze. Po czwartej poczułam się na tyle znieczulona, że zapadłam w niespokojny sen.

Przespałam lądowanie i gdyby nie uczynna stewardesa, trafiłabym z powrotem do Miami czy gdzie tam ta maszyna miała dalej polecieć. - Opuszczając pusty samolot walczyłam z mdłościami i zawrotami głowy, tak że w kolejce po taksówkę całkiem poważnie rozpatrywałam, czyby nie zemdleć, co znacznie skróciłoby czas oczekiwania. Kiedy wreszcie opadłam na tylne siedzenie, długą chwilę zastanawiałam się, dokąd pojechać. Wypadek mógł zdarzyć się w domu albo gdziekolwiek indziej. Dan mógł być praktycznie w każdym szpitalu. Kierowca patrzył na mnie rozbawiony, a na drzwi napierał rozżłoszczony tłum. Zdecydowałam się zacząć od domu.

Trzęsącymi się dłońmi otworzyłam zamek drzwi wejściowych. Potknęłam się na progu i na miękkich ze strachu nogach ruszyłam w stronę kuchni. Gdyby ktoś zostawił mi jakąś informację, to tylko na kuchennym stole, uznałam. Wybrałam najkrótszą drogę, korytarzem, nie przez salon, ale coś kazało mi się zatrzymać. Coś jakby ludzkie głosy... Zawróciłam i najpierw weszłam do pokoju.

Telewizor był włączony, a na kanapie leżał Dan. Głowę miał odrzuconą do tyłu, usta na poły otwarte, lecz zanim serce zdążyło mi struchleć, usłyszałam donośne chrapanie. Przykryty był moim patchworkowym pledem, który jakoś nie współgrał z resztą otoczenia, wokół kanapy walały się bowiem rzeczy bardziej pasujące do dzielonej w czworo kawalerki... Pudełka po pizzy, niedopałki — skrętów, sądząc po zapachu unoszącym się w powietrzu — puszki po piwie...

Lęk w ułamku sekundy zmienił się we wściekłość.

— Co tu się, do kurwy nędzy, wyrabia?!

Dan podskoczył ze strachu i zaraz zawył z bólu. Pled, który zjechał jeszcze niżej, odsłonił zawieszony na temblaku ramię.

— Au... — poskarżył się żałośnie.

— A ja myślałam, że nie żyjesz!!

Zdrową ręką trzymał się za zranione ramię, patrząc na mnie nieprzyjaźnie.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam.

Szóstym zmysłem wyczułam czającego mi się za plecami Gerry'ego i nim zdążył się wycofać, okręciłam się jak stuprocentowy derwisz i na niego napadłam.

— No, Gerry!... — zaczęłam groźnie. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Tressa, nie irytuj się. Miałem do ciebie zadzwonić i wszystko ci wyjaśnić, ale rozładowała mi się komórka i...

W życiu nie byłam na nikogo taka wściekła. Myślałam, że zaraz eksploduję. Najchętniej sprząłabym Gerry'ego na kwaśne jabłko.

— Skarbie, nie złość się na niego. To wszystko moja wina. Zagapiłem się na drodze i wjechałem w jakieś świństwo...

Gerry, widząc swoją szansę, włączył się do opowiadania.

— ..no i tak nas zarzuciło, że nim zdążyłem powiedzieć „mamusiu!", leżałem na jezdni, a on był parędziesiąt metrów dalej, pod harleyem...

— ...no... — potwierdził Dan. — A jak już się obudziłem, to...

— Macie się natychmiast zamknąć! — wrzasnęłam. Nie poznawałam własnego głosu. — Jesteście uziemieni, obaj!

Zauważyłam, jak Dan posyła Gerry'emu porozumiewawczy uśmiech i puszcza do niego oko, i dopiero wtedy zorientowałam się, że obaj są kompletnie pijani. To podziałało na mnie jak czerwona płachta na byka. Niezbyt dokładnie pamiętam, co potem mówiłam — był to istny strumień świadomości, w którym znalazły się odniesienia do tego, że nie jestem jego matką, mimo iż on zachowuje się jak dzieciak, że moja praca jest zbyt ważna, bym z byle powodu rzucała wszystko i leciała przez pół kraju, że ten motocykl to kupa złomu, która prędzej czy później wyśle kogoś do nieba, i że nigdy, ale to nigdy już na niego nie wsiądzie...

Dan przytakiwał i robił co mógł, żeby wyglądać na skruszonego, ale ilekroć jego wzrok zahaczył o Gerry'ego, który wciąż stał za moimi plecami, na jego ustach formował się uśmiech. A to drań, pomyślałam. Śmieje się ze mnie. Obaj się ze mnie śmieją!

— Rękę masz złamaną? — Zdecydowałam najpierw rozeznac się w szkodach, nim poczynię dalsze kroki.

— Nie, tylko...

— ...kość jest lekko pęknięta — wpadł mu w słowo współnik. Dobrana z nich para.

Stałam między nimi (właściwie powinnam powiedzieć: podskakiwałam między nimi, do tego stopnia mnie nosiło), ledwie nad sobą panując, by nie złapać ich za te puste łby i nimi nie potrząsnąć albo jeszcze lepiej stuknąć jednym o drugi, żeby nabić im trochę rozumu.

— Dosyć tego! — powiedziałam twardo i wypadłam przez tylne drzwi do garażu.

Podążyli za mną, obaj na niezbyt pewnych nogach, a Dan dodatkowo posykując z bólu przy każdym ruchu.

Znalazłam wielki młotek, zamachnęłam się nim i łupnęłam prosto w korpus motoru. Z tyłu rozległy się dwa sapnięcia — szoku czy niedowierzania, nie wiedziałam i miałam to w nosie. Zaczynałam się dopiero rozkręcać. Zamachnęłam się znowu, z tyłu rozległ się krzyk unisono:

— Nie!! — i Dan zdrową ręką wyrwał mi młotek z dłoni, podczas gdy Gerry rzucił się, by własnym ciałem osłonić ukochany motocykl. Mamrotał coś przy tym, jakby go przeproszał, że nie zdołał go uchronić przed zabójczym atakiem, i zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

Odwróciłam się do Dana, niechcący urażając go w kontuzjowane ramię.

— Aaa!... — krzyknął przeraźliwie.

— Myślałam, że nie żyjesz!! — krzyknęłam ile sił w płucach.

Wpatrywaliśmy się w siebie, zszokowani ilością uczuć przebiegających przez nasze twarze. Mnie przypomniało się tamto pierwsze popołudnie, kiedy go uwiodłam, to że nie chciało mi się wierzyć, by taki przystojny facet mógł mnie naprawdę pożądać, to jak zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia i bez cienia wątpliwości związał swoje życie z moim. Uświadomiłam sobie, że gdyby jeszcze wczoraj ktoś zapytał mnie, czego jeszcze może pragnąć kobieta, z pewnością bym coś wymyśliła. Dziś jednak wiedziałam, że nie mogę Dana stracić, za żadną cenę, że zbytnio mi na nim zależy. Musiał to wyczytać w mojej twarzy, bo początkowy wyraz zdumienia moją niespodziewaną reakcją zamienił się w ulgę i radość.

Przygarnął mnie zdrowym ramieniem — a nawet tylko zjedną ręką był niewiarygodnie silny i niemal mnie zgniótł — po czym powiedział:

— Skarbie, nie mam zamiaru ci umierać. Jeszcze długo, długo nie...

W tamtej chwili uświadomiłam sobie, że jest to jedyny mężczyzna w moim życiu, któremu mogę ufać i zawierzyć, teraz i zawsze. Dan — mój mąż.

RS

Rozdział czterdziesty

Irlandia, 1987

James zmarł we wtorek. Pamiętam, że dzień wstał pogodny, ale później zaczęły się zbierać chmury, co przysporzyło mi zastępczych zmartwień. Całe lato było takie zmienne: albo potworne burze, takie że człowiek obawiał się wyjść z domu, albo niemiłosierne słońce, wypijające ostatnią kroplę rosy. W tamten wtorek pogoda nie mogła się zdecydować — wte czy wewte. Było szaro, duszno, zwyczajnie... jak to w Irlandii przez większą część roku. Ani specjalnie ładnie, ani za bardzo brzydko. Jak to w życiu. Pamiętam też, że w pierwszym szoku potrafiłam myśleć tylko o tym, że zmarło mu się w taki byle jaki dzień: we wtorek, co to ani nie zaczyna tygodnia, ani go nie kończy, przy byle jakiej pogodzie, której się nie zapamięta ani jako wyjątkowego upału, ani jako wyjątkowego deszczu. Ot, dzień jak co dzień...

James od samego rana był śpiący, tak że zaniechałam porannej toalety, aby mógł sobie dłużej pospać. Około dziesiątej jak zwykle dostał zastrzyk z morfiny, po którym na przemian wybudzał się z drzemki i w nią zapadał, a ja kręciłam się bez celu po pokoju, udając, że tu coś poprawię, tam coś przestawię, i paplałam o czymś bez znaczenia, zdaje się, że za temat obrałam sobie kota Munnelych, doprowadzającego starą Munnelly'ową do szału tym, że rozkopuje grządki w jej warzywniku. To podczas choroby Jamesa stałam się taka gadatliwa, chcąc za wszelką cenę zapełnić czymś ciszę w domu. Czasem James podnosił dłoń, dając mi znak, że go męczę, ale tego dnia nie miał nic przeciwko mojej paplaninie; wydawało mi się nawet, że przysłuchuje mi się z chęcią.

Z pewnością nie mogła go zainteresować historia kota łobuza, musiał go więc cieszyć sam dźwięk mojego głosu.

Na lunch zrobiłam mu papkę z tłuczonych kartofli, bekonu i gotowanej kapusty, mimo że w ostatnich dniach prawie już nie jadł. Ja wszakże nie dawałam za wygraną: co dzień przygotowywałam solidny posiłek, który w niego wmuszałam. W końcu jednak musiałam się poddać. James nie miał siły, by zjeść cokolwiek poza byblosem. Tak właśnie powiedział: byblos, jak małe dziecko.

Nawet kiedy go karmiłam ciepłym mlekiem z rozkruszonym chlebem, trajkotałam jak najęta. Chyba po to, by odciągnąć jego i moją uwagę od zdziecinnienia, upokarzających łyżeczek i serwetek, i płynnych pokarmów. Plotkowałam jak nigdy przedtem ani potem.

— ...no więc mówię Mary, żeby opowiedziała mi wszystko jeszcze raz, po kolei, jak Pan Bóg przykazał...

Kiedy ostatnia łyżeczka byblosa zniknęła w ustach Jamesa, otarłam mu wargi, a on uniósł słabą, poznaczoną żyłkami dłoń i ujął mnie za nadgarstek. Uśmiechnęłam się do niego i pokiwałam głową, że rozumiem, iż chce, bym przestała go wreszcie zanudzać swoimi opowieściami, póki jeszcze jest przy zdrowych zmysłach, i już miałam wstać, ale on z wysiłkiem pokręcił głową i chciał mnie ścisnąć mocniej, lecz jego dłoń była za słaba i ześlizgnęła się po mojej. Wyglądało na to, że chce mi coś powiedzieć.

— O co chodzi? — spytałam. I jak zwykle w takich razach rozpoczęłam swoją wyliczankę: — Masz ochotę na galaretkę? Herbatę? Gazetę? Chcesz, żebym ci poczytała? A może mam włączyć telewizor? — James znów pokręcił głową. Oczy miał pełne bólu, ale przytomne, widać było, że wciąż tkwi w nim energia. Rozgniewałam się na niego. — No, stary głupcze. Wyduście wreszcie, o co ci chodzi.

James oparł się o poduszkę, przymknął powieki i odezwał się ledwie słyszalnym szeptem:

— Powiedz mi, że mnie kochasz. Zdębiałam.

James złamał niepisaną, niewypowiedzianą umowę obowiązującą między nami od przeszło pół wieku. Przed pięćdziesięciu laty dostał moją rękę, ale zawsze wiedział, że moje serce należy do innego mężczyzny. Choć sam wyznał mi miłość w noc po pogrzebie swojej matki, ja mu się nie odwzajemniłam. Skoro nie powiedziałam tego wtedy, nie mógł oczekiwać, że powiem to kiedykolwiek. A teraz, na łożu śmierci, ni z tego, ni z owego poprosił mnie o to — czy raczej próbował mną manipulować.

Z zamkniętymi oczyma powtórzył swą prośbę nieprośbę, jeszcze ciszej, jak gdyby mówił do siebie samego. Niezrażony moim milczeniem.

— Powiedz mi, że mnie kochasz, moja jedyna Bernadine...

Z napięciem malującym się na zmizerniałej, poszarzałej twarzy czekał na moją odpowiedź. Było to jedyne, czego naprawdę ode mnie chciał. Jedyne, czego nie mógł ode mnie dostać.

Przedłużającą się ciszę przerwał donośny dźwięk budzika przypominającego o porach podawania leków. Oboje podskoczyliśmy, James bardziej ze strachu, ja z obowiązku, lecz nim podniosłam się na dobre, by znów zacząć się koło niego krzątać, poczułam, jak coś zatrzymuje mnie na miejscu. Jak gdyby jakaś siła, silniejsza ode mnie, kazała mi przy nim jeszcze posiedzieć.

Siedziałam więc dalej na brzeżku krzesła i przypatrywałam się temu mężczyźnie, którego nigdy nie kochałam, mężczyźnie, z którym spędziłam całe swoje dorosłe życie i znacznie więcej lat, niż dane mi było spędzić z rodzicami, braćmi czy własnym dzieckiem. Mężczyźnie, który był mi obcy, gdy go poślubiałam, i który stał się moim najlepszym przyjacielem. Mężczyźnie, przed którym skrywałam swe myśli i uczucia, a który mimo wszystko znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Po raz pierwszy zauważyłam, jak niewiele zostało z tamtego mężczyzny, któremu w młodszej bucie odmówiłam swego uczucia. Jamesa już właściwie nie było — zniknął gdzie postawny elegancki nauczyciel, żołnierz, ojciec i mąż. Pozostał z niego cień, w którym ledwie kołatała się dusza pragnąca mojej miłości. Uderzyło mnie, że nie zapytał, czy go kocham albo czy kiedykolwiek go kochałam, lecz poprosił, bym po prostu wypowiedziała te słowa: „kocham cię”. Teraz. Ten jeden, jedyny raz. To by mu wystarczyło.

Nagle to, do czego nie potrafiłam się zmusić przez całe życie, stało się bardzo proste. Przecież nie potrzebowałam go naprawdę kochać, by zapewnić go o swojej miłości. Wystarczyło wypowiedzieć te słowa.

— Kocham cię, James.

Mój mąż po raz ostatni uchylił powieki, spojrzał na mnie i odszedł z moim imieniem na ustach.

W tej samej chwili doznałam bolesnego olśnienia. Zapewniając Jamesa, że go kocham, poczułam, że tak jest naprawdę.

Przez całą następną godzinę siedziałam przy nim, kołysząc go w swoich ramionach, i raz po raz powtarzałam: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię...” Choć nie mógł mnie już usłyszeć, miałam nadzieję, że te słowa utworzą linię, po której jego dusza wespnie się do nieba. Pytanie tylko, ile takich „kocham cię” trzeba, by sięgnęły nieba?...

Powinłam mieć wrażenie, że zbyt późno dałam Jamesowi swoją miłość, wszelako wcale tak tego nie odbierałam. W drugiej chwili jasności zrozumiałam bowiem, że to James był miłością mojego życia. Och, zgoda, nie tą, której niegdyś pragnęłam i o której potem marzyłam, ale przecież pragnienia i marzenia niewiele mają wspólnego z życiem, czyż nie? Wszakże to James, a nie kto inny był moim życiem, moją rzeczywistością, moją miłością...

Miłość może zamieszkiwać czyjeś serce i umysł i przybierać rozmaite formy. Moje uczucie do Michaela było istną fantazją, wymysłem, jeśli nie

liczyć tych paru letnich tygodni, kiedyśmy byli razem. To co czułam do Jamesa, było trwałe, i tylko takie uczucie się liczy na tym świecie: miłość wymagająca poświęceń, kompromisu, dzielenia się z drugą osobą, wytrwałości. Taka właśnie jest prawdziwa miłość: namacalna, trudna, łagodna... Taka, którą się ma na wyciągnięcie ręki, która w razie potrzeby ratuje z opresji i ochrania... Wyglądająca i pachnąca znajomo, smakująca dobrze, choć nie zawsze słodko...

James obdarzył mnie zaufaniem. Nigdy nie wyszydzał mnie w roli żony, kochanki ani matki, chociaż Bóg mi świadkiem, nie byłam w żadnej z nich doskonałą. Wierzył, że go kocham, chociaż ani razu tego ode mnie nie usłyszał wyrażonego w słowach, wystarczało mu, że swą miłość okazuję jako wierna i obowiązkowa żona, którą byłam w istocie. Przypomniałam sobie okładkę na gazetę z wyhaftowanym monogramem, zagłówek na fotel z wciąż odcisniętym zarysem jego czaszki, i pomyślałam, że każda rzecz, jaką dla niego zrobiłam, każdy upieczony dlań rogalik, każdy podany mu obiad, każda zasiana dlań roślina w warzywniku — wszystko zawierało ułamek mojej miłości. Być może było to niewiele, ale jemu wystarczało...

James skrzętnie przechowywał w pamięci każdy mój gest, każde słowo i każdy uczynek i dzięki temu od dawna czuł się przeze mnie kochany. A mimo to potrzebował usłyszeć ode mnie „kocham cię”, nim mnie opuścił. Myślę, że będąc ode mnie mądrzejszy wiedział, że i ja potrzebuję to powiedzieć, nim będzie za późno.

James był miłością mego życia, ponieważ to z nim je dzieliłam. Do tego sprowadza się cały sekret. Był moim chlebem i masłem, utrzymywał mnie przy życiu dzień po dniu... A Michael? Michael był tylko dodatkiem, dżemem, z którego można łatwo zrezygnować.

Powiadają również, że żadne małżeństwo nie jest doskonałe. A to nieprawda; większość małżeństw jest właśnie taka. Każde, w którym dwoje ludzi jest ze sobą, póki śmierć ich nie rozłączy. Z pewnością jednak nie ma czegoś takiego jak łatwe małżeństwo. Ani łatwa miłość...

Różnice między kobietą i mężczyzną rozpalają nasze serca i zmysły, lecz to podobieństwa nas przy sobie utrzymują: wzajemne ciepło, dotrzymanie sobie towarzystwa, współudział w smutkach i radościach drugiego człowieka. Ogień szybko płonie i pozostaje po nim tylko popiół — to żar przetrzymuje długo ciepło. Dom stoi dopóty, dopóki wytrzymają jego fundamenty. A nie ma solidniejszego fundamentu niż prawdziwa, bo wypracowana latami miłość.

Moje małżeństwo nauczyło mnie, że prawdziwa miłość to ta, którą się daje, nie ta, której się szuka lub na którą się czeka. Nie bierze początku na zewnątrz człowieka, ale w jego wnętrzu. W sercu, które zdolne jest dawać. I jej siła zależy od tego, ile się chce dać... Wszyscy jesteśmy stworzeni do miłości, ale nie każdy znajduje w sobie dość odwagi. Niektórzy tylko biorą, nie dając nic w zamian, i choć wydaje im się, że są wygrani, w ostatecznym rozrachunku tracą, gdyż tylko dając miłość, można oczekiwać, że będzie rosła i potężniała niczym dobrze pielęgnowany krzak róży.

Miłość to także równoznacznik radości życia. Ci bowiem, którzy kochają, pozostają radośni i pełni optymizmu pomimo przeciwności losu, kłopotów i nieszczęść. James był szczęśliwy, ponieważ dał mi swą miłość. A ja?...

Ja także na swój sposób byłam szczęśliwa i również obdarzyłam go uczuciem, acz z początku niechętnie i nigdy nie bezwarunkowo.

Ale co na tym świecie jest bezwarunkowe? Oprócz śmierci rzecz jasna...

RS

Zobowiązanie

nie gwarantuje ono pomyślności związku, lecz bardziej niż cokolwiek innego przyczynia się do jego powodzenia.

Irlandzka potrawka

(porcja dla dwojga)

To przepis mój, nie Babci Bernadine. Wykorzystywać czyjeś doświadczenie jest pouczające i bezpieczne, ale nie ma to jak własny, wypracowany w pocie czoła przepis.

Składniki:

spora porcja jagnięciny (mniej więcej tyle, ile potrzeba na sześć kotletów),
3 albo 4 szalotki, posiekane,
1 ząbek czosnku, bardzo drobno posiekany,
2 garści młodych ziemniaczków, 8 malutkich młodych marchewek,
półorej filiżanki rosółu (najlepiej też z jagnięciny), 2 albo 3 gałązki rozmarynu, przynajmniej jedna czwarta butelki niezłego czerwonego wina.
Przygotowanie:

Rozgrzej dobrze patelnię, po czym wrzuc na nią mięso na jakieś trzy minuty, obróć na drugą stronę i trzymaj na ogniu kolejne trzy minuty, tak żeby z każdej strony zmieniło kolor na brązowy. Zdejmij mięso z patelni i wrzuc na nią posiekane szalotki i czosnek, potrzymaj z minutę i także zdejmij.

Weź duży rondel, wlej do niego rosół, dodaj ziemniaczki, marchewki i rozmaryn i wszystko zagotuj, po czym dodaj zrumienione mięso i gotuj pod przykryciem na bardzo małym ogniu przez jakieś piętnaście albo dwadzieścia minut, w zależności od tego, czy wolisz mięso krwiste czy bardziej ugotowane. Po odpowiednim czasie za pomocą łyżki cedzakowej wyłow z rondla mięso i warzywa i przełóż je do płaskiego naczynia. Przykryj czystą ściereczką i pozostaw w spokoju przez pięć minut.

W tym czasie ponownie doprowadź do wrzenia pozostały rosół (po dwóch, trzech minutach jego objętość powinna zmaleć mniej więcej o jedną trzecią), po czym dodaj — nie żałując! — czerwonego wina i trzymaj na ogniu przez

następne dwie minuty. Zdejmij rondel z ognia i nakryj pokrywką, aby sos pozostał ciepły.

Mięso podziel na sześć porcji, wyłóż po trzy na jeden talerz, a obok ładnie poukładaj ugotowane warzywa. Tuż przed podaniem wszystko podlej sosem.

Najlepiej podawać z kapustą przyrządzoną według poniższego przepisu:

Ćwiartkę główki białej kapusty posiekaj jak najdrobniej, zalej niedużą ilością wrzącej wody, dodaj sól i cukier do smaku i gotuj do miękkości. Po zdjęciu z ognia odlej wodę, zostaw kapustę w przykrytym garnku i przyrządź zasmażkę: cebulę obierz i pokrój w kosteczkę, wrzuć na patelnię z odrobiną masła i usmaż na jasnożółty kolor, dodaj jedną łyżkę mąki, wcześniej rozprowadzonej zimną wodą, i całość zagotuj dokładnie mieszając. Gotową zasmażkę połącz z kapustą, wymieszaj starannie, w miarę potrzeby dolewając resztkę czerwonego wina. Trzymaj na wolnym ogniu mniej więcej przez dziesięć minut albo podgrzej mocno, uważając, by nie doprowadzić do wrzenia. Na dwie minuty przed zdjęciem z ognia posyp tymiankiem.

Irlandia, 1994

Droga Tresso!

Być może wydam Ci się staroświecka, ale mam nadzieję, że kiedyś wyjdiesz za mąż. Moja intuicja zawiodła mnie nieraz w ciągu tych długich osiemdziesięciu lat, które dane mi było przeżyć, czuję jednak niezbitą pewność, że Tobie pisane jest trwałe uczucie i szczęście rodzinne. Moim życzeniem jest, by spisana przeze mnie historia, na tyle szczerą, na ile potrafiłam się zdobyć, pomogła Ci to uczucie na czas dostrzec, a potem skutecznie podtrzymać, gdyż wiem, że nic w życiu nie liczy się bardziej niż właśnie prawdziwa miłość.

Po śmierci Twojego Dziadka poczyniłam zdumiewające odkrycie, że miłość i jedzenie mają ze sobą ścisły związek. Wraz z Jego odejściem straciłam wszelką motywację i chęć do gotowania i zamiast dnie całe spędzać w kuchni, zaczęłam żywić się naprędce przygotowanymi potrawami. Mając więcej wolnego czasu oddałam się spisywaniu historii mojego małżeństwa i ku swemu zaskoczeniu stwierdziłam, że słowo pisane jest w stanie ożywić naszych drogich zmarłych. Nie ukrywam, że spostrzeżenie to przyniosło mi wielką ulgę.

Z pewnością gdy czytasz te słowa, zastanawiasz się, dlaczego swój pamiętnik skierowałam do Ciebie, a nie do Twojej matki. Cóż, powiem Ci

tylko tyle, że czasem niezmiernie trudno jest otworzyć się przed własnym dzieckiem. Ciebie, swoją wnuczkę, umiałam kochać w bardziej radosny sposób aniżeli Niamh, ale nie myśl, proszę, że ona kiedykolwiek zazdrościła nam tej wyjątkowej więzi, która nas połączyła, kiedyśmy razem gotowały, żartowały czy się śmiały. Znam ją lepiej niż Ty i jestem pewna, że i ją cieszyła nasza radość. Oczywiście nie mogę Ci zabronić pokazania jej tego pamiętnika, lecz prawdę powiedziawszy wątpię, by była nim zainteresowana. Niamh wie o mnie prawie wszystko — jak by się dzisiaj rzekło: ma tę historię zapisaną w genach, podczas gdy Ty, moja Tresso, choć jesteś mi bardzo droga, nie powstałaś z mojej krwi i z mojej kości i dlatego łatwiej mi się zwierzać właśnie Tobie...

Może się tak zdarzyć, że nigdy nie wyjdiesz za mąż — wtedy nigdy nie przeczytasz tych słów — ale jak już wspomniałam, jestem niemal pewna, że staniesz na ślubnym kobiercu. Pamiętaj więc, że kochamy najpełniej wówczas, gdy coś poświęcamy — coś wartościowego. Moje małżeństwo to długa droga, na której nie zabrakło poświęceń, ale i nauki także. Chciałabym, byś skorzystała z mojego doświadczenia, zarówno tego wyniesionego z kuchni, jak i sypialni, i żebyś odebrała lekcję na moich błędach, sama umiała kochać lepiej niż ja.

Chcę wierzyć, że Twój mąż to mężczyzna Twoich marzeń, lecz przede wszystkim życzę Ci, aby był dobry i Cię kochał. Tylko to się w ostatecznym rozrachunku liczy.

Z wyrazami miłości i życzeniami szczęścia na nowej drodze Życia,
Babcia Bernadine.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Nowy Jork, 2005

Pierwszy rok mojego małżeństwa był inny, niż to sobie zaplanowałam.

Zdjęcia naszej kuchni, które od niechcienia pstrykał fotograf nowojorskiego magazynu „Wnętrza” i o których dawno zapomnieliśmy, trafiły na okładkę i zrobiły furorę. Zainteresowanie przeszło wszelkie oczekiwania — zostałam dosłownie zasypana prośbami o autorskie projekty. Naturalnie każdy chciał dostać projekt wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju i możliwie jak najbardziej przypominający naszą „w stu procentach oryginalną” kuchnię...

Dan wpadł na pewien pomysł... Razem z Gerrym i paroma ich kumplami, z których każdy był winien mojemu mężowi jakąś przysługę, zaczęli objeżdżać wysypiska, wyprzedaje ogrodowe i markety budowlane. Nim się zdążyłam zorientować, co się dzieje, prowadziliśmy firmę o nazwie — nomen omen — „Kuchnie Eklektyczne — Projekty i Wykonawstwo”. Zleceń było tyle, że Dan musiał odmawiać znajomym, którym dotąd pomagał, ja zaś z lekkim sercem sprzedawałam mieszkanie na Manhattanie. Interes się kręcił: otworzyliśmy salon wystawowy i ledwie po trzech miesiącach działalności zostaliśmy nominowani do prestiżowej biznesowej nagrody. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że było to najbardziej zwariowane, szaleńcze, przerażające i dochodowe posunięcie w moim życiu. Pierwszą rocznicę ślubu spędziliśmy w delegacji u producenta ceramiki, gdzie składaliśmy zamówienie na limitowaną serię płytek retro. Mimo to świetnie się bawiłam. Uważałam, że to doskonała klamra spinająca pierwsze dwanaście miesięcy największej przygody mego życia, czyli małżeństwa. Gdy nocą wróciliśmy do domu, na progu zastaliśmy przesyłkę od mojej matki. W dołączonym liście Niamh pisała, że w paczce znajdzie pamiętniki Babci, które na jej życzenie przetrzymała aż do dnia pierwszej rocznicy mojego ślubu. Nie od razu otworzyłam paczkę — chciałam zrobić to na spokojnie, by móc się rozkoszować każdym słowem, podobnie jak na przestrzeni ostatniego roku rozkoszowałam się potrawami przyrządzonymi na podstawie zapamiętanych z dzieciństwa i wczesnej młodości przepisów.

Ten pierwszy rok małżeństwa był trudny, gdyż zadawałam zbyt wiele pytań, zbyt niecierpliwie żądając od życia odpowiedzi. Oczywiście w zadawaniu pytań nie ma nic złego, a ich liczba świadczy tylko o sprawnym, dociekliwym umyśle; stanowią one jak gdyby sito, przez które przesiewa się

swe pomysły, rozpatrując wiele, nim podejmie się jedną, tę właściwą decyzję. Niemniej czasem zdarza się, że sito ulegnie zapchaniu, a wtedy z poznania prawdy nici. A prawda była taka, że w tym samym czasie kiedy ja zastanawiałam się, czy kocham Dana wystarczająco mocno, by być jego żoną, gdy porównywałam go ze swymi byłymi, a z niektórymi z nich nawet flirtowałam, tak więc gdy się tak męczyłam i wiłam jak piskorz, nie wiedząc, czy podjęłam dobrą decyzję, moje małżeństwo już trwało i się rozwijało.

Przeprowadziliśmy się, odnowiliśmy dom, zadzierzgnęliśmy więzi z rodziną, wspólnie stworzyliśmy kuchnię moich marzeń, podejmowaliśmy bliższych i dalszych znajomych. Mieszkaliśmy, jedliśmy i spaliśmy razem. Dan miał mnóstwo roboty jako mój mąż, a ja — trochę wbrew sobie, trochę nieświadomie — cały ten czas byłam jego żoną. Kochającą i miłą? Raczej nie. Prędzej utyskującą i zołzowatą, ale cóż, widać takie musiały być początki. Na szczęście, jak to mówią: pierwsze koty za płoty. Myślałam, że nie można z kimś być, dopóki się go nie pokocha. Teraz wiem, że nie można kogoś pokochać, dopóki się z nim naprawdę nie jest.

Taka już jestem, że lubię mieć wszystko poukładane. Dane, analiza, decyzja — oto jak działałam. Jednakże związki międzyludzkie są na to zbyt skomplikowane. Zauroczenie, czyli to co powszechnie uważa się za miłość, jest krótkotrwałe i na dłuższą metę mało przydatne w małżeństwie. Już lepiej mieć spory zapas optymizmu i wiary w ludzi, gdyż wtedy przynajmniej można się łudzić, że uczucie powróci — jeśli zanikło, lub pojawi się — jeśli go jeszcze w ogóle nie było. Bo prędzej czy później na pewno się pojawi, znowu albo po raz pierwszy. Nauczyłam się też, że małżeńska miłość to nie jest constans. Zmienia się i dopasowuje, podobnie jak para ludzi do siebie. Jeśli ktoś zbyt mocno się przywiąże do jednego rodzaju miłości — do towarzyszącego mu podniecenia, dzwonek co rano i zawrotów głowy w obecności obiektu uczuć — nie będzie umiał zaakceptować tego rodzaju, który nieuchronnie przyjdzie po nim. Małżeństwa szyte są na miarę — żadne nie jest takie samo i każdy musi znaleźć własny sposób, by się odnaleźć w swoim.

Na ogół uważa się, że to serce rządzi głową, a tymczasem zdarza się, że jest odwrotnie. Wyszłam za Dana jako dorosła, w pełni ukształtowana osoba, a jednak to jemu zawdzięczam, że nadal jesteśmy razem. Ma wielkie serce, które z początku kochało za nas oboje, kiedy moje małe i słabe serduszko dopiero uczyło się, co to jest prawdziwa miłość — na szczęście dla mnie, na szczęście dla nas obojga... Dan oświadczając mi się, powiedział: „Wiem, że

będiesz ze mną szczęśliwa". Wtedy sądziłam, że to tylko frazes, ale cieszę się, że naprawdę tak myślał i naprawdę tego chciał. Jeśli ktoś by mnie teraz zapytał, czy Kocham Dana, odparłabym, że tak, ale w moim głosie nadal pobrzmiwałaby nutka niepewności. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stu procentach pewna... Kiedy jestem w dołku albo mam odwagę na chwilę szczerości, wciąż się zapytuję, czy na pewno nie wyszłam za niego z czystego wyrachowania, żeby nie zostać starą panną. W takich momentach lubię dumać, czy w małżeństwie w ogóle chodzi o miłość. Może to po prostu taki skomplikowany układ choreograficzny: dwie osoby blisko siebie, poruszające się po tym samym domu i zawsze do siebie wracające? Może nie jest istotne, że irytują mnie słabostki Dana, ale to, że właśnie ja, a nie jakaś inna kobieta, o nich wiem? Może prawdziwa bliskość nie polega na tym, by wszystko w drugiej osobie akceptować, ale by znając ją od podszewki, trwać przy niej mimo to?

Nadeszła moja ostatnia szansa na prawdziwą miłość, i to nie dlatego, że jestem za stara, by poznać kogoś innego, ale dlatego że po prostu czas przestać. Czas przestać uganiać się za niezdefiniowanym szczęściem i zacząć dostrzegać je tuż pod nosem.

Dan nie jest ani tym właściwym, ani tym niewłaściwym mężczyzną. Jest po prostu moim mężczyzną. Moim mężem. Tym, którego wybrałam i którego mam zamiar wybierać dzień w dzień, póki śmierć nas nie rozłączy.

A na razie chcę znaleźć trochę czasu, żeby poczytać pamiętnik Babci Bernadine. Może wreszcie dowiem się, co takiego trzymało ją przy Dziadku Jamesie przez tyle lat i co może utrzymać mnie przy Danie. To jasne, że nasze małżeństwo będzie zupełnie inne, niemniej mam nadzieję, że równie dobre. Tak jak moja irlandzka potrawka.

Mądrość

Nie ma jednego, a tym bardziej cudownego przepisu na udane małżeństwo.

Słowniczek irlandzkich wyrażen

Aul [oui] — stary.

Craie [krejk] — zabawa, zabawny.

Cupla focal [kupla fakil] — pogawędka (dosłownie: kilka słów).

Ludarman [ludramon] — idiota. Muinteoir [munczor] — nauczyciel.

Pioneer [pajanijer] — członek Pioneer Total Abstinence Association of the Sacred Heart, stowarzyszenia ludzi świeckich stawiających sobie za cel abstynencję i wierność Kościołowi katolickiemu. Ich hasłem było: „Promoting Sobriety for a Bet-ter Society” (wolne tłumaczenie: dobry obywatel to trzeźwy obywatel). Swe wyrzeczenie dedykowali Przenajświętszemu Sercu Pana Jezusa.

Poitin [puczin] — bimber z kartofli.

Spraoi [spri] — dosłownie: zabawa, rozrywka, sport. W Achadh Mor nazwa ta zarezerwowana była dla przyjęć organizowanych po domach przez starsze kobiety, najczęściej w celach matrymonialnych. Swatki osiągały na ogół połowiczny sukces: romanse kwitły, nieliczne jednak kończyły się małżeństwem.

Podziękowania

Dziękuję wszystkim kobietom, których wiedza, doświadczenie i wsparcie umożliwiły mi napisanie tej książki. Są to w porządku alfabetycznym: Theresa Gilroy, Dee Hanna, Renee Kerrigan, Sabine Lacey, Deirdre McGreevy i Sheila Smyth. Podziękowania składam również znajomym z Killali — zechcą je przyjąć zwłaszcza Joe i Rose McGivern — za okazaną gościnność i pomoc. Pisarkom Helen Falconer oraz Pat McCabe wdzięczna jestem za ich przyjaźń i nieukrywanie przede mną przepisu na dobrą książkę.

Miałam także wyjątkowe szczęście do współpracowników. Dziękuję zatem swoim agentkom: Marianne Gunn O'Connor i Vicky Satlow, redaktorkom: Peternelle van Arsdale, Imogen Taylor i Alison Walsh, a także korektorce i recenzentce Unie Morris.

Podziękowania winna jestem i tym osobom, które pomagały mi szperać i wyszukiwać różne informacje, podtrzymując mnie przy tym na duchu. Dziękuję, ciociu Maureen (Maureen Murrey)! Wielkie dzięki, moje ukochane kuzynki, Kathy i Michelle! Za wszystko. Nie mogę tu zapomnieć o tych, którzy dzielili się ze mną historią swego życia, a byli to Maureen Nolan, John Kilkenny i Joe Byrne. Gdyby nie Colm Nolan i Jean Spence nigdy więcej nie usłyszałabym swej Babci, która właśnie dzięki tej dwójce pozostawiła „testament” na taśmie magnetofonowej.

Pragnę też wyrazić wdzięczność swojej Matce, Moirze, za wielkie serce i miłość — to dzięki Tobie jestem tym, kim jestem, i robię to, co robię.

Na koniec składam wielkie podziękowanie swemu mężowi Niallowi — za to, że dał mi tyle czasu, ile potrzebowałam. Dzięki, mój ty bohaterze...

Tłumaczka dziękuje Paniom Antoninie Szafran i Teresie Dacy za sprawdzenie przepisów.

Uwagi dotyczące przepisów kulinarnych

Przepisy zamieszczone w tej książce przechodziły z pokolenia na pokolenie w rodzinie mojej lub moich przyjaciół. Dobry przepis to prawdziwy dar, toteż chciałabym w tym miejscu wspomnieć o wspaniałomyślności tych krewnych i znajomych, którzy nie zawahali się mnie obdarować.

Przepis na dżem agrestowy i placek z rabarbarem zapamiętałam z pobytów u Ann Nolan, mamy mojej Mamy. Babcia lubiła kwaskowy smak, stąd często sięgała po agrest i rabarbar, by móc się rozkoszować ich wyjątkowym posmakiem.

Przepis na miodownik wymyśliłam właściwie sama, z niewielką pomocą kuzynki Mary Nolan, której mąż Michael ma małą pasiekę.

Ciasteczka Dobrej Wróżki to przepis matki mojej przyjaciółki Uny — Marie Morris. Marie dochowała się nieprawdopodobnej liczby wnuków, którzy mają mnóstwo kolegów i koleżanek — wszyscy oni buszują w jej

domu, czując się jak u siebie, i wszyscy — łącznie ze mną i moim synem! — wiedzą, gdzie znajduje się słynna puszka na jeszcze słynniejszą ciasteczkę.

Jeśli chodzi o chleb powszedni, skorzystałam z rad Anny McGreevy z Kilkelly, która okazała się istną kopalnią informacji o tym, jak w czasach jej młodości przyrządzano codzienny chleb. To od niej wiem, że nie ma jednego dobrego przepisu i że każda kobieta przez całe swoje życie doskonali metodę, którą przekazała jej matka. Zainspirowana rozmowami z Anną zaczęłam wypiekać chleb i nie ustaję w wysiłkach, by był coraz lepszy.

Za ciasto porterowe muszę podziękować Margaret Galvin, chociaż bardzo bym chciała, żeby to był mój własny przepis. To naprawdę coś wyjątkowego i wartego spróbowania, toteż zachęcam wszystkich, by się nań odważyli. Z bólem serca zdradziłam ten przepis, ale skoro już to zrobiłam, niech będzie z tego jakiś pożytek!

Tradycyjny przepis na placki Świętej Brygidy przywodzi mi na myśl Katy Prunty, mamę Ojca, i jej kuchnię. To tam skupiało się życie towarzyskie Longford, a Babcia nie odchodziła niemal od pieca, by wykarmić krewnych i sąsiadów, którzy nieprzerwanym strumieniem wpadali na pogawędkę. Zanim wyszła za męża, Babcia była gospodynią proboszcza i przez całe życie pozostała konserwatywna, także jeśli chodzi o kuchnię. Jej córki, Angin i Maureen, podtrzymują tradycję rodzinną — pierwsza w Killoe, druga w Nowym Jorku. Żałuję, że nie mogłam zamieścić wszystkich ich przepisów: na ciasto z gotowanymi owocami, wołowiną w zalewie ani wielu, wielu innych. Niech więc przynajmniej te placki oddadzą sprawiedliwość ich kunsztowi.

Szynkę czosnkową wciąż uczę się robić — a moją nauczycielką jest Renee Kerrigan, mama mojego męża. Ćwiczenia praktycznie najczęściej odbywają się w okolicy świąt Bożego Narodzenia. Bardzo się cieszę, że mogę się podzielić tym przepisem, ale ostrzegam: nie należy do najłatwiejszych!

Byblos to banalna wydawałoby się mieszanka mleka i chleba. Może służyć jako wypełniacz pomiędzy posiłkami, chociaż w starym kraju nieraz stanowił główny posiłek. Na zachodzie Irlandii nosi oryginalną nazwę „pobs”, a na południu „goodie” (pychota i pod taką nazwą znany jest w Stanach.

Irlandzka potrawka. Jedyne współczesny przepis, jaki odważyłam się zamieścić wśród pozostałych. Do perfekcji opracowała go moja rodzona siostra, Christine. Potrawa jest równie wyjątkowa, jak ona sama.